

Humanistyka

z widokiem na
UNIwersytet



**HUMANISTYKA
Z WIDOKIEM NA UNIWERSYTET**

UNIWERSYTET IM. ADAMA MCKIEWICZA W POZNANIU

HUMANISTYKA Z WIDOKIEM NA UNIWERSYTET

Redakcja naukowa

MAŁGORZATA CIELICZKO, ELŻBIETA NOWICKA, JOANNA WOLSKA



POZNAŃ 2016

Recenzent: prof. UW dr hab. Michał Kuziak

Publikacja dofinansowana przez Rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej UAM

© Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu,
Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2016

Projekt okładki: Helena Oszmiańska-Napierała

Redaktor: Elżbieta Kostecka

Redaktor techniczny: Dorota Borowiak

Łamanie komputerowe: Danuta Kowalska

ISBN 978-83-232-2966-7

WYDAWNICTWO NAUKOWE UNIwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

UL. FREDRY 10, 61-701 POZNAŃ

www.press.amu.edu.pl

Sekretariat: tel. 61 829 46 46, faks 61 829 46 47, e-mail: wyd nauk@amu.edu.pl

Dział sprzedaży: tel. 61 829 46 40, e-mail: press@amu.edu.pl

Wydanie I. Ark. wyd. 7,00. Ark. druk. 9,875

DRUK I OPRAWA: UNI-DRUK, LUBOŃ, PRZEMYSŁOWA 13

SPIS TREŚCI

Podziękowania	7
Przedmowa (KRZYSZTOF KRASOWSKI)	9
KATARZYNA FEDOROWICZ <i>Humanistyka z widokiem na Uniwersytet...? (wprowadzenie do dyskusji).....</i>	15
ALINA NOWICKA-JEŻOWA <i>»Universitas studiosorum« w dobie średniowiecza i renesansu. Między ideą i praktyką.....</i>	41
ANNA LEGEŻYŃSKA <i>Więcej, czyli mniej wolności (mapa dyskusji)</i>	65
PIOTR NOWAK <i>Hodowanie troglodytów. Ciąg dalszy nastąpił.....</i>	87
MAREK WILCZYŃSKI <i>Dziewięć uwag o humanistyce na uniwersytecie</i>	101
MAŁGORZATA CIELICZKO <i>Duch(y) uniwersytetu według Richarda Rorty'ego</i>	109
Powidoki – debata.....	131
Noty o Autorach.....	157

PODZIĘKOWANIA

Symposium *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet*, które odbyło się wiosną 2015 roku w murach Collegium Maius Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zgromadziło znakomitych Gości, którym serdecznie dziękujemy za przyjęcie naszego zaproszenia, oraz wielu słuchaczy żywo zainteresowanych kondycją uniwersyteckiej humanistyki. Z dużą satysfakcją przekazujemy w ręce Czytelników materialny efekt tego spotkania – książkę niewielkich rozmiarów, ale traktującą o sprawach najwyższej wagi. Mamy nadzieję, że będzie ona ważnym głosem w dyskusji na temat sytuacji naszej dziedziny, a może nawet przyczyni się do twórczych refleksji i realnych działań na tym polu.

*

Projekt *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet* spotkał się z życzliwym zrozumieniem oraz istotnym wsparciem Rektora do spraw kształcenia prof. dra hab. Krzysztofa Krasowskiego oraz Dziekan Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej prof. dr hab. Bogumiły Kaniewskiej. Jesteśmy niezmiernie wdzięczne za wspomóżenie naszej inicjatywy, bez czego nie mogłaby ona uzyskać takiego kształtu. Samorząd Doktorantów Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej – organizator całej-

go przedsięwzięcia – pragnie również złożyć najserdeczniejsze podziękowania prof. dr hab. Elżbiecie Nowickiej, która nie tylko jako Kierownik Studium Doktoranckiego, ale przede wszystkim jako wyrozumiała i wspierająca Opiekun okazywała nam nieocenioną pomoc na każdym etapie realizacji projektu.

PRZEDMOWA

Bardzo serdecznie dziękuję za zaproszenie na sympozjum *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet*, ale jeszcze goręcej dziękuję za temat tego spotkania, który jest bardzo ważny i znakomicie wpisuje się w aktualną sytuację polskiego uniwersytetu. W ostatnich latach dyskusje na temat humanistyki dotyczą zazwyczaj tego, co określa się mianem „kryzysu humanistyki” i z dużą satysfakcją przyjąłem fakt, że dzisiejsze sympozjum nie zamierza wpisywać się w ten nurt, gdyż Państwo w ów kryzys nie do końca wierzą – osobiście w pełni podzielam takie stanowisko.

Pewien problem jednak jest i nie można pominąć go milczeniem. Ze szczególną siłą pojawił się kilka lat temu, kiedy rektor Uniwersytetu w Białymstoku, ze względów *stricte* finansowych, postanowił nie otwierać rekrutacji na filozofię – kierunek wyjątkowo deficytowy na tej uczelni. Decyzja ta wywołała falę protestów i dyskusję na forum ogólnopolskim, obejmującą wszystkie środowiska humanistyczne w kraju. W moim przekonaniu – podejmując takie bardzo trudne decyzje – należy kierować się przede wszystkim misją uniwersytetu, a uniwersytet nie jest przedsiębiorstwem dochodowym, które nastawione powinno być na zysk. Władze wszystkich uczelni wyższych – także my, rektorzy UAM – często zmagamy się z poważnym problemem, jaki stanowią koszty finansowania

tw. kierunków niszowych (a znajdują się one na wszystkich wydziałach, nie tylko humanistycznych), których prowadzenie nieodmiennie łączy się z deficytem. Jednak rolą uniwersytetu jest to, by utrzymywać oryginalne, niedochodowe kierunki studiów – taka jest wszak misja uczelni; rzecz tylko w tym, by znaleźć środki na bieżące regulowanie tego deficytu. Niedawna decentralizacja naszych uczelnianych finansów ciężar odpowiedzialności przeniosła na barki władz wydziałów i to od dziekanów teraz zależy, jakie dotychczasowe kierunki zdecydują się utrzymywać, a jakie nowe tworzyć. Jestem jednak optymistycznie nastawiony, ponieważ, mimo tej skomplikowanej i niełatwej decentralizacji, kilka wydziałów uruchomiło procedury związane z tworzeniem nowych kierunków studiów. Wydaje się, że naszemu uniwersytetowi nie grozi załamanie ani tąpnięcie finansowe, szczególnie że bilans naszej uczelni jest dodatni i dołożymy wszelkich starań, by taki pozostał.

Chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami związanymi nie wprost z tematem konferencji, ale dotyczącymi funkcjonowania studiów doktoranckich – nie tylko na naszym uniwersytecie, ale w skali całego kraju. Moje kilkuletnie doświadczenie wynikające z pełnienia funkcji prorektora ds. kształcenia (wśród obowiązków którego jest nadzorowanie przebiegu studiów trzeciego stopnia) oraz z prowadzenia wykładu ogólnouniwersyteckiego na temat statusu prawnego doktoranta i modelu studiów doktoranckich w ogóle pozwoliło mi na dokonanie kilku ważnych obserwacji. Po pierwsze, kształcimy bardzo mało doktorantów. W Unii Europejskiej na 1000 mieszkańców w wieku od 24 do 30 lat średnia liczba doktorantów wynosi 1,5 osoby, w krajach skandynawskich, które są liderami w tym zakresie, ten wskaźnik wynosi aż 3 osoby, natomiast w Polsce – zaledwie 0,8 osoby. Kształcimy więc za mało doktorantów, chociaż w liczbach bezwzględnych rzecz przedstawia się trochę inaczej. W 1990 roku, kiedy we-

szła w życie ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym, na mocy której w całym kraju ruszyły studia doktoranckie, doktorantów było nieco powyżej 2000, dziś jest ich już powyżej 40 000 – przez ostatnie 25 lat nastąpił więc znaczący wzrost, niemniej wciąż gonimy Europę. Z pewnością wiąże się to z kwestią statusu polskiego doktoranta – w porównaniu z doktorantem z Francji czy z Niemiec, choćby tylko pod względem ekonomicznym, przepaść jest olbrzymia. Doktorant z Francji otrzymuje ok. 1700 euro miesięcznego stypendium, natomiast jakie są średnie kwoty stypendiów w Polsce – wszyscy wiemy. Druga niepokojąca kwestia to fakt, że studia doktoranckie w naszym kraju łatwo rozpocząć, trudniej jednak skończyć – świadczą o tym dane statystyczne. Od kilku lat spada procentowo liczba absolwentów studiów doktoranckich, czyli tych, którzy terminowo kończą te studia pracą doktorską. O ile jeszcze w „szczytowym” roku 2006 ten procent wynosił blisko 20, a zatem co piąty doktorant w Polsce wieńczył studia obroną dysertacji, to w roku 2013 już jedynie 12% doktorantów kończyło studia w regulaminowym czasie. Można by wyprowadzić z tego ogólną konkluzję, że doktoranci piszą prace wolniej, że rzadziej je bronią, co może też wskazywać, że cały system prowadzenia tych studiów ma istotne wady. Być może wyda się to zaskakujące, ale zawsze byłem zwolennikiem klasycznej asystentury. Sam zresztą zaczynałem swą drogę uniwersytecką od stanowiska asystenta – wtedy nikt nawet nie myślał o studiach doktoranckich, programach, obowiązkowych zajęciach czy innym formalizowaniu tego etapu naukowego. Obowiązywała nas rzetelna praca z mistrzem oraz udział w dydaktyce. Asystentura ma swoje ogromne zalety, ale w skali kraju obserwujemy niestety gwałtowny spadek liczby asystentów – w ostatnim pięcioleciu wyniósł on ok. 5000 etatów. Obecnie na polskich uniwersytetach i w jednostkach badawczych pracuje około 12 000 asystentów, lecz tendencja spadkowa pogłębia się i najpew-

niej już za kilka lat doprowadzi do całkowitego wygaszenia takiego stanowiska na uczelniach wyższych. Co się za tym kryje? Przede wszystkim względy finansowe, bowiem jak wiadomo doktoranci przynoszą uczelni do dotacji podstawowej pewien udział (trzy- bądź pięciokrotność kwoty przeznaczanej na studenta). Jest to jednak złudne – symulacje pokazują, że tak naprawdę na jednego doktoranta uczelnia otrzymuje ok. 7000 zł rocznie, co choćby w porównaniu z kosztami przewodu doktorskiego (ok. 15 000 zł) uwidacznia niewystarczalność tych dotacji. Konstatacja jest taka, że uniwersytet do studiów doktoranckich istotnie dopłaca – wymuszają to realia, w których żyjemy. Utrzymanie asystenta jest jednak jeszcze bardziej kosztowne, bo wiąże się z obciążeniami etatowymi. To niekorzystne zjawisko, gdyż asystentury dawały stabilizację, pozwalały spokojnie rozwijać się naukowo oraz bez nadmiernego pośpiechu pracować nad dysertacją – trwały przecież 8 lat, a nie 4, jak studia doktoranckie. Asystentury umożliwiały zbudowanie nici lojalności z uczelnią, a przede wszystkim dawały większości osób perspektywę stałego zatrudnienia po obronie pracy doktorskiej. Obecnie doktoranci nie mają takiej stabilności, co więcej, nie mają nawet określonego statusu prawnego – nie są wszak ani pracownikami, ani studentami; ustawodawca zdecydowanie powinien ów status doktoranta uregulować.

Pomimo tych krytycznych uwag, które przed chwilą wyłożyłem, chciałbym zapewnić, że będziemy starali się chronić i stale usprawniać studia doktoranckie. W skali kraju uchodzimy za jedną z najbardziej prodoktoranckich uczelni – przez cztery lata miałem przyjemność odbierać nagrodę za pierwsze miejsce w rankingu, który przeprowadzany jest przez Krajową Reprezentację Doktorantów. W porównaniu z innymi znakomitymi uniwersytetami – Uniwersytetem Warszawskim i Uniwersytetem Jagiellońskim, w których nie więcej niż 27% doktorantów otrzymuje stypendia, nasz uniwersytet zdecydowanie się

wyróżnia, gdyż stypendia pobiera blisko 70% doktorantów. Z pewnością to wciąż jest za mało w stosunku do potrzeb, ale niewątpliwie jesteśmy w ogólnopolskiej czołówce i dołożymy wszelkich starań, by w niej pozostać. Kończę zatem pozytywnym akcentem i życzę interesujących oraz owocnych dyskusji.

Krzysztof Krasowski

Katarzyna Fedorowicz
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

HUMANISTYKA Z WIDOKIEM NA UNIWERSYTET ...? (WPROWADZENIE DO DYSKUSJI)

I. Co to jest humanistyka?

Autorzy *Powszechnej Encyklopedii Filozofii* humanistykę (gr. *humanus* – ludzkie) zdefiniowali jako „zespół nauk i dyscyplin, których przedmiotem jest człowiek historyczny, poznawany w aspekcie racji i uwarunkowań jego decyzji, działań oraz skutków tych działań (stanów rzeczy, wytworów) z uwagi na ich doniosłość kulturową (celowość)¹”. Przedmiotem poznania humanistycznego jest życie oraz funkcjonowanie człowieka historycznego. Ludzie, będąc częścią natury, tworzą kulturę, czyli uprawiają (*colere*) świat przyrodniczy i łączą się w grupy. Kultura składa się z czterech dziedzin: poznania (nauki), moralności, sztuki oraz religii. Człowiek jest bytem społecznym (*animal sociale*), toteż buduje on kulturę w ramach określonej cywilizacji. Jak dowodzą autorzy *Powszechnej Encyklopedii Filozofii*:

Świat natury (przyrody) jest człowiekowi dany, jest przez niego zastany jako pierwotny kontekst jego życia, natomiast kultura jest mu

¹ H. Kiereś, *Humanistyka*, hasło w: *Powszechna Encyklopedia Filozofii*, red. M. Krąpiec, t. 6, s. 633.

zadana, a więc jest czymś, co wyposaża jego strukturę bytową pod postacią określonej możliwości (zdolności): poznawania, miłowania, wybierania, podmiotowości wobec prawa, odrębności-suwerenności i religijności. Aktualizacja tych możliwości tworzy życie osobowe człowieka, a rezultatem ich aktualizacji jest konkretna osobowość *hic et nunc* człowieka².

Rozróżnienie natury i człowieka leży u podstaw namysłu humanistycznego, którego początki sięgają początków cywilizacji. W niniejszym szkicu skupimy się na kręgu cywilizacji europejskiej. We współczesnej humanistyce wszelako kultury nie definiuje się już tak jednoznacznie w opozycji do natury. Kultura stanowi przedłużenie rozwoju biologicznego, a zatem jest przeciwstawna naturze jedynie w sensie ontogenetycznym.

Historia i filologia, pierwsze nauki humanistyczne, wywodzą się z mitu, a dokładniej z mitotwórczej działalności człowieka. Impulsem do rozwoju humanistyki stała się kształtująca się w starożytnej Grecji retoryka oraz wiedza filozoficzna. Arystoteles w *Poetyce* odróżnił literaturę od filozofii³, twierdząc, że poeta jest naśladowcą, natomiast filozof zajmuje się wyjaśnianiem natury, do czego może używać literackich form opisu. Arystoteles wyżej cenił literaturę od historii, gdyż poeta uogólnia i oczyszcza pojedynczy fakt, zaś historyk jedynie go opisuje. W starożytności wiedza humanistyczna służyła kształtowaniu podmiotowości człowieka, jego cnót oraz *habitusu*. W średniowieczu powstała nowa koncepcja nauczania oparta na *artes liberales*, których zwieńczeniem stanowiła teologia, *sacra doctrina*, wzbogacana przez filozofię. Rozwój myśli humanistycznej nastąpił w dobie renesansu. Wówczas podstawy kształtowania człowieka opierały się na koncepcji *studium humanitatis*. Celem edukacji było rozwijanie zdolności twórczych człowieka oraz jego zaangażowania w życie społeczno-

² Tamże, s. 643.

³ Zob. Arystoteles, *Poetyka*, przeł. H. Podbielski, Wrocław 2006.

-polityczne wspólnoty. W siedemnastym wieku Kartezjusz we wstępie do *Rozprawy o metodzie* uznał, że historia i filologia nie są naukami, ale zajęciami o charakterze moralizatorsko-pedagogicznym⁴. Humanistyka stanęła przed problemami domniemanej naukowości, konieczności wypracowania własnej metodologii, odróżnienia się od przyrodoznawstwa, a także potrzebą określenia rangi społeczno-poznawczego oddziaływania, zwłaszcza w zakresie kształtowania ludzi. Można zaryzykować hipotezę, że problem racji uprawiania humanistyki jest nieodzownie związany z kryzysami nowoczesności, gdyż pierwsze wielkie zakwestionowanie prawdziwości wiedzy humanistycznej nastąpiło wraz z wyłonieniem się nowożytnej nauki opartej na racjonalizmie i empiryzmie. W dobie oświecenia Giambattista Vico postawił pytanie o istotę człowieczeństwa i podważył kartezjańskie ujmowanie *cogito*. Natomiast historię włoski filozof uznał za naukę, której studiowanie najlepiej przyczynia się do zrozumienia kondycji ludzkiej. Co więcej, Vico dowodził, że jednostki same tworzą dzieje (choć z woli Boga), a tym samym współczesność ukazuje stan rozwoju ludzkości w danym momencie. Z kolei poezja jest znajomością spraw ludzkich oraz boskich, pierwsi poeci byli zarówno mędrkami, jak i teologami, toteż studiowanie literatury przyczynia się do pogłębiania wiedzy o człowieku i wspomaganie rozwoju ludzkich zbiorowości. Pod koniec XIX wieku Wilhelm Dilthey dowodził, że nauki humanistyczne zajmują się badaniem przeżyć psychicznych, ducha. Główną metodą, jaką posługują się humaniści, jest rozumienie pojmowane jako wnikanie w przedmiot, w wyniku czego możliwe staje się uchwycenie obiektu duchowego. W przeciwieństwie do nauk humanistycznych przyrodoznawstwo zajmuje się wyjaśnianiem faktów. Wilhelm Windebland wskazywał, że nauki przy-

⁴ R. Descartes, *Rozprawa o metodzie*, przeł. T. Żeleński-Boy, Kęty 2009, s. 23.

rodnicze badają uniwersalne prawa, natomiast studia humanistyczne koncentrują się na indywidualnych i pojedynczych faktach. Heinrich Rickert, rozwijając idee Diltheya i Windelbanda, stworzył podział nauk na generalizujące oraz indywidualizujące. Badania humanistyczne, jak dowodził Rickert, opierają się na selekcjonowaniu faktów indywidualnych podług ich wartości kulturowej.

W humanistyce od początku jej powstania toczy się spór, czy jej metody mają charakter naukowy czy też retoryczny, a tym samym służą duchowej terapii? Spory o metodologię nauk humanistycznych wynikają z jej przedmiotu, czyli ludzkich działań, ich skutków oraz wytworów materialnych, które powstają w określonym czasie i tworzą historię. Fakty humanistyczne, co więcej, kształtują kulturę i wpływają na trwałość dorobku tradycji. Przedmiotem humanistyki jest fakt kulturowy, stworzony przez człowieka i obdarzony sensem, natomiast metodą badań humanistycznych – interpretacja lub analiza hermeneutyczna.

II. Humanistyka, ale jaka?

Autorzy *Powszechnej Encyklopedii Filozofii* rozważania na temat humanistyki kończą następującą konstatacją:

Rzetelne uprawianie h. (humanistyki – K.F.) jest rzeczą trudną, wymaga nie tylko rozległej i głębokiej wiedzy, ale także dojrzałości osobowej, dlatego już dawno mówiono o niej, iż jest „późnym owocem dojrzałego wieku”. H. (Humanistyka – K.F.) jest niezbędna w kulturze, ponieważ jej celem jest „humanista” – człowieczeństwo człowieka, czyli to wszystko, co zawiera jego spotencjonalizowana, rozumna i wolna natura i ku czemu człowiek transcendentuje, zmagając się poznawczo i moralnie z zastanym światem⁵.

⁵ H. Kieres, dz. cyt., s. 650.

Tak rozumiana humanistyka powinna być uprawiana dla samego poznania prawdy, kontemplacji, co wtórnie przyczynia się do kształtowania moralnego człowieka. Tym samym badania humanistyczne sprzyjają rozwojowi i dojrzałości etycznej społeczeństwa. Tradycyjna humanistyka za cel stawia sobie poszukiwanie prawdy. Jej przedstawiciele uważają, że istnieje jedna, obiektywna i niepodzielna prawda.

Natomiast przedstawiciele historycyzmu podważają istnienie obiektywnej prawdy, za Fryderykiem Nietzsche definiując ją jako

Ruchliwą armię metafor, metonimii, antropomorfizmów, krótko, sumą ludzkich stosunków, które zostały poetycko i retorycznie wzmożone, przetransportowane (...) i upiększone, a po długim użytkowaniu wydają się ludowi kanoniczne i obowiązujące: prawdy są złudami (...), o których zapomniano, że nimi są, metaforami, które się zużyły i utraciły zmysłową siłę wyrazu, monetami, których powierzchnia się starła i które teraz są traktowane jak metal, a nie jak monety⁶.

Toteż cel uprawiania humanistyki, według Nowego Historycyzmu, jawi się jako ideologiczna analiza praktyk dyskursywnych, a teksty literackie i historiograficzne są ukształtowanym historycznie wytworem praktyk społecznych i językowych. Badanie literatury wiąże się z uwarunkowaniami ideologicznymi, politycznymi oraz somatycznymi uczonego, dlatego też nie jest on zdolny do stworzenia obiektywnego oraz pełnego opisu, dotarcia do ostatecznych prawd i wyrażanie niezmiennej natury ludzkiej.

Michał Paweł Markowski w wydanej niedawno książce pod tytułem *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki* dowodził, że, choć badania humanistyczne nie spełniają (i, co więcej, nie powinny spełniać) kryteriów naukowości, to jed-

⁶ F. Nietzsche, *Pisma pozostałe*, t. 1, przeł. B. Baran, Kraków 1993, s. 189.

nak są one nieodzowne i konieczne dla kształtowania wrażliwości, a co zatem idzie – etyczności członków społeczeństwa⁷. To właśnie humanistyka, zdaniem uczonego, przyczynia się do samorozwoju człowieka, a także stanowi obszar współlistnienia różnych światopoglądów. Dzięki interpretacji nasze życie staje się bogatsze, gdyż obdarzone większym sensem, zaś egzystencja – pełniejsza, ugruntowana w arcydziełach literatury i sztuki. Ponadto humanistyczne wykształcenie przyczynia się do lepszego rozumienia otaczającej nas kultury.

Markowski, wskazując na rolę humanistyki dla kształtowania podmiotowości oraz rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, dokonuje swoistej pochwały egzystencjalizmu oraz hermeneutyki, a tym samym pomija i niweluje znaczenie tradycyjnych oraz zaangażowanych społecznie nurtów badań humanistycznych. Jan Sowa w szkicu *Humanistyka płaskiego świata* twierdził, że wizja humanistyki Markowskiego za nadto eksponuje rangę porządku Symbolicznego i Wyobrażonego, a pomija znaczenie Realnego⁸. Sowa zarzucał także autorowi *Polityki wrażliwości* pominięcie w swoich rozważaniach namysłu nad mechanizmami kultury, które umożliwiły istnienie systemu niewolnictwa w dawnych epokach. Toteż proponował, aby porzucić „(re)/(de)konstrukcję podmiotu” na rzecz badań nad ustanawianiem podmiotowości (indywidualnej i zbiorowej), co przyczyniłoby się do kształtowania poczucia sprawstwa we współczesnym świecie⁹. W odpowiedzi na polemikę Sowy Markowski stwierdził, że w przedstawionej przez niego wizji humanistyki jest miejsce na różne języki i światopoglądy, w tym także lewicowe¹⁰. Natomiast sprzeci-

⁷ Zob. M.P. Markowski, *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*, Kraków 2013.

⁸ J. Sowa, *Humanistyka płaskiego świata*, „Teksty Drugie” 2014, nr 1, s. 192-207.

⁹ Tamże, s. 206.

¹⁰ M.P. Markowski, *Lewica akademicka: pomiędzy hipokryzją i iluzją*, „Teksty Drugie” 2014, nr 1, s. 208-214.

wia się tezom o możliwościach ratowania świata przez humanistów.

Nowe nurty humanistyki nie kryją swojego upolitycznienia i stawiają sobie za cel tworzenie wiedzy stosowanej, umożliwiającej wprowadzanie zmian w społeczeństwie. Przedstawiciele nowych (post)humanistycznych badań są zaangażowani w aktualne problemy społeczne i polityczne, kontynuują tradycję intelektualną zapoczątkowaną wraz z obroną Alfreda Dreyfusa. Nowa humanistyka zajmuje się studiami nad mniejszościami narodowymi i seksualnymi czy też studiami postkolonialnymi. Ewa Domańska zaproponowała nowy sposób uprawiania badań nad historią, tzw. „historię ratowniczą” i następująco określiła cele humanistyki w XXI wieku:

Po co społeczeństwu historia, a może szerzej, humanistyka ratownicza/potencjalna/afirmatywna? Różne są zapotrzebowania społeczne w zależności od czasu i miejsca. Jeżeli chodzi o dzisiejszą Europę Środkowo-Wschodnią i Wschodnią, dziedzina ta jest niezbędna, by uczyć myślenia, a zwłaszcza myślenia krytycznego, i chronić przed dogmatycznym; by wzmocnić podmiotowość i poczucie wpływu jednostki i grup na dokonujące się dookoła zmiany; by tworzyć i odbudować relacje wspólnotowe; by stale stawiać pytania o człowieka (co to znaczy być człowiekiem w wieloetnicznej, wieloreligijnej, a także wielogatunkowej zbiorowości); by rozbudzać empatię oraz impuls moralny; wreszcie – by uczyć ludzi, jak się buntować. Słowem, humanistyka powinna wyzwalać i uwalniać jednostkową i wspólnotową podmiotowość; wspierać poczucie kreatywności; motywować do przekraczania własnych słabości. Humanistyka powinna ponadto kształtować człowieka (także jako godnego przedstawiciela swojego gatunku)¹¹.

Warto zauważyć, że reprezentanci nowych nurtów humanistyki, podobnie jak i przedstawiciele humanistyki klasycznej, eksponują istnienie związku pomiędzy humanistyką a funkcjonowaniem moralnym jednostek oraz wspólnot. Tradycyjni humaniści wskazują na wpływ wychowania humani-

¹¹ E. Domańska, *Historia ratownicza*, „Teksty Drugie” 2014, nr 1, s. 25.

stycznego oraz kontemplacji na kształtowanie i rozwój moralności, podczas gdy przedstawiciele nowych zaangażowanych nurtów humanistyki podkreślają rolę interweniowania w tradycję, wpływania na zmiany (oraz ich prowokowania) w społecznej i kulturowej rzeczywistości. Jak dowodziła Domańska:

W tle „zwrotu performatywnego” oraz „zwrotu ku sprawczości” (*the agentiveturn*) stoi (...) kategoria zmiany jako wartości pozytywnej we współczesnym świecie. Podmiot, który ma siłę sprawczą, staje się w tym sprawcą, a nie obiektem – oto pożądaný model, który odczytać można w pracach współczesnych humanistów. W tekstach związanych z podejściami, które można zakwalifikować do nowej humanistyki, nie ma zbyt wiele miejsca na kontemplację świata, za to budowana jest w nich przestrzeń dla buntów i rewolucji. Teksty te, które bardzo często są manifestami różnych ruchów mniejszościowych, mają uświadomić podmioty o ich sile sprawczej, której nie są one świadome¹².

Współczesny uniwersytet stanowi wspólnotę badaczy i studentów, prezentujących tradycyjne, postmodernistyczne i posthumanistyczne podejście do badań humanistycznych. Osoby prowadzące klasyczne studia można uznać za spadkobierców tradycyjnego pojmowania uniwersytetu, natomiast przedstawiciele nowej humanistyki, eksponujący znaczenia własnych badań dla walki z nierównościami w społeczeństwie i ratowania środowiska naturalnego, kontynuują także etos intelektualny zapoczątkowany przez obrońców Alfreda Dreyfusa.

III. Nauka jako zawód, powołanie i dostojeństwo

Max Weber w szkicu *Nauka jako zawód i powołanie*, napisanym na początku XX wieku, twierdził, że uniwersytety zaczęły przypominać kapitalistyczne przedsiębiorstwa – zorganizowa-

¹² E. Domańska, „Zwrot performatywny” we współczesnej humanistyce, „Teksty Drugie” 2007, nr 5, s. 56.

ne, biurokratycznie ukierunkowane na racjonalne osiągnięcie wyznaczonych celów¹³. Badacz eksponował znaczenie powołania, pasji oraz postawy służby wobec nauki dla prowadzenia studiów. Pojęcie „powołania”, jak wskazywał Weber, zaczęło być pomijane w wyniku procesów racjonalizacji i desakralizacji kultury, „odczarowania świata”. Niemiecki socjolog proponował ujmowanie celów nauki w kategoriach powołania (samo)poznawczego, pragmatycznego, heurystycznego i świadomościowego¹⁴. „Powołanie” opisywał jako pasję, namiętność, natchnienie, pracę, talent oraz osobowość badawczą osiąganą poprzez służenie nauce. Powołanie można rozumieć zewnętrznie (jako droga życiowa, zawód), wewnątrznie (przeświadczenie danej osoby o słuszności wyboru danej ścieżki życia) oraz transcendentnie (jako zadanie człowieka wyznaczone przez Boga). Myślenie o uprawianiu nauki w kategoriach powołania powoduje, że nauka zaczyna oznaczać odkrywanie tajemnic świata, a uniwersytet staje się świątynią wiedzy.

Kazimierz Twardowski z okazji przyznania honorowego doktoratu przez Uniwersytet Poznański napisał przemówienie zatytułowane *O dostojności Uniwersytetu*¹⁵. W tym tekście filozof podkreślał, że zadaniem uniwersytetu jest „zdobywanie prawd i prawdopodobieństw naukowych oraz krzewienie umiejętności ich dochodzenia”¹⁶. Podstawą pracy uniwersyteckiej, według Twardowskiego, jest twórczość naukowa. Badacze odkrywają nowe prawdy i doskonałą metody dochodzenia do nich, dzięki czemu służą wiedzy naukowej, a zarazem obiektywnej. Filozof eksponował majestat i godność uniwersy-

¹³ M. Weber, *Nauka jako zawód i powołanie*, w: tegoż, *Polityka jako zawód i powołanie*, przeł. P. Dybel, Kraków 1998, s. 111-140.

¹⁴ M. Kucia, *Myślenie w kategoriach powołania*. „Powołanie uczonego” – nieobecna kategoria myślenia o nauce, „Principia” 1991, t. 6, s. 120.

¹⁵ K. Twardowski, *O dostojności Uniwersytetu*, „Kronos” 2011, nr 1, s. 267-274.

¹⁶ Tamże, s. 268.

tetu, wynikający z docierania przez badaczy do prawdy bądź prawdopodobieństwa:

Służąc temu celowi, Uniwersytet istotnie promienieje dostojnością, spływającą na niego z olbrzymiej doniosłości funkcji, którą pełni. Wszak niesie ludzkości światło czystej wiedzy, wzbogaca i pogłębia naukę, zdobywa coraz to nowe prawdy i prawdopodobieństwa – tworzy jednym słowem najwyższe wartości intelektualne, które przypaść mogą człowiekowi w udziale¹⁷.

Zdaniem Twardowskiego, uniwersytet powstał, aby służyć prawdzie naukowej, wiedzy obiektywnej oraz doskonaleniu metod myślenia, toteż powinien być bezwzględnie niezależny i suwerenny pod względem duchowym. Badania naukowe nie mogą podlegać żadnej kontroli ani służyć utylitarnym celom. Dlatego też filozof sprzeciwiał się ingerowaniu w prace naukowców przez stronnictwa polityczne i Kościół¹⁸.

W dwudziestym wieku wraz z rozwojem kapitalizmu uniwersytet zaczął przeżywać kryzys. Problemem w dobie liberalnego utylitaryzmu stał się status nauk humanistycznych. Alan Bloom w *Umyśle zamkniętym* przedstawił krytykę uniwersytetu zaangażowanego w problemy polityczno-społeczne¹⁹. Piotr Nowak w *Hodowaniu troglodytów* poddał krytyce zmiany wprowadzone w polskim szkolnictwie wyższym²⁰. Filozof dowodził, że liberalne reformy mają na celu przyciągnięcie studentów do działań biznesowych kosztem pracy intelektualnej. Owe zmiany na uniwersytetach prowadzą także do zanikania instynktu wolnościowego. Uniwersytet, jak dowodziło wielu badaczy, powinien stanowić obszar działań naukowych i sporów niezależny od bieżącej polityki, zapotrzebowań rynku czy utylitarnych potrzeb społeczeństwa. Nauki humanistycz-

¹⁷ Tamże, s. 268.

¹⁸ S. Borzym, *Uniwersytet według Twardowskiego*, „Kronos” 2011, nr 1, s. 265.

¹⁹ Zob. A. Bloom, *Umysł zamknięty*, przeł. T. Bieroń, Poznań 1997.

²⁰ Zob. P. Nowak, *Hodowanie troglodytów*, Warszawa 2014.

ne poprzez służenie prawdzie i wiedzy obiektywnej przyczyniają się do kształtowania kultury narodowej. Powołanie badacza jest realizowane dzięki różnorodnie zaprojektowanym studiom, które przyczyniają się do kształtowania człowieka, sprzyjają demokracji i wolności. Jacques Derrida dowodził:

Postaram się również doprecyzować, co rozumiem pod pojęciem „nowych” Nauk Humanistycznych. Niezależnie bowiem od tego, czy byłyby to dyskusje krytyczne, czy rekonstrukcyjne, miejscem *bezwarunkowej* i wolnej od wszelkich założeń dyskusji o tym wszystkim, co dotyczy kwestii prawdy i historii prawdy w jej odniesieniu do kwestii człowieka, tego, co własne człowieka, praw człowieka, zbrodni przeciwko ludzkości *etc.*, właściwą przestrzenią tej pracy i niniejszej refleksji winien być uniwersytet, a w nim, w najwyższym stopniu, Nauki Humanistyczne²¹.

Uniwersytet, zdaniem Derridy, stanowi tym samym miejsce krytycznego stawiania oporu oraz dekonstrukcji zastanego porządku myśli i rzeczy.

IV. Humanistyka na uniwersytecie

Jacob Taubes w szkicu *Intelektualiści i uniwersytet* dowodził:

Intelektualiści pod wyjątkowym względem przynależą do wewnętrznej historii nowożytności. Wraz ze zbliżaniem się feudalnego porządku chrześcijaństwa ku upadkowi miejsce hierarchicznego społeczeństwa, które wyrażało się w porządku duchowym i czasowym, zajmuje społeczeństwo mieszczańskie wraz z jego nowymi zasadami porządku i prawomocności. Nowa forma legitymizacji społeczeństwa mieszczańskiego, która sprowadziła na ziemię transcendentny ideał chrześcijańskiej teologii, stanowi dzieło intelektualistów²².

²¹ J. Derrida, *Uniwersytet bezwarunkowy*, przeł. K.M. Jaksender, Kraków 2015, s. 16-17.

²² J. Taubes, *Intelektualiści i uniwersytet*, w: tegoż, *Apokalipsa i polityka. Eseje mesjańskie*, przeł. P. Graczyk [et al.]; wybrał, wstępem poprzedził i przekł. oprac. P. Nowak, Warszawa 2013, s. 363.

Wyłonienie się myślicieli humanistycznych i uformowanie się grupy intelektualistów przebiegało w kontakcie z uniwersytetem, ale poza jego obrębem. Pojęcie „uniwersytet” zostało po raz pierwszy użyte w 1213 roku w Paryżu, a oznaczało autonomiczną wspólnotę nauczycieli oraz uczniów, ukształtowaną w celu prowadzenia badań i utrzymania niezależności względem feudalnych struktur państwowych i kościelnych. Wspólnota uniwersytecka wykraczała poza hierarchię struktur średniowiecznych, a przez to przyczyniła się do powstania renesansu. Natomiast termin „intelektualista” (fr. *l'intellectuel*) pojawił się po raz pierwszy pod koniec XIX wieku we Francji podczas afery Dreyfusa. Wykształciła się wtedy grupa myślicieli i artystów broniących Dreyfusa i występujących przeciwko siłom *ancien régime* – wojsku i Kościołowi. A zatem terminem „intelektualista” określa się naukowca bądź humanistę, który angażuje się w istotne spory polityczno-społeczne oraz działa na rzecz sprawiedliwości oraz równouprawnienia, czyli dobrostanu wszystkich obywateli.

Reforma niemieckiego systemu szkolnictwa z początku XIX wieku wyznaczyła wzór funkcjonowania nowoczesnego uniwersytetu. Celem zmian wprowadzonych przez Humboldta była emancypacja mieszczaństwa oraz zniesienie feudalnych struktur społecznych. Owa reforma opierała się na idei wolności nauki i nauczania, zaś jej program postulował autonomię oraz samorządność uniwersytetu. Ideą przewodnią zmian wprowadzonych przez Humboldta była jedność nauki i nauczania (*Einheit von Lehre und Wissenschaft*). Założenie to doprowadziło do przekonania, że nauka nie powinna być uprawiana w Akademiach Nauk, lecz na uczelniach, gdzie kształcą się studenci. W tym duchu wypowiedział się współczesny polski humanista Janusz Goćkowski, który w szkicu *Funkcjonalność uniwersytetu w perspektywie długiego trwania* pisał:

Uniwersytet jest koinonią – wspólnotą wartości i celów. Zwornikiem ładu aksjonormatywnego tej wspólnoty jest prawda, dobro naczelne

będące ideałem motywującym dążności poznawcze uczonych. W procesie szukania prawdy, czyli dążenia do prawdy obiektywnej (ona jest owym ideałem motywującym inwencję i aktywność uczestników koinonii), tworzone, ustalone i stosowane wartości poznawcze poddawane są następującym reinterpretacji i rewizji, czego konsekwencją stają się ich korekcje (wartości dotychczasowe są uznawane i stosowane w nowej, poprawionej wersji) albo ich kasacje (wartości dotychczasowe są zastępowane innymi i te są uznawane i stosowane zamiast poprzednich)²³.

Uczony podkreślał, że *koinonia* uniwersytecka składa się z osób dążących do poznania prawdy w ramach różnych obszarów kompetencji oraz stylów komunikacji. Goćkowski wymienił trzy elementy łączące uniwersytecką koinonię: 1) podzielenie przekonania, że prawda naukowa jest najważniejsza, 2) uznawanie uniwersyteckiego życia naukowego za przestrzeń społeczną wykraczającą poza instytucje i granice państw, 3) obranie za wzór myślenia i działania „naukowej perspektywy świata”²⁴. Co więcej, badacz eksponował, że wspólnota akademicka stanowi formułę życia duchowego oraz grupowego różną i alternatywną dla etatystycznych, technokratycznych, ideologicznych czy też plutokratycznych organizacji ludzkich.

Podstawowe zasady podpisanej w 1988 roku *Wielkiej Karty Uniwersytetów Europejskich* zostały określone następująco:

1. Uniwersytet jest instytucją autonomiczną, wokół której koncentruje się życie społeczne, niezależnie od tego, w jaki sposób – ze względu na położenie geograficzne i tradycję historyczną – społeczeństwo jest zorganizowane; uniwersytet – realizując badania naukowe i kształcenie – tworzy, wspiera i upowszechnia kulturę. (...)
2. Kształcenie i badania naukowe na uniwersytetach muszą stanowić nierozłączną całość, ponieważ tylko w ten sposób nauczanie

²³ J. Goćkowski, *Funkcjonalność uniwersytetu w perspektywie długiego trwania*, w: *Idea uniwersytetu u schyłku tysiąclecia*, red. H. Żytkiewicz, Warszawa 1997, s. 22.

²⁴ Tamże, s. 23.

- może nadażyć za zmieniającymi się potrzebami i wymaganiami społeczeństwa oraz postępem nauki. (...)
3. Swoboda badań naukowych i kształcenia jest podstawową zasadą działalności uniwersytetów, a rządy i uniwersytety – w ramach posiadanych uprawnień i możliwości – muszą zapewniać poszanowanie tej fundamentalnej zasady. (...)
 4. Uniwersytet – jako instytucja odpowiedzialna za utrwalenie europejskiej tradycji humanistycznej – stale dba o tworzenie wiedzy uniwersalnej, a realizując swoje powołanie, przenika granice geograficzne i polityczne oraz potwierdza konieczność poznawania i wzajemnego oddziaływania na siebie różnych kultur²⁵.

W 1999 roku ministrowie odpowiedzialni za szkolnictwo wyższe podpisali Deklarację Bolońską, która zawierała program podniesienia poziomu uczelni europejskich. Główne zmiany wprowadzone przez Proces Boloński to: 1) wprowadzenie punktowego systemu rozliczania zajęć studentów, 2) podział studiów na dwustopniowe i doktoranckie, 3) współpraca różnych europejskich ośrodków akademickich w zakresie kształcenia i opracowywania metod ocen jakości, 4) promowanie mobilności studentów i wykładowców.

Na negatywne skutki wprowadzenia systemu bolońskiego w Polsce wskazywała Anna Legeżyńska w szkicu *Krajobraz poboloński. Widok z okna poznańskiego nauczyciela (akademickiego)* i, za Dominikiem La Caprą, proponowała, aby stan polskich szkół wyższych rozważać w kontekście wizji „uniwersytetu w ruinie”²⁶. Uczona, odwołując się do rozważań Kazimierza Twardowskiego i Michała Hellera, stwierdziła, że należy zrehabilitować pojmowanie uniwersytetu jako wspólnoty badaczy podejmujących studia dla samego zdobywania prawdy oraz porzucić pragmatyzm nauczania i zorientowanie na zapotrzebowania kapitalistycznego rynku. Legeżyńska do-

²⁵ <http://www.magna-charta.org/resources/files/the-magna-charta/polish> [dostęp: 2.11.2015].

²⁶ A. Legeżyńska, *Krajobraz poboloński. Widok z okna poznańskiego nauczyciela (akademickiego)*, „Teksty Drugie” 2014, nr 1, s. 228-240.

wodziła, że eksponowanie zdobywania umiejętności przez system boloński jest najbardziej szkodliwą zmianą dla naszych uniwersytetów:

Położenie nacisku na ten element [umiejętności – K.F.] rodzi skutki praktyczne, gdyż znacznie więcej uwagi (i zapewne też unijnych pieniędzy) poświęcono i nadal poświęca się modelowaniu dydaktyki niż badawczym powinności uniwersytetu. To przesunięcie akcentu, właściwe być może tylko polskiemu stylowi realizacji bolońskich założeń, uznają za szczególnie niebezpieczny skutek reformy. (...) Na naszych oczach uniwersytet zamienia się w „szkołę”. Tak zwane stopnie kształcenia wczepiają uczelnię w łańcuch edukacyjny jako jedno z ogniw wzajemnie się warunkujących, więc i w pewnym sensie upodobnionych (co oddaje choćby zastosowanie w opisie procesu nauczania tzw. efektów kształcenia). (...) Kult efektywności radykalnie zmienia filozofię podmiotu edukowanego, w modelu „mistrz – uczeń” miejsce mentora zajmuje rzemieślnik edukacji²⁷.

Minimalizowanie znaczenia prowadzenia badań przez kadre akademicką na rzecz dydaktyki nastawionej na zdobywanie umiejętności i potencjalnie lepsze funkcjonowanie na rynku pracy przez studentów, zdaniem Legeżyńskiej, prowadzi do upadku idei uniwersytetu, spłaszczenia kształcenia, egalitaryzmu powodującego coraz niższy poziom prac magisterskich i doktorskich. Uniwersytet po zmianach bolońskich, jak twierdzi uczona, przestał realizować wartości i standardy opisane przez Twardowskiego i Hellera.

Z jeszcze innej perspektywy przyglądał się uniwersytetowi Michał Paweł Markowski, diagnozując:

Universitas jest więc efektem zwrotu ku jedności, jest introwertycznym gestem konsolidacji i tworzeniem jednego ciała, *corpus*, a więc jednej korporacji. (...) Uniwersytet nie może uznać w sobie tego, co subwersyjne, perwersyjne, kontrowersyjne i dywersyjne. Jedyną *wersją*, którą może zaakceptować, jest *konwersja*: zwrot ku wnę-

²⁷ Tamże, s. 237.

trzu, czyli całkowitej autonomii, szczelnie oddzielonej od tego, co zewnętrzne²⁸.

Dlatego też uczony proponował „dekonstrukcję uniwersytetu”, która polegałaby na wpuszczeniu w jego obszar prawa odmienności i heteronomii. Humanistyka po dekonstrukcji wychodzi ku temu, co subwersyjne i dywersyjne. Dekonstruowanie uniwersytetu, jak twierdził autor *Pragnienia obecności*, włącza właśnie moment subwersji, stanowiący podstawę projektu humanistyki jako polityki wrażliwości.

Derrida, na którego w *Polityce wrażliwości* wielokrotnie powoływał się Markowski, w szkicu *Uniwersytet bezwarunkowy* dowodził, że współczesny uniwersytet domaga się

b e z w a r u n k o w e j wolności zapytywania i przedkładania propozycji, a nawet prawa do publicznego głoszenia tego wszystkiego, czego wymagają badania, wiedza i myślenie p r a w d y²⁹.

Uniwersytet, zdaniem Derridy, powinien organizować opór i brać za siebie odpowiedzialność, aby współpracować z siłami pozaakademickimi w przeciwdziałaniu każdemu rodzajowi zawłaszczenia jednostki.

Wydziały humanistyczne w Polsce przed wprowadzeniem Procesu Bolońskiego przeżywały kryzys finansowy, a przede wszystkim duchowy, który nie został zażegnany wraz z reformami; uniwersytet w dobie liberalizmu stanął przed koniecznością redefinicji swojej roli. Wiedza i kompetencje, którą zdobywają studenci kierunków humanistycznych w praktyce nie zawsze przekładają się na lepsze możliwości zdobycia pracy. Przysnać też należy, że badania prowadzone przez humanistów w małym stopniu wpływają na wzrost gospodarczy – niemalże fanatycznie wyznawany przez europejskie państwa demokratyczne. Czy zatem należy finansować wydziały hu-

²⁸ M.P. Markowski, *Polityka wrażliwości...*, s. 373, 375.

²⁹ J. Derrida, dz. cyt., s. 12.

manistyczne, mimo ich „nierentowności”? Odpowiedź pozytywna wydaje się oczywista, wszak to właśnie wykształcenie humanistyczne umożliwia krytyczne spojrzenie na nowoczesny utylitaryzm i racjonalizm, i choć sytuuje absolwenta w opozycji do zasad pragmatycznej gospodarki, to zarazem niesie twórczy potencjał niedogmatycznych rozwiązań. Ponadto, uniwersytet jako wspólnota uczonych i uczących się stanowi przestrzeń krzewienia różnie przez akademików definiowanej wiedzy, która niewątpliwie potrzebna jest społeczeństwu do pełnego, dojrzałego funkcjonowania. Wartości intelektualne i umiejętność myślenia przyczyniają się do (samo)kształtowania się jednostki oraz grup, uwrażliwiają na problemy nierówności społecznych oraz środowiska naturalnego. Uniwersytet, kontynuując prace na rzecz wiedzy, tworzy przestrzeń, w której człowiek może zamieniać bierną zależność od masowej kultury i polityki na rzecz konstruowania własnego obszaru doświadczenia i poznania. A jest to istotna potrzeba ludzka, której realizowanie podnosi standard życia oraz wpływa na ogólny dobrostan.

V. Humanistyka z widokiem na Uniwersytet

18 marca 2015 roku w Poznaniu odbyło się sympozjum naukowe *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet*. Zorganizował je Samorząd Doktorantów Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM oraz kierownik Studium Doktoranckiego WFPiK UAM prof. Elżbieta Nowicka, a udział w nim wzięli zaproszeni Goście: prof. dr hab. Alina Nowicka-Jeżowa, prof. dr hab. Anna Legeżyńska, prof. dr hab. Piotr Nowak, prof. dr hab. Ryszard Nycz, prof. dr hab. Marek Wilczyński oraz pracownicy naukowi i doktoranci WFPiK. Celem sympozjum była refleksja nad problemem humanistyki we współczesnym świecie oraz kwestią kondycji uniwersytetu w Polsce po

wprowadzeniu systemu bolońskiego i reformie systemu finansowania nauki i szkolnictwa wyższego.

Alina Nowicka-Jeżowa, której wykład *Universitas studiosorum w dobie średniowiecza i renesansu. Między ideą a praktyką* rozpoczął sympozjum, podkreśliła rangę badań humanistycznych:

Intensywność dyskusji i wysoka temperatura sporów świadczą, że temat seminarium: „Humanistyka z widokiem na Uniwersytet” nie ogranicza się do zagadnień wewnętrznych – organizacyjnych czy też programowych, lecz dotyka podstawowych wartości życia społecznego: poznania jako dobra wspólnego i fundamentu, na którym budowana jest teraźniejszość i projektowana przyszłość. W przeszłości niekwestionowane, a nawet absolutyzowane, dziś stają się przedmiotem polemiki z „rzeczami niepotrzebnymi”, to jest nieweryfikowanymi pragmatycznie dziedzinami poznania, a wśród nich z bezużytecznymi z pozoru w życiu praktycznym studiami historycznymi, które powinny zostać zastąpione pracą nad kreowaniem przyszłości³⁰.

Uczona przedstawiła powstanie pierwszych ośrodków uniwersyteckich w średniowiecznej Europie. Jak pokazała, idee, którymi kierowały się pierwsze wspólnoty uniwersyteckie, to powszechność, demokratyczność, suwerenność i służba publiczna, prymat etosu nad regulacjami administracyjnymi. Nowicka-Jeżowa w wykładzie wiele miejsca poświęciła początkom i rozwojowi polskich uniwersytetów.

Anna Legeżyńska ukazała problemy, z jakimi zmagają się polskie wydziały humanistyczne. Badaczka dowodziła, że nie mamy do czynienia z kryzysem humanistyki, ale z kryzysem w finansowaniu i organizowaniu prac na uniwersytecie. Legeżyńska krytycznie odniosła się do nacisków, jakie, po wprowadzeniu Procesu Bolońskiego, kładzie się na dydaktykę

³⁰ A. Nowicka-Jeżowa, *Universitas studiosorum w dobie średniowiecza i renesansu. Między ideą a praktyką*, tekst opublikowany w niniejszym tomie.

kosztem finansowania prowadzenia badań. Zdaniem uczoney, to przesunięcie akcentu z działań naukowych na rzecz dydaktyki jest szczególnie niebezpieczne i charakterystyczne jedynie dla polskiego modelu realizowania postanowień bolońskich. Legeżyńska zwróciła uwagę na problemy nadmiernej dokumentacji, obniżenia poziomu wiedzy studentów i absolwentów, braku dbałości o humanistyczną edukację społeczeństwa polskiego. Należy, jak wskazywała uczona, podjąć rzetelne badania nad stanem polskich uniwersytetów.

Piotr Nowak podczas swojego wystąpienia zwrócił uwagę na destrukcyjny wpływ podporządkowania uniwersytetu działaniom urzędników. Autor *Hodowania troglodytów* dowodził:

Uniwersytet winien być immunizowany na chwilowe mody i nowinki, na chimeryczne i zmienne wymogi ze strony urzędników, którzy ograniczają wolność akademicką, wpływając negatywnie na swobodę myślenia i artykułowanie myśli³¹.

Filozof opisał problemy, z jakimi zmagają się pracownicy naukowcy po reformach wprowadzonych przez minister Barbarę Kudrycką, zwrócił uwagę na kwestię parametryzacji, związku pomiędzy wysokością dotacji a liczbą studentów, funkcjonowania władz uczelnianych oraz kryteriów uznania. Nowak ponowił wezwanie, której wcześniej przedstawił w *Hodowaniu troglodytów*, aby wspierać rodzimą kulturę i naukę nawet kosztem czasowej marginalizacji ze strony zachodniego świata nauki.

Ryszard Nycz rozpoczął swoje wystąpienie od uwagi, że kultura stanowi dialog z przeszłością, jednak już w samym jej źródłosłowie (*colere, cultus*) istnieje potencjał semantyczny kierunkujący ten termin ku przyszłości. Kultura – przekonywał badacz – to pielęgnowanie, uprawianie, hodowanie, po-

³¹ P. Nowak, *Hodowanie troglodytów*. Ciąg dalszy nastąpił, tekst opublikowany w niniejszym tomie.

wodowanie wzrostu i rozwoju skupione nie na sobie, ale na innym, który bez tego, rozumianego po sokratejsku, akuszer-skiego wsparcia nie mógłby się urzeczywistnić. Odwołując się do myśli Georga Simmla, Nycz twierdził, że kultura polega na tym, by skłonić, zachęcić, dopomóc bytowi, żeby urzeczywistnił się w pełni. Takie przynajmniej, dopowiadał uczony, było jej etymologicznie usankcjonowane znaczenie, zanim spetryfikowała się, od XIX wieku stając się swoistym systemem kontroli i nadzoru. Pierwotnie kultura pozwalała innym być – być najpełniej, a nie modelowała czy formowała cudze bycie na własny obraz i podobieństwo. Nycz przywołał koncepcję humanistyki przyszłości, argumentując że fundamentalną funkcją dzisiejszej humanistyki jest uwolnienie ludzi od zafiksowania się na przeszłości, której najdobitniejszym wyrazem są obserwowane dziś w Polsce walki symboliczne czy rozmaite polityki pamięci – to one blokują myślenie o przyszłości i powodują niezdolność do projektowania nowego. Humanistyka nie powinna odcinać się od dzieł wielkich mistrzów, Platona czy Shakespeare’a – zaznaczył badacz, ale konieczne jest przepracowanie tej hamującej przeszłości i uwolnienie umysłu oraz ciała do myślenia o przyszłym. Nycz podkreślił również zauważalną zmianę stylu uprawiania humanistyki, który określić można transdyscyplinarnym. To, co nowego, ciekawego i inspirującego wydarza się w nauce – według badacza – na obrzeżach, na pograniczach, poza rdzennymi dyscyplinami, i kryje się pod nazwami: zwroty i studia. Tradycyjni reprezentanci dyscyplin wypierają zwykle takie zainteresowania jako obce i niechciane, a cechą charakterystyczną zwrotów i studiów jest to, że nie można ich wtłoczyć z powrotem w ramy danej dziedziny. Nycz podał przykład studiów nad dźwiękiem, które zajmują się badaniem m.in. hałasu, szumu, ciszy, środowiska i pejzażu dźwiękowego – co pozostaje poza zainteresowaniem muzykologów – a inspirują się: akustyką, antropologią, architekturą krajobrazu, etnolo-

gią, estetyką, geografią, medycyną, muzykologią, psychologią, socjologią, lecz nie tworzą nowej dyscypliny. Takie podejście zostało uznane przez profesora za świeże, interesujące i związane z pewną rekonfiguracją w polu wiedzy humanistycznej. Drugim przedstawionym przykładem były studia nad afektywnością, które, według badacza, wiele wniosły do naszego rozumienia świata, a ich wyrazistą właściwością jest to, że wychodzą poza dualizm kultury i natury, ponieważ to, co afektywne jest równocześnie generowane przez cechy biologiczno-fizyczne i kulturowo-intelektualne, a zatem studia te nie mogą zostać usytuowane w ramach alternatywnego myślenia propagowanego przez nowoczesną naukę. Nycz uznał to za kolejną ważną cechę współczesnej humanistyki – szukanie takich ujęć, spojrzeń i sposobów mówienia o świecie, które nie zamykają nas w dychotomicznym wyborze, ale pozwalają na twórcze łączenie różnych języków. Dyscyplinarne uprawianie wiedzy jest – wedle profesora – kwintesencją uniwersyteckiego badania i kształcenia, zaś studia i zwroty mają charakter pozauniwersytecki, niesystemowy. Nie chodzi jednak o to, aby zaprzestać uprawiania dyscypliny i szukać tylko nowych, pogranicznych gałęzi; wszak nic, co nie zostanie zweryfikowane w konfrontacji z przeszłością nie może się ostać, gdyż nie można mieć wówczas pewności, czy to, co wymyślamy jest faktycznie oryginalne. Niemniej uprawianie humanistyki w trybie komentarzy, interpretacji, systematyzacji i refutacji tego, co zostało dokonane – co niewątpliwie wzbogaca wiedzę – jeśli będzie dominujące, może być zabójcze zwłaszcza dla młodych naukowców. Ci bowiem nie będą mogli konkurować z kolegami z zachodnich uczelni, gdzie kładzie się nacisk na innowacyjność, tj. na zdolność formułowania nowatorskich projektów, które nigdy nie są całkowicie nowe, ale stanowią twórcze połączenie różnych tradycji i koncepcji badawczych. Nycz zachęcał doktorantów do odwagi naukowej, przekonując że doktorat to praca, w której można naj-

śmiało pisać o tym, o czym się chce, oczywiście po uprzednim zweryfikowaniu i sfalsyfikowaniu tez; niemniej jest to kapitał, który w dużej mierze wyznacza dalsze życie naukowe i nie warto skromnie czy lęklonie wchodzić przez drzwi wiedzy.

Marek Wilczyński przedstawił podczas sympozjum dziewięć uwag na temat współczesnej humanistyki i uniwersytetu. Z jednej strony przeobrażenia na świecie, z drugiej zaś wdrażanie zachodnich standardów do polskiego szkolnictwa wyższego spowodowały zmiany w sposobach uprawiania humanistyki na uniwersytecie. Nauka, która niegdyś stanowiła wartość samą w sobie, w Polsce, co ma również miejsce w Stanach Zjednoczonych, stała się wartością na rynku pracy i symbolem wyznaczającym status społeczny. Wilczyński, podobnie jak Nowak, dowodził, że warto zajmować się kulturą oraz nauką polską, nie zaś skupiać na promowaniu osiągnięć polskich naukowców za granicą.

W niniejszym tomie publikujemy również poszerzoną wersję wypowiedzi w dyskusji Małgorzaty Cieliczko, przedstawicielki doktorantów WFPiK, która odwołała się do wizji uniwersytetu Richarda Rorty'ego. Zdaniem amerykańskiego uczonego, Sokratejska filozofia powinna kształtować współczesny obraz studiów humanistycznych. Wizja edukacji humanistycznej, jaką proponuje Rorty, nie jest skupiona na odnajdywaniu prawdy, ale na dyskusji, myśleniu, wątpliwości, kształtowaniu wyobraźni i rozwijaniu kreatywności. Cieliczko, za amerykańskim filozofem, dowodziła, że celem wyższej edukacji powinno być kształtowanie intelektualistów, nie zaś fachowców, choć nie pozostała bezkrytyczna wobec Rortiańskiej propozycji.

Drugim, obok wystąpień, konstytutywnym elementem sympozjum była otwarta debata nad stanem współczesnej humanistyki oraz uniwersytetu, której autoryzowany zapis prezentujemy w niniejszej książce.

VI. Młody humanista na uniwersytecie

Wśród doktorantów, podobnie jak wśród całej społeczności naukowej, znajdują się przedstawiciele zarówno tradycyjnego, jak i postmodernistycznego czy zaangażowanego społecznie nurtu uprawiania humanistyki. Niezależnie jednak od światopoglądu, zderzenie zacięcia i pasji wobec prowadzonych badań z realiami potrzeb rynku pracy powoduje u wszystkich kryzys motywacji. U młodych badaczy być może najwyższy, bowiem przyjmowanie coraz większej liczby słuchaczy na studia doktoranckie związane z ministerialnym dofinansowaniem każdej przyjętej osoby, a co za tym idzie coraz niższe wymagania względem pisanych dysertacji, wreszcie – brak perspektyw zatrudnienia na uniwersytecie powodują, że doktoranci zaczynają czuć się wykorzystywani przez władze wydziałów i instytutów do uzyskiwania przez poszczególne jednostki lepszych wyników w parametryzacji, wyższych dotacji oraz do „cichego” wspomaganie kariery pracowników naukowych. Poczucie swoistego uprzedmiotowienia zwrótnie przyczynia się do narastania wątpliwości co do prawdziwości, a nawet istnienia idei humanistycznych – skoro trudno je już odnaleźć na wydziałach humanistycznych, to w jaki sposób i gdzie nauka może jeszcze sprzyjać kształtowaniu człowieka i jego myślenia?

Najważniejsze problemy na studiach trzeciego stopnia wiążą się z niejasnym statusem doktoranta, który oscyluje wokół pozycji studenta i pracownika, nie będąc wszakże żadnym z nich. Duża liczba przyjmowanych osób przekłada się na niewielki odsetek doktorantów otrzymujących podstawowe, stałe stypendia, a rozliczanie pracy naukowej rokrocznie, od czego uzależnione są owe stypendia, uniemożliwia poświęcenie się np. przez cały rok jedynie dysertacji, bowiem to, o ironio, nie przynosi punktów – tak potrzebnych, by móc liczyć na wsparcie finansowe w kolejnym roku. Praca nad

doktoratem z dziedziny humanistycznej wymaga sporego nakładu czasu, co powoduje, że trudno jest w jej trakcie wykonywać także pracę zarobkową, tym bardziej rozwijać się zawodowo. Absolwent studiów doktoranckich wchodzi więc na rynek pracy właściwie bez doświadczenia, co nie czyni go atrakcyjnym kandydatem dla potencjalnego pracodawcy – oczywiście innego niż uniwersytet czy jednostki badawcze, ale te jeśli już zatrudniają, to zaledwie pojedyncze osoby. Niejednokrotnie sytuacja zmusza jednak doktorantów do podjęcia pracy zarobkowej podczas studiów, co przeciąga czas pisania dysertacji naukowej, a często negatywnie wpływa także na jej poziom. Rzecz ostatnia, czyli ocenianie osiągnięć naukowych ilościowo (liczba znaków tekstu, punktacja czasopisma, w którym się publikuje, niezależnie od jakości samego artykułu etc.) miast jakościowo to już bolączka każdego współczesnego badacza.

Wprawdzie w ostatnich latach wzrosła liczba potencjalnych stypendiów oraz szanse grantowego wsparcia dla prowadzonych badań, mamy także coraz lepsze warunki sprzyjające mobilności (programy wymiany krajowej i zagranicznej, staże, konferencje), to jednak wciąż zmagamy się z problemem uznania, które wynika z niejednoznaczności naszego statusu sytuującego nas bliżej studenta niż pracownika nauki. Niezależnie od naszych osiągnięć zwykle nie mamy szans na kontynuowanie badań po ukończeniu studiów trzeciego stopnia, gdyż instytucje naukowe nie przewidują w najbliższych latach zatrudnień; jesteśmy więc zależni od systemu grantowego, który nie gwarantuje bezpieczeństwa ani stabilności.

Wydziały humanistyczne w dobie kapitalizmu przeżywają kryzys, gdyż – zgodnie z obiegową opinią – nie dostarczają utylitarnych i konsumpcyjnych dóbr. Wierzimy jednak, podobnie jak wszyscy pracownicy naukowci, że wiedza humanistyczna ma wartość poznawczą, która jest niezbędna społec-

czeństwu, choć nie sposób przeliczyć ją bezpośrednio na zyski materialne. Pragniemy szacunku dla prowadzonych przez nas badań oraz pewnej reorganizacji systemowej, bowiem dziś – zgadzając się na minimalną liczbę stypendiów oraz nieadekwatne, biurokratyczne kryteria oceny naszej pracy – siłą rzeczy przyczyniamy się do nieprawdziwego i szkodliwego oceniania wartości intelektualnych jako nieistotnych, a nawet zbędnych we współczesnym świecie.

My, doktoranci – duchowo czując się nieodłączną częścią społeczności badaczy akademickich – jesteśmy przekonani, że humanistyka jest nieodzowna dla zdrowego funkcjonowania społeczeństwa. Kultura oraz nauka to ważna i konieczna inwestycja, nie zaś bezzasadne koszty – stanowi może nieoczywisty, ale bezsprzeczny element gospodarki. Polska humanistyka przyczynia się nie tylko do budowania marki Polski w świecie, ale też do zachowania równowagi wewnątrz naszego kraju.

Alina Nowicka-Jeżowa

Uniwersytet Warszawski

UNIVERSITAS STUDIOSORUM W DOBIE ŚREDNIOWIECZA I RENESANSU. MIĘDZY IDEAŁ I PRAKTYKĄ

Intensywność dyskusji¹ i wysoka temperatura sporów świadczą, że temat seminarium: *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet* nie ogranicza się do zagadnień wewnętrznych – organizacyjnych czy też programowych, lecz dotyka podstawowych wartości życia społecznego: poznania jako atrybutu człowieka myślącego i przejawu jego godności oraz dziedzictwa kulturowego jako dobra wspólnego i fundamentu, na którym budowana jest teraźniejszość oraz projektowana przyszłość. W przeszłości niekwestionowane, a nawet absolutyzowane², dziś stają się przedmiotem polemiki z „rzeczami niepotrzebnymi”, to jest nieweryfikowanymi pragmatycznie dziedzinami poznania, a wśród nich z bezużytecznymi z pozoru w życiu praktycznym studiami historycznymi, które powinny zostać zastąpione pracą nad kreowaniem przyszłości.

Występując w przededniu właściwego seminarium, nie zajmuję stanowiska w tym sporze, lecz czuję się zobowiązana do

¹ Wśród licznych publikacji wskażmy jedną z najnowszych: *Dostojny Uniwersytet?*, red. A. Śliż, M.S. Szczepański, Warszawa 2014.

² Przykładem wypowiedź Józefa Piłsudskiego, odmawiająca prawa do przyszłości tym, którzy nie znają i nie kultywują przeszłości narodowej.

zarysowania historycznego tła dyskusji o problemach współczesnego uniwersytetu. Mottem tego wystąpienia, przypominającego o początkach uniwersytetu w Europie, niech będą banalne *dicta*, że „historia może uczyć życia” (jeśli jest słuchana) i że „nic nowego pod słońcem”.

I. Krótka repetycja historyczna

Powszechnie wiadomo³, że w dobie średniowiecza uniwersytety pojawiały się wraz ze wzrostem zainteresowania kulturą starożytną, która przekazała ikony Sokratesa rozmawiającego z każdym chętnym, „czy to młody, czy stary”, Platona dysputującego z uczniami w gaju Akademosy, Arystotelesa nauczającego w świątyni Apollina Lykeiosa, akademików ateńskich, uczonych z aleksandryjskiego Muzeum oraz kapitolinińskiego Ateneum. Powstaniu uniwersytetów sprzyjały tendencje ówczesnej cywilizacji: rozwój struktur państwowych i kościelnych, stwarzających zapotrzebowanie na specjalistów (doradców władcy, kancelistów, prawników) oraz emancypacja ośrodków miejskich. *Utilitas* nie była jednak dominująca; górowała nad nią *curiositas*, to jest pragnienie poznania prawdy o świecie, człowieku i Bogu. Aleksander Gieysztor pisał:

³ Odwoływać się będziemy do rudymen tarnej wiedzy encyklopedycznej oraz do rozpraw i artykułów: K. Twardowski, *O dostojeństwie Uniwersytetu*, Poznań 1933, reprint: Poznań 2011; J. Starnawski, *O uniwersyteckim studium dyscyplin filologicznych*, Kraków 1993; tenże, *Uniwersytet świątynią wiedzy*, Łódź 2007; *Idea uniwersytetu u schyłku tysiąclecia*, Warszawa 1997 (tu: A. Gieysztor, *Systemy wartości w tradycji europejskiej*, s. 9-14; J. Wyrozumski, *Powszechność nauk w systemie uniwersyteckim dawniej i dziś*, s. 15-20); *Uniwersytet przed reanimacją*, „Znak” 2000, nr 2 (537) (tu: M. Kula, *Może się pozbieramy...*, s. 45-59; T. Węclawski, *Uniwersytet i wyzwania fundamentalne*, s. 60-67); *Autonomia uniwersytetu. Jej przyjaciele i wrogowie*, red. J. Kieniewicz, Warszawa 2007; *Polskie nauki humanistyczne i społeczne w nowym stuleciu w nowej Europie*, praca zbiorowa, Warszawa 2008.

Uczni późnośredniowiecznego uniwersytetu gruntowali swoje oddanie nauce, swój *amor scientiae* w transcendentnym umocowaniu moralnym. Dominowała wiara w porządek świata stworzonego przez Boga, dostępny poznaniu ludzkiemu. Żywiono przekonanie, że najskuteczniejszą w tym kierunku drogę stanowią dociekania umysłu, dociekania, w których było miejsce i na kontemplację⁴.

Podobnie jak cechy, uniwersytety zrzeszały mistrzów i uczniów. Służyły w dużej mierze celom świeckim, choć nauczający i znaczna część studiujących rekrutowała się ze stanu duchownego.

Uczelnie osiągające poziom wyższy niż szkoły lokalne (*studia particulares*), przyciągające studentów i uczonych z różnych krajów, zyskiwały wraz z oficjalną stabilizacją nazwę *studium generale*. Nazwa *universitas* odnosiła się od roku 1221 do korporacji uczących się i nauczających (*universitas magistrorum et scholarium*), a następnie centrum „wszech nauk” (*universitas scientiarum / studiorum / litterarum*). Od XV wieku występowała też nazwa Akademia, nawiązująca do szkoły Platona. Pierwsze tego rodzaju ośrodki naukowe powstały w Bolonii (podawana jest data 1088, przywilej cesarski z roku 1158), Oksfordzie (XII w., szkoła istniała przynajmniej od 1096), Paryżu (poł. XII w., uznany przez króla 1200, przez papieża – 1215), Cambridge (1209), Palencji (około 1212), Salamance (1218), Padwie (1222), Neapolu (1224), Montpellier (prawdopodobnie od 1160; bulla erekcyjna 1289, fakultet medyczny od 1220). Bliski naszej kulturze Uniwersytet w Pradze został oficjalnie erygowany w roku 1348 na bazie istniejącej już dawniej uczelni i rozwijał się pod opieką Karola IV.

Struktura uniwersytetów kształtowała się stopniowo. „Studia generalne” zyskiwały przywileje gwarantujące autonomię prawną i organizacyjną, prawo samorządowego wyboru władz, jurysdykcji, ustalania kierunków kształcenia i promocji naukowych. Stabilność i status tych ośrodków potwierdzały bulle papieskie, określające kryteria i procedury nadawa-

⁴ A. Gieysztor, dz. cyt., s. 11.

nia stopni naukowych i uznawania tytułów, przedmiotów nauczania, a również zakres samodzielności i sposoby obrony zagrożonych praw (m.in. przez podejmowanie strajku). Na mocy decyzji papieskich były erygowane fakultety: sztuk wyzwolonych (fakultet podstawowy, dający tytuły licencjata, bakałarza i magistra *artium*, uprawniający do dalszych studiów), prawa, medycyny, teologii (finalizowane stopniem doktora). Tytuły naukowe nadawane na aprobowanych przez papieża fakultetach były uznawane w całej Europie. Wzorcowe formy organizacyjne wypracowane zostały w Bolonii, Paryżu i Neapolu. Na podobieństwo tych uczelni projektowano młodsze uniwersytety.

Uniwersytet Boloński miał charakter demokratyczny, jego organizacja opierała się na zasadzie korporacyjnej. Studenci zrzeszeni w korporacji strzegli autonomii i własnych interesów, zawierali kontrakty z profesorami. Zorganizowani byli także w tzw. nacjach, to jest związkach narodowych, które od XIII w. miały własne statuty, władze, środki finansowe (studenci wpłacali czesne), a nawet własnych notariuszy i lekarzy. Rękojmię niezależności nacji stanowiło odrębne sądownictwo w zakresie spraw wewnętrznych. Rektor był wybierany spośród studentów, rządził uniwersytetem przy pomocy prokuratorów, to jest delegatów nacji, syndyka, kasjera i notariusza, adwokata i bedela (woźnego). Urzędnikiem uniwersyteckim był także kopista, zajmujący się przepisywaniem tekstów gromadzonych w bibliotekach. Na tle szerokich prerogatyw studenckich zwraca uwagę ograniczenie uprawnień profesorów, którzy mogli jedynie nauczać, egzaminować i nadawać stopnie naukowe. Specjalnością Uniwersytetu Bolońskiego były studia prawnicze, oparte na źródłach starożytnych (głównie Kodeksie Justyniana, odkrytym tu i badanym od połowy XI w.), a prowadzące do kodyfikacji prawa nowożytnego. Spektakularnym osiągnięciem stało się uporządkowanie w XII wieku prawa kanonicznego (*Decretum Gratiani*). Legiści wykształceni w Bolonii pracowali na rzecz unormowa-

nia prawodawstwa w Europie. Z czasem uniwersalny ład legislacyjny, legitymujący się proveniencją antyczną, stał się jedną z cech wyróżniających cywilizację zachodnioeuropejską.

Uniwersytet Paryski został zorganizowany na zasadach kolegiatno-korporacyjnych. Korporacjami były poszczególne wydziały i nacje zrzeszające studentów, charakter kolegiatny miało zgromadzenie profesorów, którzy wybierali spośród siebie rektora i dziekanów. Wszechnica paryska była w stopniu większym niż Bolonia podporządkowana Kościołowi. Większość studiujących stanowili duchowni, podstawą funkcjonowania były finanse kościelne. Władzę zwierzchnią sprawował biskup Paryża, a rzeczywisty zarząd – reprezentujący go kanclerz. Rektor, wybierany na krótko, miał niewielkie uprawnienia.

Uniwersytet w Neapolu, założony przez Fryderyka II, był niezależny od Kościoła, a podporządkowany państwu. Obowiązywała tu rygorystyczna dyscyplina, m.in. zakaz opuszczania uczelni przez studentów i magistrów. Ordynacja neapolitańska, przyjęta tylko w Hiszpanii, nie utrwaliła się w historii europejskiej. Naśladowane były głównie bardziej „wspólnotowe” modele: boloński i paryski.

Po tym encyklopedycznym wstępie chciałabym zwrócić uwagę na te elementy struktury uniwersytetów średniowiecznych i renesansowych, które były i pozostają, moim zdaniem, konstytutywne, a zatem warte rozważenia.

II. Idee fundujące: powszechność, demokratyczność, suwerenność i służba publiczna, prymat etosu nad regulacjami administracyjnymi

Idea powszechności

Konstrukcja uniwersytetu, wypromieniowana z kultury średniowiecznej, wspierała się na ideach, wśród których prymat miała zawarta w nazwie tej instytucji i definiująca ją po-

wszechność. Zyskiwała ona sensy naukowy, środowiskowy, terytorialny, językowy.

Powszechność w sensie naukowym określała uniwersytet jako miejsce wspólne wszystkich sciencji, ujętych w *trivium* i *quadrivium*. Oba te stopnie edukacji zachowywały ścisłą łączność: *trivium* dawało studentowi narzędzia badawcze i komunikacyjne (znajomość gramatyki, dialektyki /logiki/ i retoryki), *quadrivium* kształciło w zakresach geometrii, arytmetyki, astronomii i muzyki, przygotowując do studiów filozoficznych i teologicznych. Troska o koherencję systemu kształcenia wynikała z przekonania, że (jak uczył Platon) struktury życia zbiorowego powinny stanowić organiczną całość.

Środowiskowa interpretacja zasady powszechności otwierała bramy uniwersytetu przed młodzieżą ze wszystkich stanów i wyznaczała swoiste cechy zbiorowości akademickiej – środowiska niezależnego od form feudalnych, wybranego dobrowolnie jako wspólnota uczących się i uczących, umocniona łączącym ich celem poszukiwania wiedzy i mądrości. Nieustanna aktywność intelektualna była wyróżnikiem, a zarazem kryterium przynależności do środowiska uniwersyteckiego.

Powszechność ujmowana w sensie terytorialnym odróżniała uniwersytet od prowincjonalnego *studium particulare* i czyniła zeń miejsce europejskie, erygowane przez instancję ponadpaństwową, otwarte dla wszystkich przybyszów, bez względu na pochodzenie narodowe i społeczne; nie tylko studentów, ale też profesorów kooptowanych bez zbędnych formalności, na mocy *licentia ubique docendi*, nadawanej w imieniu papieża po zdaniu egzaminu w zakresach *lectio* i *disputatio*. Mapa podróży owych *visiting professors* to wyrazisty (i godny pamięci) dokument historii intelektualnej Europy.

Gwarantem powszechności w sensie językowym był język – łacina. *Latinitas* dawnego uniwersytetu to nie tylko medium komunikacyjne, ale też złożone w języku Cycerona dziedzic-

two europejskie, niezależne – jak wierzono – od władzy poźerczego czasu; zasilające współczesność i płodne w przyszłości. Zważmy, że słowo *universitas* oznaczało zarówno wszechświat, jak i ogół ludzi. Tu: gremium żyjące w europejskim kosmosie terytorialnym, cywilizacyjnym i kulturowym; kulturę tę tworzące i przyjmujące za nią odpowiedzialność. A zatem uniwersalistyczny projekt średniowiecznej Europy wspierał się nie na dwóch (cesarstwo i papieństwo), lecz na trzech filarach. Trzecim była *universitas scientiarum* – powszechność nauk, które zbliżały człowieka myślącego do Boga jako źródła prawdy i pomagały mu uczynić ziemię sobie poddaną. Misję tę podjęło na przełomie XV – XVI w. ponad 60 uniwersytetów, a wraz z nimi cała humanistyczna *Respublica litterarum*, ekspandująca poza mury starych uczelni.

Projekt powszechności uniwersytetu nie pozostawał w sferze utopijnych wizji. Został zrealizowany w średniowieczu, a kontynuowany w epokach wczesnonowożytnych, i zachował aktualność do naszych czasów. Kształtował nie tylko formy studiów, ale też życie religijne i codzienne scholarów, przybywających z różnych stron Europy, scenariusze świąt i barwny folklor studencki. W dobie humanistycznego renesansu, gdy nowa formuła powszechności: „rzeczpospolita uczonych” zaczęła dominować nad tradycyjnymi rytuałami, wspólnota ludzi nauki znajdowała wyraz w gościnności profesorów, którzy otwierali swe domy dla studentów, w sympozjonach, prywatnych akademiach, teatrze, debatach religijnych, widowiskach miejskich. Wszystkie te nowości spowodowały – jak młode wino wlane do starych bukłaków – destrukcję skostniałej już scholastyki, uprawianej przez klan *virorum obscurorum* i dały początek nowym nurtom kultury.

Aby poczynione uogólnienia stały się bardziej konkretne, spójrzmy w tym aspekcie na Akademię Krakowską. Europejski charakter nadawały jej:

- organizacja według wzorców bolońskiego i paryskiego;

- kanon tekstów źródłowych obowiązujących na wszystkich uczelniach;
- księgozbiór zawierający literaturę naukową czytana w Europie;
- scholastyczna metodologia poznawania i komentowania tekstów, metodyka kształcenia;
- formy twórczości naukowej oraz problematyka badawcza: teologiczna, filozoficzna, prawna, przyrodnicza, aktualna wówczas w Europie;
- łacina, którą profesorowie krakowscy 2. połowy XV i pocz. XVI wieku doskonalili zgodnie z nowoczesnymi tendencjami retorycznymi;
- liczebność studentów zagranicznych (okresowo nawet 50%);
- związki z uniwersytetami zagranicznymi oraz rozgłos europejski naszych uczonych: Mateusza z Krakowa, Pawła Włodkowica, Jana z Dąbrówki, Wojciecha z Brudzewa, Macieja Miechowity, Marcina Kromera, później Michała Sędziwoja.

Przejawem europejskości Akademii Jagiellońskiej był także analogiczny do europejskiego rytm przemian dokonujących się u progu renesansu. Znakiem ich były wykłady humanistów przybywających z różnych krajów, przenoszenie się debat intelektualnych na obszar miejski, niesformalizowane „kluby” intelektualne powstające wokół Uniwersytetu, jak stworzona przez Konrada Celtisa, przy współpracy Kallimacha, *Sodalitas Litteraria Vistulana* (1489). Nowe impulsy nie spowodowały jednak rozbicia dawnej struktury, która stała się przyczyną ograniczenia horyzontów badawczych i edukacyjnych, a z czasem hamowała rozwój uczelni.

Idea demokratyczności

Rdzeniem wspólnoty uniwersyteckiej było przekonanie, że transcendentny status prawdy stawia wszystkich, którzy jej

szukają, obok siebie. Uzasadniała to zarówno chrześcijańska nauka o równości ludzi względem źródła prawdy – Boga, który nie ma względu na osoby, jak i neoplatoński koan drogi ludzkości do Prawdy, oddalającej się wraz z rozpoznawaniem kolejnych przestrzeni. Oczywiście, istniała hierarchia stanowisk, ustalana według kryterium kompetencji naukowych, lecz zasady solidarności środowiskowej oraz jedności nauki i nauczania pozostawały niekwestionowane. Sprawdzianem ich była płynność ról nauczyciela i studenta. Bakałarz lub magister *artium*, wykładający na tym wydziale, był często studentem filozofii czy teologii. Zasada rewersyjności ról uczącego i uczącego się wyznaczała również podstawową relację mistrz – uczeń, która przez wieki dowodziła swojej mocy anamnetycznej i formacyjnej, jeśli tylko pozostawała autentyczna, to jest zrodzona z wolnego wyboru, nie zaś przymusu administracyjnego.

W atmosferze demokratycznej debaty możliwe było kształtowanie rozmaitych koncepcji organizacyjnych i wybór tej spośród nich, która najbardziej odpowiadała miejscowym warunkom oraz potrzebom. Studia Henryka Barycza poświęcone Padewskiemu Ateneum pokazują, jak inteligentnie i elastycznie działali nasi scholarzy, a wśród nich Kochanowski i Zamoyski, by zapewnić nacji polskiej właściwą przestrzeń i znaczenie w życiu Akademii⁵. Aktywność środowiska akademickiego była podsycana poczuciem odpowiedzialności za Wszechnicę, a zarazem za własne losy w czasie studiów i po ich ukończeniu. Na to warto zwrócić szczególną uwagę. I w Padwie, i w Bolonii studenci brali sprawy we własne ręce, nie oczekując biernie na gotowe rozstrzygnięcia.

⁵ Wśród wielu rozpraw na ten temat wskażemy: H. Barycz, *Z zaścianka na Parnas. Drogi kulturalnego rozwoju Jana Kochanowskiego i jego rodu*, Kraków 1981, s. 135-156.

W murach uniwersytetu było oczywiste, że *vera obilitas* nie zależy od urodzenia i majątku. Odpowiedzialność za rozwój nauki zobowiązywała Matkę Karmicielkę do opieki nad ubogimi a wybitnymi studentami. Powinność ta nie pozostawała pobożnym życzeniem moralistów, czego dowodem – jednym z wielu – kariera Petrusa Ramusa, syna ubogiego chłopca, który rozpoczął naukę (w roku 1527) jako serwitör bogatego kolegi, lecz osiągnął wysoki prestiż, godności akademickie i zamożność, a na koniec stał się jednym z organizatorów i benefaktorów nowoczesnego *Collegium regium* (*Collège de France*).

Na początku XV wieku syn chłopca z Kujaw Jan z Ludziska rozpoczął studia na Akademii Krakowskiej, kontynuował je w Padwie (uzyskując doktorat medycyny), polerował swą erudycję humanistyczną w Ferrarze (pod kierunkiem Guarina z Werony) oraz w Rzymie, by po powrocie do kraju zdobyć sławę jako profesor i oficjalny mówca Akademii, współpracownik biskupa Oleśnickiego. W sto lat później inny „chłopski synek” – Klemens z Januszkowa znalazł w poznańskim gimnazjum biskupa Lubrańskiego warunki, które pozwoliły mu rozwinąć skrzydła i zdobyć w Padwie (pod życzliwym patronatem Lazzara Bonamica, człowieka niskiego pochodzenia, i arystokraty Pietra Bemba) doktorat filozofii i laur poetycki na Kapitolu. Marcin Kromer, z pochodzenia mieszczanin, ufundował jako kanonik krakowski dwa stypendia dla scholarów z rodzinnego Biecza, oczekując od nich służby na rzecz miasta, a przed śmiercią przeznaczył stały fundusz na potrzeby niezamożnych studentów. Stanisław Hozjusz utrzymywał w Braniewie 64 studentów. W bliższych nam czasach Akademia Krakowska przygarnęła chłopca z Komborni – Stanisława Pigionia⁶. Również troska o zapewnienie niezamożnym

⁶ O tym sam uczyony w autobiograficznej książce *Z Komborni w świat. Wspomnienia młodości*, Kraków 1957, wyd. nast. Warszawa 1983.

scholarom dachu nad głową była zawsze oczywistością, czego dowodem bursa Jeruzalem Zbigniewa Oleśnickiego czy *contubernium pauperum* Jana Isnera (1409).

Oczywiście demokracja realizowała się na miarę czasów, stąd wyłączość mężczyzn. Niemal wyłączość, jeśli pamiętamy o Nawojce, która studiowała ponoć przez dwa lata (przed 1400) w męskim przebraniu, a zadenuncjowana twierdziła, że pragnienie poznania świata stworzonego przez Boga popchnęło ją do tak zuchwałego postępuku. Żywota swego dopełniła jako przeorysza, która dbała o wykształcenie zakonnic.

Idee suwerenności, odpowiedzialności i służby publicznej

Prawo papieża do certyfikowania uniwersytetów jako szkół najwyższego rzędu, obdarzonych przywilejami odpowiadającymi tej godności i odpowiedzialności, było respektowane znacznie dłużej niż trwała rzeczywista władza biskupów Rzymu nad Europą. Na mocy bulli papieskich zaistniała zarówno Akademia Krakowska (Bonifacy IX, bulla z 11 stycznia 1397), jak i Akademia Wileńska (Grzegorz XIII, 1579), a także Akademia Zamoyska (Klemens VIII, 29 października 1594). Ten, wydawałoby się, anachroniczny już u progu doby nowożytnej obyczaj wyrażał afiliację uniwersytetu do porządku duchowego, a zarazem przekonanie, że nadzór polityczny jest dla wspólnoty uniwersyteckiej zagrożeniem, włącza bowiem uczelnię w sieć zmiennych uwarunkowań i doraźnych nacisków, pozbawiając poszukiwania naukowe niezbędnych im cech dalekowzroczności i bezinteresowności. Przykład uczelni neapolitańskiej, która cierpiała z powodu nadopiekuńczości księcia, potwierdzał te obawy. Również Albrecht Hohenzollern, twórca uniwersytetu protestanckiego w Królewcu⁷, poddawał profe-

⁷ Uniwersytet protestancki w Królewcu został powołany decyzją księcia Albrechta Hohenzollerna, a przez Zygmunta Augusta obdarzony przywilejami Akademii Krakowskiej.

surę i studentów nadzorowi, wymagając przy immatrykulacji deklaracji wyznaniowej, a następnie jej respektowania. Zapewne skutkiem tego młody Kochanowski wyjechał z Królewca po uzyskaniu subwencji udzielonej przez księcia, by dzięki niej przenieść się do liberalnej Padwy i zapomnieć o celu, jakim owo stypendium miało służyć.

Pouczone są również interakcje Akademii Padewskiej z „opiekunką” – Republiką Wenecką, rozgrywane inteligentnie przez obie partnerki, które zresztą pozostawały w przezornie ustalonej odległości geograficznej. Szło z jednej strony (powiedzmy żartobliwie) o komfort starych mężów pięknych wenecek, których urodę komplementował Kochanowski w forcoenium *In puellas venetas*, i zapewne nie on tylko. Z drugiej (to już serio) – o bezpieczeństwo intelektualistów padewskich, niekoniecznie prawowiernych.

Zauważmy, że niezależność uniwersytetu od rządu politycznego często nie była wywalczona, lecz dana. Władcy okazali się dość mądrzy, by rozumieć, że próby uzależnienia środowisk uniwersyteckich, narzucenia im regulacji administracyjnych opatrzonej znakiem *ne varietur* to droga donięd, i dość przewidujący, by wiedzieć, jakie skutki miałyby nadmierne uzurpacje. I nie jest przypadkiem, że uniwersytety, które cieszyły się suwerennością, lojalnie, a wręcz gorliwie służyły państwu. Tak było w Bolonii, która – jak wspomniałam – ukonstytuowała prawo i obdarowała Italię i Europę legionem doskonałych legistów, lekarzy i astrologów, a własne i sąsiadujące miasta – „nowym słodkim stylem”. Tak też było w Krakowie. Wiadomo, że odnowienie, a w istocie powtórne narodzenie się Akademii Krakowskiej dokonało się dzięki determinacji w tym dziele Jadwigi – królowej o szerokich horyzontach intelektualnych, politycznych i duchowych oraz jej małżonka, świadomego znaczenia uniwersytetu dla prestiżu państwa polsko-litewskiego i pojmującego niezbędną wyższą uczelni wobec potrzeb administracyjnych, religijnych

(chrystianizacja Litwy) i politycznych (zmagania dyplomatyczne z Krzyżakami). Nadzieje fundatorów ziściły się w pełni, gdyż imperatyw służby obywatelskiej został w środowisku Akademii głęboko i prawdziwie zinterioryzowany. Wiele tu do myślenia dają miejsca wspólne oracji Jana z Ludziska i Jana Zamoyskiego na inauguracji Akademii Zamoyskiej, podkreślające wartość nauki i edukacji dla rozwoju Rzeczypospolitej.

Idea udziału intelektualistów w pracach *pro publico bono* nie zamykała się w retoryce okolicznościowej. Nie sposób wyobrazić sobie monarchii jagiellońskiej bez wsparcia, jakiego jej udzielali filozofowie, teolodzy, teoretycy państwa i prawa, oraz bez twórczej aktywności wychowanków Akademii: mężów stanu (kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, arcybiskupa lwowskiego Grzegorza z Sanoka, kardynała Stanisława Hozjusza, kanclerza wielkiego kor. Jana Zamoyskiego), historyków (Jana Długosza, biskupa Marcina Kromera), poetów (Jana Kochanowskiego, Szymona Szymonowica), pisarzy politycznych (Andrzeja Frycza Modrzewskiego), kartografów (Bernarda Wapowskiego), astronomów ze szkoły Wojciecha z Brudzewa (Mikołaja Kopernika).

Należy podkreślić, że wybitni nasi uczeni byli nie tylko teoretykami, ale też działaczami zaangażowanymi w aktualne sprawy polityczne i społeczne. Postawa ich zainicjowała trwały w humanizmie polskim imperatyw odpowiedzialności intelektualistów za bezpieczeństwo i rozkwit ojczyzny. Utrwaliła przekonanie – upowszechnione i utrwalone w XVI stuleciu – że misją i celem zbiorowego wysiłku twórców kultury jest stworzenie i umocnienie suwerennego państwa narodowego, opartego na stabilnym, bo transcendentnym prawie i na podstawach demokratycznych. Wyrazistym tego przykładem jest traktat Jana Ostroroga *Monumentum... pro Reipublicae ordinatione* (*Traktat o uporządkowaniu Rzeczypospolitej*, ok. 1477).

Najbardziej spektakularnym osiągnięciem profesorów oraz dawnych studentów Akademii, działających bezpośrednio na terenie politycznym, było wykreowanie ustroju Rzeczypospolitej, najnowocześniejszego z możliwych wówczas, oryginalnego na tle europejskim. Projekt ten wyrastał z rozważań teologów i prawników XV w., którzy na gruncie prawa natury, Biblii i nauki Kościoła starali się określić niezbywalne prawa człowieka i narodów (Paweł Włodkowiec, Łukasz z Wielkiego Koźmina, Benedykt Hesse, Maciej z Raciaża, Andrzej Łaskarz, Jakub z Szadka), zdefiniować wojnę sprawiedliwą (Stanisław ze Skarbimierza, autor kazania *De bellis iustis*, Paweł Włodkowiec, Benedykt Hesse), przeciwstawić się agresji wobec ludów pogańskich (Paweł Włodkowiec, Jakub z Paradyża, Jan z Ludziska, Andrzej Gałka z Dobczyzna, Jan Ostroróg, Jan z Szadka).

Świadomi aktualności i doniosłości tych zagadnień wobec konfliktu z zakonem krzyżackim, krakowscy profesorowie przygotowywali się pieczołowicie do wystąpień w trybie – powiedzielibyśmy dziś – pracy zespołów badawczych, a następnie przedstawiali na forum międzynarodowym: w kurii rzymskiej, na soborach i podczas sądów arbitrażowych mowy i traktaty, które konfrontowały się skutecznie z dyplomacją krzyżacką i radykalnie zmieniły obraz Polski, przedstawianej przez adwersarzy jako kraj barbarzyński, wręcz półpogański. Taką rolę odgrywał sławny traktat Włodkowica *O władzy papieża i cesarza wobec pogan* (przedstawiony na soborze w Konstancji, 1414–1418). Dzieła uczonych piętnastowiecznych stały się podstawą wykreowanej w XVI stuleciu nowej formy państwa obywatelskiego – demokracji szlacheckiej. Fundamentalne znaczenie miały sformułowane w nich tezy:

- władca, a zarazem aparat polityczny podlegają prawu;
- prymat prawa, nadanego przez Boga, wynika z jego bezwzględnej wartości etycznej. Etyka stanowi zatem

podstawę dyskursu politycznego i kryterium wyborów politycznych;

- lud (w sensie arystotelesowskim, to jest gremium obywateli, czyli szlachta) jest powołany do wolności, a tym samym do szczęścia;
- w celu realizacji wartości lud zawiera umowę społeczną z królem, który z tej racji jest jej sygnatariuszem, a nie władcą absolutnym.

W laboratoriach krakowskich teologów formowały się także koncepcje koncyliarystyczne, dowodzące wysokiej rangi kolegialnych orzeczeń soborów. Rozgłos zyskały wystąpienia Tomasza Strzępińskiego, Benedykta Hessego, Jana Elgota na soborze w Bazylei (1433, 1400, 1441–1442); szeroko komentowany był traktat *O powadze świętych soborów*, przedstawiony w Bazylei – wspólne dzieło Jakuba z Paradyża, Benedykta Hessego, Jana Elgota, Wawrzyńca z Raciborza, Tomasza Strzępińskiego.

Trwałym wkładem uczonych krakowskich w kształtowanie się humanistycznej kultury Pierwszej Rzeczypospolitej była idea zgody, odnosząca się najpierw do debat naukowych, a w wieku XVI do polemik religijnych. Gdy europejscy filozofowie XV wieku toczyli boje o prymat „dawnej” lub „nowej” drogi filozoficznej (*via moderna* lub *via antiqua*), w Krakowie propagowano konkordyzm, to jest postawę przewycięzania kontrowersji naukowych na drodze uzgodnień, a nadto wytyczono „trzecią drogę” – tzw. *via communis*, która miała pogodzić przeciwne sobie opcje filozoficzne, „dawną” i „nową” (Piotr Wysz, Jan Isner, Paweł z Worczyna, Benedykt Hesse, Piotr z Sienna, Wawrzyniec z Raciborza, Jan ze Słupczy).

Trzeba zaznaczyć, że tendencja ireniczna (proklamowana w kazaniu sapiencjalnym Stanisława ze Skarbimierza *O tym, że należy wyżej cenić mądrość niż oręż wojenny*) nie wynikała z powierzchownego kompromisu. Filozofowie krakowscy pierwszej poł. XV wieku prowadzili studia w zakresie *via moderna*,

wywodzącej się z nominalizmu Ockhama, i osiągnęli na tej drodze znaczne sukcesy naukowe, szczególnie w zakresie filozofii przyrody, metafizyki, logiki, etyki. W drugiej połowie stulecia i na początku wieku XVI zaznaczył się zwrot ku *via antiqua* i na jej szlaku wyodrębniły się ścieżki neoplatonizmu, tomizmu, albertyzmu, synkretyzmu, szkotyizmu, awerroizmu, augustynizmu, a także tendencje wiklefofsko-husyckie (Andrzej Gałka z Dobczyna).

Przyglądając się pracom intelektualnym, owocującym na obszarach politycznym i społecznym, należy także wziąć pod uwagę oddziaływanie elity akademickiej na kulturę religijną.

Uniwersytety europejskie były laboratoriami teologicznymi i filozoficznymi, a zarazem ośrodkami kultury duchowej, gdyż badania i nauczanie traktowano jako powołanie analogiczne do kapłaństwa. Misję religijną (a zarazem etyczną) realizowała także Akademia Krakowska, wyróżniająca się wysokimi kompetencjami mariologicznymi i pastoralnymi. Tu kształtowała się doktryna koncyliaarystyczna, tu zapadały decyzje etyczne, ujmowane w traktatach prawnych i instrukcjach dla spowiedników. Profesorowie podejmowali zadania duszpasterskie, byli wybitnymi kaznodziejami, przekładającymi wysokie treści teologiczne na język dostępny dla laikatu. Przykładem *Kazania o Niepokalanym Poczęciu Maryi* profesora Jana z Szamotuł, bernardyna, zwanego „mistrzem Paterkiem” (1506–1518).

Pod wpływem czeskim (profesorów Karoliny związanych z kręgiem arcybiskupa Jana z Jenšteina) rozwinęła się w Krakowie „nowa pobożność”, oparta na kulcie Eucharystii i naśladowaniu Chrystusa w ubóstwie, pokorze, pracy, miłości bliźniego. Zainspirowani nią intelektualiści (m.in. Mateusz z Krakowa, Paweł z Worczyna, Jakub z Paradyża, Stanisław ze Skarbimierza) dawali świadectwo praktykowania cnót zgodnie z głoszonymi zasadami. Doskonałością chrześcijańską wyróżniał się Jan z Kęt (Jan Kanty), otoczony powszechną

nym szacunkiem, uznany z czasem za błogosławionego i świętego. W grono świątobliwych i błogosławionych zaliczył Kościół również bernardynów związanych z Akademią Krakowską: Jana z Dukli, Szymona z Lipnicy, Ładysława z Gielniowa, Rafała z Proszowic.

Etos naukowy

To, co zostało powiedziane na temat principiów powszechności, demokratyczności i suwerenności sprzężonej ze służbą publiczną, pozwala twierdzić, że tożsamość uniwersytetu jest wyznaczona przez idee i wartości, a etos naukowy ma (sc. powinien mieć) niekwestionowany prymat nad regulacjami administracyjnymi. Znamienne, że regulacje te przejawiają tendencję do samoczynnego i niekontrolowanego mnożenia się, charakterystyczną dla organizmów chorych. Takiej patologii nie przejawia kodeks etyczny uniwersytetu, przekazywany niemal bez zmian na mocy tradycji kontynuowanej przez stulecia, a zawarty w lapidarnie krótkim tekście ślubowania doktorskiego. Złożenie uroczystego ślubowania, analogicznego do tego, które czyniło człowieka rycerzem, zakonnikiem, małżonkiem, było warunkiem przyjęcia do wspólnoty akademickiej. Ślubujący podejmował zatem decyzję egzystencjalną, wymagającą wierności kodeksowi, który, po pierwsze, ustanawiał dozgonny związek z akademią i wymagał wobec niej dyspozycyjności. Po drugie: żądał nieskazitelności życia i zachowania godności osobistej. Po trzecie: zobowiązywał do wytrwałej pracy zmierzającej do rozpowszechnienia światła prawdy, od której zależy szczęście rodzaju ludzkiego.

Główną powinnością i cechą postawy człowieka uniwersytetu jest zatem praca, która prowadzi do poznania prawdy. Wydaje się to oczywiste, jednak trzeba prześledzić biografie uczonych, by uświadomić sobie doniosłość tego polecenia

i miarę heroiczności jego realizacji. Pomyślmy o Petrarce, który zmarł nad badanymi rękopisami; o Sebastianie Petrycyem z Pilzna, który „w trudach więzienia moskiewskiego” parafrazował „na utulenie żalów” wiersze wenuzyjskiego mistrza; o hetmanach, wychowankach Akademii Krakowskiej i uniwersytetów zagranicznych, którzy na wojnę wozili księgi, by po batalii czytać je nocą w namiotach wojennych; o zmarłym niedawno profesorze Starnawskim, który w przeddzień śmierci wysłał do redakcji ostatnie rozprawy...

Zauważmy, że ta prosta reguła akademickiej obserwacji wyznacza zasady organizacji uczelni. Uniwersytet, któremu się życzy, by *semper sit in flore*, to miejsce tak urządzone, by sprzyjało pracy. Im więcej tu innych zajęć, tym mniej spodziewanych owoców. Zauważmy także, że reguła pracy jest w kanonicznym tekście przysięgi obwarowana negatywnymi odniesieniami. Wyłaniają się one z aksjologii średniowiecznej, której mądrość warto byłoby brać pod uwagę. Drogę ku światłu prawdy zagradzają żądze zysku (*invidia pecuniae*), kariery (*ambitio dignitas, magnitudo nominis*) i sławy (*vana gloria*): elementarne zniewolenia, które wskazują fałszywe cele i podporządkowują człowieka idolom, uniemożliwiając przyjęcie daru Bożego, jakim jest poznanie prawdy. Na drodze właściwej natomiast towarzyszą zaś człowiekowi uniwersytetu duchy im przeciwne: bezinteresowności (która jest cnotą szlachecką: *magnanimitas*) i pokory, która wieńczy proces oczyszczenia (*via purgativa*), umożliwiając wejście w przestrzeń oświecenia (*via illuminativa*). Aleksander Gieysztor pisał:

Istota ludzka w oczach uczonych stoi przed wyzwaniem, które wynika z jej niedoskonałości. Myśl tę, nieobcą antykowi klasycznemu, pogłębiło moralnie chrześcijańskie rozumienie człowieka jako istoty grzesznej. Ten niedostatek, także uczonego, należy przeto przezwyciężyć z pomocą wartości etycznych, takich jak skromność, szacunek wzajemny ludzi nauki, pokora, samokrytycyzm, a przede wszystkim nieustanne dążenie do prawdy. Składają się one na ide-

alny wizerunek badacza i nauczyciela zarysowany w mowach rektorskich tego czasu. Poszukiwanie prawdy jako celu nadrzędnego wymaga odrzucenia pokusy nazywanej *ambitio dignitatis*, pokusy kariery; użyte przy jej osiąganiu środki mogą bowiem przesłonić cel fundamentalny. W piętnastowiecznym uniwersytecie krakowskim piętnowano urzekanie się uczonych blaskiem swego nazwiska, *magnitudo nominis*, jako motywacją działania.

(...) Nauka jest dobrem publicznym. Broni to jej ludzi przed pokusą nazywaną *invidia pecuniae*, przed zawiścią pieniądza, przed uprawianiem nauki i nauczania dla zysku. Co nie przeszkadzało ani godziwej zapłacie za naukę, ani nadziei na zarobek w profesji intelektualnej po studiach. Ale (...) zakładało ograniczenie ceny nauki jako towaru na rynku. Ów limit komercjalizacji wiedzy miał się stać wartością aksjomatyczną uniwersytetu⁸.

Pokora i samokrytycyzm – przejawy dojrzałości osobowej – rodzą szacunek dla innych poglądów i tolerancję, która wszakże nie jest indyferentyzmem, lecz skutkiem uznania wolności nauczania i badań, oczywiście w ramach porządku intelektualnego i etycznego, z poszanowaniem dla gromadzonej przez poprzedników, a zweryfikowanej wiedzy⁹.

Nie zapominajmy, że średniowiecze to okres współistnienia kultur chrześcijańskiej, muzułmańskiej i judaistycznej (np. w Toledo), spotkania i przenikania się światów łańciskiego, greckiego i arabskiego (w Palermo). Już w dokumencie Fryderyka Barbarossy z 1158 roku *Authentica „Habita”* czytamy o konieczności zagwarantowania bezpieczeństwa wędrującym w poszukiwaniu nauki, która jest światłem rozjaśniającym świat¹⁰. Również późniejsze stulecia dają dowody tolerancji wobec członków akademickiej wspólnoty¹¹. Decyzja o wydale-

⁸ A. Gieysztor, dz. cyt., s. 17.

⁹ Por. szkic J. Starnawskiego *O granicach wolności*, w: *Uniwersytet świętynią wiedzy*, s. 12-18.

¹⁰ J. Wyrozumski, dz. cyt., s. 15-16.

¹¹ Por. M. Korolko, *Tolerancja w kulturze polskiej średniowiecza i renesansu*, w: *Nurt religijny w literaturze polskiego średniowiecza i renesansu*, red. S. Nieznanowski, J. Pelc, Lublin 1994.

niu z uniwersytetu wiklefyisty Jędrzeja Gałki z Dobczyna nie była jednomyślna, a jego pisma nadal czytano i komentowano. W samym zaś momencie ujawnienia herezji biskup Zbigniew Oleśnicki, którego energia, szybkość i niezawodność działań ujawniły się w powstrzymaniu naporu husyckiego pod Grotnikami, „nie mógł” znaleźć Gałki w podkrakowskim klasztorze cystersów, gdzie służby biskupie dotarły dopiero wtedy, gdy zbieg był już w bezpiecznej odległości. Podobną nieśpieszność wykazywał biskup Piotr Tomicki w dyscyplinowaniu jednego z pierwszych protestantów na Uniwersytecie Jagiellońskim, mistrza Jakuba z Ilży młodszego. Później, w dobie kontrreformacji ksiądz katolicki profesor Marcin Wadowita uratował radykalnego teologa Fausta Socyna przed zagrażającym mu tłumem (1598). W połowie XVI wieku sąd inkwizytorski w Padwie odstąpił od inkryminowania Bernardina Tomitana, gdy ten zapewnił, że nie jest autorem nieprawowiernego druku *Espositione letterale del testo di Mattheo Evangelista*, opublikowanego w Wenecji w roku 1547 pod jego nazwiskiem, lecz jakoby bez jego wiedzy i zgody. Podobnych przykładów dostarcza też nowa historia uniwersytetu. Można je wskazać nawet w trudnych latach powojennych.

Z myślą o terażniejszości wspomnę, że zagrożeniem dla tolerancji i swobody pracy naukowej może się stać uwikłanie ocen projektów badawczych w przekonania cenzorów o jedynie słusznej, bo własnej metodzie studiów. Nadmienię ponadto, że charakterystyczną od wieków pokusę nietolerancji podpowiada wartościowanie wedle kryterium „nowoczesność” *versus* „tradycjonalizm”. Warto pamiętać (powtórzę) o losach *via moderna* i *via antiqua* na średniowiecznym uniwersytecie. W Krakowie „stara droga” stała się w pewnym czasie preferowaną „drogą nową”, bardziej nowoczesną i operatywną niż ta, która nosiła miano *via moderna*. I warto też zważyć, że właśnie, i tylko w Krakowie zaproponowano ireniczną „trzecią drogę”, co uśmierzyło konflikty środowiskowe.

Formą wyrazu pluralizmu oraz tolerancji akademickiej był, i pozostaje, dialog, o którym tak pisał Jan Kieniewicz:

Istotą uniwersytetu było i pozostaje formowanie przestrzeni dialogu. (...) Uniwersytecka przestrzeń dialogu ma (...) dwa wymiary: pierwszy jest osobisty, tworzy go poszukiwanie prawdy; drugi jest wspólnotowy, to wielość poglądów, wielość kultur, wielość pokoleń. Warunkiem niezbędnym dla trwania obu wymiarów jest praktyka wolności. W przestrzeni dialogu formuje się istota uniwersytetu: obowiązek krytyki, prawo do wątpienia i gotowość do sprzeciwu łączą się z uznaniem inności. Wszyscy są Inni w uniwersytecie, razem i osobno uczestniczą w europejskiej *unitas multiplex*, a więc pozostają sobą – w gotowości do dawania i otrzymywania – by (...) *magis veritas propagetur*. (...) Jeśli poszukiwanie prawdy jest w uniwersytecie równoznaczne z uznaniem inności, to znaczy, że przyjmujemy, jako osoby i jako wspólnota, obowiązek konfrontacji z tożsamością Innego. Zarazem wierność własnej tożsamości jako element szukania prawdy jest ustalaniem istotnego aspektu tego poszukiwania w postaci stwierdzenia, że Ja jestem Innym, że wszyscy jesteśmy – wobec siebie – Innymi. Tak spletają się te wymiary. Poszukiwanie prawdy nie jest zatem oderwane od losu wspólnoty akademickiej, jest warunkiem jej istnienia¹².

Wśród wartości konstytuujących etos akademicki w jego tradycyjnej postaci szczególne znaczenie ma przyjaźń, apoteozowana przez Marsilia Ficina jako forma miłości najszlachetniejsza, bo skupiona wokół wspólnego celu: dążenia do prawdy. Rozumiano, że zwrócenie się przyjaciół w stronę transcendentnej Prawdy uczy pokory i szacunku dla drugiego człowieka i broni przed uwikłaniem związku we wzajemną idolatryczną adorację. Zabezpiecza też przed zamknięciem się w oficjalnych, z natury rzeczy nieautentycznych formułach. Nadaje relacjom uniwersyteckim, zarówno mistrza z uczniem, jak i uczniów między sobą, piętno prawdziwie ludzkie. Otwiera okna auli wykładowych na powiew życia, zabawę, radość, bez których nauka więdnie i usycha.

¹² J. Kieniewicz, *Poszukiwanie prawdy i przestrzeń dialogu*, w: *Autonomia uniwersytetu*, s. 62.

Świadczą o tym trwale przyjaźnie koleżeńskie studentów i profesorów ze studentami, np. Erazma z Janem Łaskim młodszym, Sigoniusa z Zamoyskim, Marcantonio Bonciaria ze scholarami z Polski, portretowanymi przez Barycza „u stóp ślepego mistrza”; Galileusza z Danielem Naborowskim. Tworzyły one silną więź pokoleniową elity europejskiej, stymulowały modernizację Europy na progu renesansu oraz szybki awans kulturowy i cywilizacyjny obszarów peryferycznych. Obyło się tu bez instytucjonalizacji, która potrzebna jest tym bardziej, im słabsze są motywacje wewnętrzne.

Pytania końcowe

Pod koniec tej gawędy chciałabym podzielić się z Państwem nurtującym mnie pytaniem o wewnętrzne znaczenie (jakby to określił Panofsky) symbolicznej ikonografii uniwersytetu: stroju, oznak dostojności: płaszcz monarszego, berła, pierścienia, łańcucha. Czy spektakl, który oglądamy podczas inauguracji roku akademickiego, immatrykulacji, nadania stopni doktorskich, niesie z sobą jeszcze dawne idee? Czy mogą być one kontynuowane w świecie, w jakim żyjemy? Czy stare *virtutes* pozostają gwarantami wolności wewnętrznej?

Do rozważenia tych kwestii może pobudzać surowa wypowiedź Jana Kieniewicza, inaugurująca konferencję *Autonomia uniwersytetu* (2007), która miała na celu identyfikację przyjaźni i wrogów uczelni wyższych:

Wydaje się, że taka identyfikacja nie jest trudna. Ale to pozór. Wszyscy stawiający uniwersytetowi wyzwania okazują się przyjaźni. (...) Bez tych przestrzeni sporu uniwersytet straciłby więź ze społeczeństwem. Bez nieustannej obrony swej wolności zmieniłby się już dawno w szacowną instytucję, sztucznie podtrzymywaną tradycję. Tymczasem uniwersytet (...) jest wciąż tym samym procesem szukania prawdy. Okazuje się, że choć nadal musi on bronić

swej autonomii wobec potężnych instytucji, to one właśnie okazują się autonomii tej przyjaciółmi. Gdzie zatem są wrogowie autonomii? (...) Znajdujemy ich wśród nas. To my, członkowie Akademii, ciało uczone i uczące, stwarzamy najczęściej zagrożeń dla autonomii. Od pokoleń utrzymuje się przekonanie, że autonomii zagrażają z zewnątrz uzurpacje władzy: Kościoła, Państwa czy Miasta. Można mnożyć przykłady zawłaszczania uniwersytetu, eliminacji swobód akademickich, ale w ostatecznym rachunku autonomii zagrażamy my sami, gdy porzucamy cnoty i wartości. (...) Uniwersytet jest uznaną wartością w cywilizacji europejskiej, służyć może jako jeden z jej emblematów, ale to nie wystarcza do oznaczenia jego tożsamości. Tym bardziej do uzasadniania obrony jego autonomii¹³.

Przytoczone opinie wywołują – zamierzony w poetyce – odruch sprzeciwu. I taka jest ich intencja. Chcą skłonić do rzetelnej debaty o współczesnych zagrożeniach suwerenności uniwersytetu, która nie wyczerpywałaby się w retoryce frustracji z jednej, a niebezinteresownej obronie *status quo* z drugiej strony. Taka debata jest uniwersytetowi dziś bardzo potrzebna.

Post dictum

Zamykając refleksje historyczne, odczuwam jednak (tak bywa z osobami starszymi) pokusę przywołania własnej mojej historii, która się lokalizuje na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Był to – przytoczę nostalgiczny tytuł jubileuszowego wykładu dziewięćdziesięcioletniego wówczas profesora Jerzego Starnawskiego – „uniwersytet, jakiego już nie ma”: bez sylabusów z tabelkami określającymi ściśle plany kolejnych lekcji oraz *a priori* efekty kształcenia, bez systemu USOS, bez punktów za publikacje,

¹³ J. Kieniewicz, *Przyjaciele czy wrogowie*, w: *Autonomia uniwersytetu*, s. 2-3 oraz tenże, *Poszukiwanie prawdy i przestrzeń dialogu*, w: *Autonomia uniwersytetu*, s. 61.

mijających się nieraz z ich wartością naukową, za to z całą plejadą osobistości profesorskich, charakteryzujących się radykalną oryginalnością. Nie było to na pewno miejsce idealne, wymarzone przez kreatorów akademickiej utopii XXI wieku. Nikt wówczas nie inkryminował starych doktorów, którzy przez cały semestr opowiadali tę samą historię o podróży do Włoch, jaką odbyli w zamierzchłej przeszłości, nie czyniąc przy tym studentom większej szkody. Nikt się nie gorszył, gdy przed świętami wykładowca dawał studentom spoza Krakowa dyspensę z zajęć. Nikt nie powoływał komisji dyscyplinarnej, gdy (jak wieść niosła) krewki staruszek – wybitny językoznawca zrzucił nieprzygotowanego do egzaminu studenta z wyslizganych schodów Gołębnika, delikwent zaś pozwalał na to z respektu dla Profesorskiej Wysokości, a pewnie i dla zabawy, bo owe schody zachęcały do zjeżdżania w dół. Cóż z tego, gdy można było bez jakichkolwiek formalności chodzić na zajęcia na przyległych wydziałach, nie tylko humanistycznych, a nawet zdawać z własnej woli egzamin u adorowanego wykładowcy, by mieć możliwość rozmowy z nim i zyskać autograf w indeksie. W tym barwnym i nieraz po ludzku nieheroicznym świecie szło jednak przede wszystkim o naukę, która była obecna wszędzie – nie tylko w aulach i bibliotece, ale też w kościele św. Anny (to czasy biskupa Wojtyły i rozstającego się z fenomenologią Tischnera), w teatrze Starym i Piwnicy pod Baranami, w nocnych „kołacyjach” (by pozostać przy nomenklaturze renesansowej), a potem w eskapadach po mieście, które przy księżycu najlepiej uczyło historii sztuki.

To, co już oddaliło się w przeszłość, wrócić nie może. Aby jednak uniwersytet pozostał uniwersytetem, trzeba wierzyć nie tyle w panacea rozporządzeń, uregulowań i globalnych projektów po rok 2020, ile w wartość czasu oddanego spokojnej i rzetelnej pracy naukowej.

Anna Legeżyńska

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

WIĘCEJ, CZYLI MNIEJ WOLNOŚCI (MAPA DYSKUSJI)

Humanistyka z widokiem na Uniwersytet – to znacznie lepsza formuła dla publicznej debaty niż rozpowszechniany ostatnio topos „humanistyki w kryzysie”. Czym jest w tej frazie „humanistyka”? Po pierwsze, dziedziną nauk (humanistycznych), nieostro odgraniczną od nauk społecznych. Po drugie, obszarem dydaktyki zarówno uniwersyteckiej, jak i szkolnej. Po trzecie wreszcie, humanistyka to typ refleksji o człowieku, jego twórczości i egzystencji. Barbara Skarga definiowała ją jako „myślenie o ludzkim myśleniu”. Jeśli interesuje nas humanistyka „z widokiem na uniwersytet”, to zapewne znaczy, że chcemy skupić uwagę na dziedzinie badań oraz na obszarze akademickiej dydaktyki.

Co może być przedmiotem dyskusji? Właściwie wszystko, co wypełnia te dwa nader pojemne hasła: humanistyka oraz uniwersytet. W rozmaitych gremiach, akademickich i publicystycznych, powraca stała lista zagadnień:

1. Kryzys humanistyki – jest czy go nie ma?
2. Skutki nowelizacji *Prawa o szkolnictwie wyższym* z 2011 roku;
3. Stan polskiej humanistyki na tle europejskiej i światowej;

4. Sytuacja humanistyki w porównaniu z sytuacją nauk niehumanistycznych;
5. Finansowanie nauki, w tym badań humanistycznych;
6. Zasady parametryzacji;
7. Zasady ewaluacji jednostek akademickich;
8. Społeczna rola i ranga humanistyki;
9. Kontekst gospodarczy kształcenia akademickiego;
10. Granice i wyznaczniki autonomii uniwersytetu.

Listę tę można byłoby wydłużać, lecz nie sędzę, aby znalazły się na niej tematy, którym dotąd nie poświęcono żadnej uwagi. Rzecz w tym, jak ustalimy hierarchię ważności zagadnień. W moim odczuciu najważniejszy jest problem suwerenności uniwersytetu.

Powie ktoś, że w systemie demokracji liberalnej granice wolności uniwersyteckiej są najbardziej rozległe z możliwych i jest to prawda – ale niepełna. Wolność uniwersytetu w każdej epoce miała swoje ograniczenia, polityczne i gospodarcze¹; nie inaczej jest dzisiaj. Wolno więc po transformacji ustrojowej zakładać w Polsce prywatne uczelnie, wybierać władze uniwersyteckie, wymyślać programy edukacyjne, publikować bez jakiegokolwiek cenzury, zatrudniać kadrę akademicką, zarządzać finansową dotacją, nawiązywać kontakty zagraniczne, wybierać formy współpracy ze środowiskiem. Wszystkie to są oznaki wolności, której pozbawiony był w całości lub częściowo uniwersytet sprzed 1989 roku, w tzw. Peerelu. Dlaczego zatem mimo szerokiego zakresu suwerenności mamy w uniwersyteckiej, zawodowej codzienności poczucie spełnienia, ograniczenia, frustracji? Dlaczego mnożą się apele o naprawę wolnego uniwersytetu?

¹ Zob. *Uniwersytety – 700 lat sporów*, wydanie specjalne „Polityki” 2014, nr 4.

I

Może dlatego, że ta wolność jest inna niż oczekiwaliśmy. Wymienione przed chwilą zdobycze ustrojowe nie budzą wątpliwości i nikt nie chciałby z nich zrezygnować. Jednocześnie w odniesieniu do większości owych zdobyczy mamy poczucie, że nie przynoszą pożądanых owoców. Wolno zakładać prywatne uczelnie – ale jest ich już tak wiele, że może trzeba raczej zacząć niektóre zamykać. Wolno wybierać władze akademickie – lecz wciąż trwają w wielu miejscach obyczaje oligarchiczne, przyznające tej władzy nadmierne przywileje. Wolno wymyślać programy – lecz trzeba je wcisnąć w siatkę ministerialnych nakazów (ram kwalifikacji, sylabusów, zasad ewaluacji). Wolno zatrudniać kadrę akademicką – lecz w kontekście niżu demograficznego ujawnia się przerost zatrudnienia, toteż trzeba blokować etaty. Możemy zarządzać finansami – lecz nakłady na naukę z budżetu państwa są dalece niewystarczające, a dystrybucja środków na badania (granty) została absolutnie scentralizowana, wbrew pozorom liberalizacji (bo dwie główne instytucje powołane do tego zadania: Narodowe Centrum Nauki i Narodowy Program Rozwoju Humanistyki z różnych powodów budzą liczne głosy krytyki). Wolno wreszcie rozwijać kontakty zagraniczne – i z pewnością dzieje się w tym zakresie wiele dobrego, ale jaki jest realny skutek tej wymiany dla polskiej humanistyki, wyraźnie deprecjonowanej w dużych konkursach finansowania badań? Albo: jaki jest realny pożytek naukowy i dydaktyczny z ogromnego programu stypendialnego Erasmus, który bardzo zintensyfikował mobilność akademickich środowisk, lecz raczej w jedną stronę, to znaczy od nas ku Zachodowi?

W tym kontekście: niedoskonałej czy nieskutecznej wolności uniwersytetu polskiego w nowej rzeczywistości ustrojowej interesuje nas sytuacja humanistyki. Co znamienne, o wiele mniej niepokoją się o swoje położenie przedstawiciele

nauk ścisłych czy przyrodniczych. Przyczyna prosta, bo nauki te cieszą się prestiżem i względami władzy w każdym kraju gospodarki rynkowej, toteż i u nas mają „zielone światło” jako dziedziny budzące nadzieję, że dzięki ich badaniom gospodarka ruszy z kopyta i wejdziemy do czołówki „nowoczesnej” Europy. Zostawmy jednak naszych przyrodniczo-politechnicznych przyjaciół w spokoju (z nadzieją, że solidarnie wesprą kiedyś humanistyczne, zatroskane o swój los środowisko). I pozostawmy przy problemie wolności.

O tym, że mamy wolność, świadczy prawo do nieskrępowanej wypowiedzi. Humanisci więc dyskutują na temat tego, czy są potrzebni w rynkowym świecie, jak powinni uprawiać swe badania, jak uczyć, jak wpływać na społeczeństwo. Humanisci uzasadniają swą obecność w poczuciu, że ich rola w rzeczywistości po 1989 roku jakoś się zmieniła, zdeprecjonowała. Intensyfikację dyskusji o humanistyce i uniwersytecie obserwować można co najmniej od dekady. Jej tenor nie od razu brzmiał pesymistycznie. W 2007 roku, czyli w tym samym, kiedy rząd koalicyjny z PSL utworzyła Platforma Obywatelska, rozpoczął się trwający do 2011 roku proces reformy szkolnictwa wyższego, projektowany i nadzorowany przez MNiSW pod kierownictwem minister Barbary Kudryckiej. W tym samym roku Instytut Badań Literackich PAN zorganizował konferencję pt. *Polskie nauki humanistyczne w nowym stuleciu*, a odbywający się wówczas Zjazd Polonistów przebiegał pod probabilistycznym hasłem: *Polonistyka w przebudowie*. W 2009 roku Instytut Badań Literackich PAN oraz Komitet Nauk o Literaturze zorganizowały seminarium pod nazwą *Humanistyka przyszłości. Potencjał, szanse, sukcesy*, ale już wydawany przez Wydział Polonistyki UJ „Wielogłos” rejestrował dyskusję na temat „kryzysu humanistyki”. Także w 2009 roku Michał Januszkiewicz na łamach „Znaku” (nr 10) zapytywał: *Czy mamy dziś kryzys humanistyki?* W tymże numerze redakcja opublikowała esej J. Ellisa pt.

Literatura utracona. Programy społeczne a rozkład humanistyki, a cały temat miesiąca zatytułowano *Bankructwo humanistyki*. W 2011 roku czasopismo „Kronos” w numerze 1. zamieściło cykl wypowiedzi na temat *Przyszłość humanistyki*. Także w 2011 roku ukazał się numer „Tekstów Drugich” pt. *Humanistyka i nowoczesność*.

Tadeusz Gadacz w artykule pt. *Bankructwo humanisty czy „tylko” kryzys?* nawiązując do dyskusji publikowanej w „Znaku”, pisał: „Los nauk humanistycznych – w tym filozofii – wydaje mi się zagrożony”. Dalej zaś analizował:

Zasadniczym problemem nie jest sprzeczność interesów między naukami przyrodniczymi i humanistycznymi, lecz pragmatyzm, który redukuje naukę do techniki. Dopóki się tego nie przemyśli i nie wypracuje się pewnego konsensusu, niewiele może się zmienić. (...) Uważam jednak, że podział sporu nie biegnie obecnie między naukami humanistycznymi a ścisłymi, ale między tak zwanymi naukami czystymi, które zajmują się teorią i ideami, a naukami stosowanymi, które zajmują się praktyką i zastosowaniem. Dlatego, jak sądzę, to, co obecnie nazywamy nauką, nie jest – w gruncie rzeczy – nauką w sensie ścisłym, ale techniką, bądź też nauką na usługach techniki. Podobne kłopoty jak badacze literatury czy filozofowie mogą mieć zatem matematycy, którzy zajmują się czystą matematyką, a nie matematyką stosowaną².

W debacie na temat stanu uniwersytetu i jego funkcji duch prognozy coraz częściej ustępował pod naciskiem pesymistycznej diagnozy – zaczęto uporczywie mówić o „kryzysie”. Środowiska akademickie mniej lub bardziej solidarnie tworzyły i popierały apele kierowane do władzy, doszło nawet do kilku spotkań w rodzaju Okrągłego Stołu dla Humanistyki. Mniej więcej od 2013 roku, czyli dwa lata po nowelizacji ustawy, której skutki zaczęły być widoczne, wzmacniał się ruch akademickiej samoobrony, czemu towarzyszyła zmiana

² T. Gadacz, *Bankructwo humanisty czy „tylko” kryzys?*, <http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6582010tadeusza-gadaczabankructwo-humanisty-czy-tylko-kryzys/> [dostęp: 25.06.2015].

retoryki: z prognostyczno-koncyliacyjnej na katastroficzno-rewolucyjną. Ks. prof. Antoni Dembiński, rektor KUL w czasie inauguracji roku akademickiego mówił: „Humanistyka umiera. To fakt”³. Natomiast nowa minister nauki Lena Kolarska-Bobińska utrzymywała, że kryzysu nie ma⁴. W 2013 roku powstał Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej, a w 2014 ukazała się książka Piotra Nowaka pt. *Hodowanie troglodytów*. Przedstawiona w pamfletowej poetyce diagnoza uniwersytetu brzmi tu następująco:

Istnieją co najmniej dwa niejawne cele reformy Uniwersytetu. Pierwszym jest odciążenie młodych, zdolnych ludzi od pracy intelektualnej – od czytania książek, pisania, wykładania – na rzecz quasi-biznesowej działalności sprowadzającej się do pozyskiwania pieniędzy dla przedsiębiorstwa zwanego dawniej Uniwersytetem. Cel drugi jest bardziej demoniczny i zgadza się z kierunkiem zmian mających charakter globalny – jest nim konsekwentne osłabianie instynktu wolnościowego, polegające na stwarzaniu dobrych warunków do wymiany wolności akademickiej (wolności *tout court*) na dobra materialne. To woda na młyn osób cynicznych, które chcą, aby słuchali ich ci, co nie potrafią władać⁵.

Utworzony w 2013 roku Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej przeszedł ewolucję od spontanicznej grupy protestu, uformowanej głównie przez reprezentantów środowiska Uniwersytetu Warszawskiego, do zorganizowanej struktury, definiującej się w 2014 roku jako stowarzyszenie, które „łączy osoby zainteresowane przyszłością polskiej humanistyki ponad podziałami politycznymi i światopoglądowymi”. Twórcy stowarzyszenia powiadają: „Naszym celem jest działanie na rzecz przezwyciężenia kryzysu instytucjonalnej nauki,

³ lublin.gazeta.pl/.../1,48724,14993992,Rektor_KUL_Humanistyka_umiera [dostęp: 27.06.2015].

⁴ www.nauka.gov.pl/...ministerstwo/minister-nauki-nie-ma-kryzysu-humanistyki [dostęp: 27.06.2015].

⁵ Opis książki ze strony: <http://lubimyczytac.pl/ksiazka/239956/hodowanie-troglodytow> [dostęp: 28.06.2015].

zwłaszcza humanistyki, oraz integracja środowisk, którym los nauki nie jest obojętny”.

Na stronie internetowej KKHP⁶ znaleźć można dokumentację narastania protestu środowiskowego, jak też spis postulatów kierowanych pod adresem władzy, które obejmują: realny wzrost finansowania nauki (z obecnego: 0,43% PKB do 1,2%), uniezależnienie finansowania uniwersytetów od liczby studentów, zmianę sposobu oceniania badań oraz projektów badawczych dla nauk ścisłych i humanistycznych, odbiurokratyzowanie uniwersytetu, zmniejszenie udziału grantów na rzecz stabilnego finansowania wydziałów uniwersyteckich (ponieważ obecnie – jak czytamy – 10% naukowców zgarnia 90% puli grantowej). Wszystkie postulaty KKHP są ważne, lecz zasadnicza wydaje się kwestia finansowania nauki, zależna od rządowych decyzji ekonomiczno-politycznych. O podniesienie tych nakładów uczelnie wołają od dawna, choć może nie dość mocno rozbrzmiewa w tym apelu głos gremiów powołanych do reprezentacji środowiska, jak Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich czy Rada Główna Szkolnictwa Wyższego.

Na początku czerwca 2015 roku z inicjatywy KKHP ulicami Warszawy przeszła „czarna procesja” przedstawicieli humanistyki połączona ze spektakularnymi „korepetycjami” dla władzy w postaci serii otwartych, krytycznych wykładów, a w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego złożono listę postulatów. W odpowiedzi Ministerstwo już 24 czerwca zorganizowało w SGH wielką debatę środowiskową, z udziałem 400 uczestników reprezentujących środowiska akademickie. Jakie będą efekty tych obrad, trudno jeszcze powiedzieć.

Należy przypomnieć, że program KKHP poprzedzały liczne, choć może mniej spektakularne wystąpienia krytyczne róż-

⁶ <http://komitethumanistyki.pl/kkhp/kim-jestesmy/> [dostęp: 28.06.2015].

nych środowisk akademickich. W grudniu 2012 roku Wydział Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego podjął uchwałę, w której m.in. mówiono o schematycznym traktowaniu procesów dydaktycznych „bez uwzględniania specyfiki poszczególnych nauk”, także o marginalizowaniu humanistyki i „degradacji finansowej” środowiska akademickiego. Z kolei Rada Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza apelowała o „respektowanie autonomii uczelni, która w ostatnich latach, w szczególności od czasu obowiązywania nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, została dość znacznie ograniczona”, następnie: o „istotne zwiększenie w budżecie państwa kwot przeznaczanych na finansowanie nauki i szkolnictwa wyższego tak, aby były one porównywalne z nakładami realizowanymi w innych krajach – członkach Unii Europejskiej oraz o przywrócenie funduszu przeznaczanego na badania naukowe (tzw. badania własne)”, także o opracowanie zasad parametryzacji respektujących specyfikę nauk humanistycznych, „godziwe” wynagrodzenie pracowników nauki, jak też „nadanie językowi dokumentów odnoszących się do nauki i szkolnictwa wyższego, zwłaszcza używanemu w opisach Krajowych Ram Kwalifikacji i – co za tym idzie – opisach tzw. efektów kształcenia, postaci przyjaznej obywatelowi, zrozumiałej i pozbawionej elementów nowomowy”. Apele te były kierowane do wszystkich wydziałów humanistycznych polskich uczelni, w przekonaniu, że tylko wspólna akcja gwarantuje realizację postulatów. Jak pisano w poznańskiej uchwale, „liczymy na powstanie swego rodzaju porozumienia humanistycznych ośrodków akademickich całego kraju”.

W ten oto sposób ukształtował się szeroki i bezprecedensowy w dziejach RP front krytyki stanu polskich uniwersytetów. Humanistyka pojawia się w nim raz to jako reprezentantka całej akademii, raz znów jako dziedzina szczególnie i niezasłużenie dyskryminowana. Warto zatem zwrócić rów-

nież uwagę na takie głosy, które uświadamiają jej konieczność podjęcia autorefleksji: czym jest i czym być powinna w dzisiejszych czasach, a także: w jakiej mierze sama jest winna sytuacji „gorszej siostry”?

II

Nie kryje swego krytycyzmu, zwłaszcza wobec diagnoz i postulatów KKHP, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli humanistyki, Włodzimierz Bolecki, który na pytanie dziennikarza o narastający protest w sprawie finansowania nauk humanistycznych odpowiada (na łamach „Forum Akademickiego” w 2013 roku):

Dyskurs, o którym pan mówi, dominuje w mediach i w dużym stopniu to nasze środowisko – ogłaszając histeryczne protesty – jest za niego odpowiedzialne. Tworzymy w ten sposób obraz humanistyki (rozumianej łącznie z naukami społecznymi; SSH), przeciwko której sprzysięgły się „złe moce”: nikt jej nie docenia, wszyscy ją deprecjują, państwo nie daje pieniędzy etc. To nonsens. Ten dyskurs to bicie medialnej piany. Poza tym używamy pojęcia humanistyka w zbyt szerokim, nieokreślonym znaczeniu.

I dalej:

(...) nałożenie w minionej perspektywie finansowej filtra „info-bio-techno” na środki europejskie, czyli wykluczenie SSH, potwierdza pana diagnozę. Jednak problem polegał też na tym, że nasze środowisko w ogóle się tą sprawą nie interesowało. Żadnych listów, protestów, dyskusji, interpelacji. Nic, cisza. A przecież mieliśmy dziesiątki reprezentantów w ciałach przedstawicielskich środowisk naukowych. Więc może to „przegrywanie humanistyki”, o które pan pyta, polega też na tym, że nasze środowisko w ostatnich latach nie uczestniczyło konstruktywnie w tworzeniu nowych zasad organizacji i finansowania nauki, w budowaniu systemu grantowego, odpowiadającego standardom UE. Jeśli porównamy dwa duże opracowania na temat koniecznych reform w szkolnictwie wyższym, przygotowane

przez Ministerstwo Nauki i KRASP, to wśród ich autorów prawie w ogóle nie było humanistów⁷.

Powtarzając te same zarzuty wcześniej (*O humanistyce inaczej*, artykuł wstępny do „Tekstów Drugich” 2011, nr 6), Bolecki formułuje też dwa konkretne postulaty, mające wzmocnić pozycję humanistyki wobec innych nauk. Pierwszym jest utrwalenie w społecznej świadomości humanistycznych „odkryć dotyczących systemu, funkcji i znaczenia języka we wszystkich sferach działania człowieka”. Drugim – przyjęcie nie tylko interdyscyplinarnego, lecz wręcz interdyscyplinarnego modelu badań. Pomysły można uznać za interesujące, choć trudno nie zauważyć, że autor – pisząc o znaczeniu języka – myśli o swej rodzimej filologii, czyli o literaturoznawstwie i językoznawstwie. Obie gałęzie humanistyki zostały już mocno zdominowane przez tzw. teorie kulturowe, czego negatywne skutki (nie tylko na gruncie polskim) wnikliwie analizuje Agnieszka Kluba w studium pt. *Kryzys humanistyki – kryzys uniwersytetu* („Tekstualia”). Pisze ona o „metodologicznym zgiełku” wzniesionym przez „rozplenione” badania kulturowe, ale też uważa rozdział na nauki humanistyczne i ściśle za „nierozumny” i przestarzały. Tzw. kryzys humanistyki – powiada – jest jedynie konsekwencją „dominującego w ostatnich dziesięcioleciach w humanistyce dyskursu samounieważniającego, który bez wątplenia pomógł przygotować demontaż instytucji Uniwersytetu”. Wpływając na szerokie wody debaty o modelu i przydatności współczesnego uniwersytetu, trzeba rozwinać wszystkie żagle, a więc uruchomić sprawozdanie nie tylko z europejskiej, lecz nawet światowej biblioteki prac na ten temat – co doraźnie dla działań naprawczych zagrożonej polskiej humanistyki będzie miało raczej niewielki skutek praktyczny. Sprawcą bowiem de-

⁷ <https://forumakademickie.pl/fa/2014/05/humanistyka-zyje-w-krwio-biegu-zmian-modernizacyjnych/> [dostęp: 24.06.2015].

montażu, o którym wspomina Kluba i o którym pisze wielu zachodnich autorów (m.in. J. Ellis czy A. Bloom), jest bezlitosny Rynek, który w Polsce widzę raczej jeszcze jako „rynecek” – co akurat dla reform akademii mogłoby mieć skutek pozytywny.

Bill Readings w eseju *The University In Ruins* (Londyn 1996) stawia tezę o kryzysie uniwersytetu, mając na uwadze amerykański model akademii „po przejściach” rynkowo-liberalnych. Źródłem problemów stało się coś, co nazwijmy tu metaforycznie matriksem dwudziestowiecznej edukacji, wyalienowanym z odmetów kapitalizmu i globalizmu. Rozprawia się z nim Dominik La Capra w obszernym studium krytycznym *Uniwersytet w ruinie?*⁸, polemizując z rozprawą Readingsa. La Capra osadza swoje rozważania w kontekście – jak to ujmuje – „postapokaliptycznego nieładu”⁹ i powiada, że w pewnym sensie uniwersytet „jest zawsze i powinien znajdować się w stanie kryzysu”¹⁰, bo dobrze wpływa to – zwłaszcza w obszarze nauk humanistycznych – na jego tożsamość i granice dyscyplin.

III

Mówiąc o kryzysie, trzeba oddzielić stan humanistyki jako dziedziny wiedzy od sytuacji osób, instytucji i uczelni. W moim przekonaniu dziedzina rozwija się bez szczególnych oznak impasu: wydaje się mnóstwo nowych prac, odbywają się licz-

⁸ D. La Capra, *Uniwersytet w ruinie? Historia w okresie przejściowym. Doświadczenie, tożsamość, teoria krytyczna*, przeł. K. Bojarska, Kraków 2009. (W tej i dalszej części rozważań powtarzam fragmenty swojego artykułu pt. *Krajobraz pobłoński. Widok z okna poznańskiego nauczyciela (akademickiego)*, który był opublikowany w „Tekstach Drugich” 2014, nr 1.)

⁹ Tamże, s. 248.

¹⁰ Tamże, s. 254.

ne konferencje, nie brakuje wybitnych osiągnięć badawczych. Znacznie poszerzony, dzięki mediom elektronicznym, dostęp do źródeł, intensywniejszy niż w epoce tradycyjnych mediów obieg informacji i ułatwienie publikacji wyników badań tworzą wyjątkowo korzystne warunki dla rozwoju nauki, w tym także humanistyki. Oczywiście nie owe innowacje techniczne przesadzają o poziomie prac, a nawet bardzo prawdopodobne, że mają one mniejsze znaczenie niż można sądzić. Humanista bowiem nie potrzebuje laboratoriów, maszyn, odczynników; zajmuje się „myśleniem” o ludzkiej kondycji, więc potrzebna mu oczywiście też erudycja, ale przede wszystkim – talent i czas. (Gdyby było inaczej, najwybitniejszy humanista XX wieku, żyjący w bolszewickiej Rosji – Michał Bachtin nie napisałby ani jednej strony swych przełomowych prac.) Natomiast źle się dzieje w instytucji akademickiej: władza ministerialna ingeruje w organizację procesu dydaktycznego, nie dba o właściwe finansowanie sektora nauki, potęguje biurokratyzację zarządzania uczelni. Formalizacja działań dydaktycznych i badawczych jest dzisiaj głównym wrogiem akademii.

Rozrost biurokratyzacji nie ma obiektywnego uzasadnienia, ale jest, jak wiadomo, przypadłością nie wyłącznie lokalną, krajową, lecz charakterystyczną co najmniej dla unijnej wspólnoty, jeśli nie dla całej cywilizacji informatycznej. Samonapędzający się mechanizm sprawozdawczości, która w lawinowym tempie mnoży swoje warianty (policzmy, ile przybyło nam ankiet i formularzy w ostatnim półroczu?), rodzi odczucie absurdu. Czy tak być musi, skoro przez minione dziesięciolecie nauka i edukacja akademicka rozwijały się bez tego informatyczno-biurokratycznego kagańca? Oczywiście nie.

La Capra trafnie zauważa, że w gospodarce urynkowanej pozorną odpowiedzialność za akademickie kształcenie w znacznej mierze przejmują nie-uczni, a jednym z podstawowych zagrożeń staje się właśnie formalizacja i biurokratyzacja. Sprzyja ona pomyleniu – ironizuje – odpowiedzialności z księ-

gowością, czego dowodem jest stosowanie rozlicznych formularzy ewaluacyjnych.

IV

Trzeba jednak dobitnie powiedzieć, że biurokratyzacja polskiej edukacji uniwersyteckiej jest także pochodną tzw. Procesu Bolońskiego. Dokumentem założycielskim owej idei stała się podpisana w 1988 roku przez międzynarodowe grono rektorów w Bolonii (w mieście najstarszego, obchodzącego wówczas dziewięćsetlecie istnienia uniwersytetu) Wielka Karta Uniwersytetów Europejskich. W *Preamble* tego stosunkowo krótkiego, lecz ważnego dokumentu czytamy, że zadaniem uniwersytetów jest „szerzenie wiedzy wśród młodych pokoleń”. Natomiast w części zbierającej *Fundamentalne zadania* punkt 1 głosi:

Uniwersytet jest autonomiczną instytucją w samym centrum społeczeństw rozmaicie zorganizowanych ze względu na geografie i dziedzictwo historyczne, tworzy on, bada, ocenia i przekazuje kulturę poprzez działalność naukową i dydaktyczną. By sprostać potrzebom otaczającego nas świata, jego działalność naukowa i dydaktyczna musi być moralnie i intelektualnie niezależna od władzy politycznej i ekonomicznej.

Zaraz obok, w punkcie 2., czytamy również:

Działalność naukowa i dydaktyczna w uniwersytetach musi być ze sobą nierozzerwalnie związana, jeśli nauczanie ma sprostać zmieniającym się warunkom, potrzebom społeczeństwa oraz postępowi wiedzy [wyróż. – A.L.].

Dalej mowa o „swobodzie prowadzenia badań”, tolerancji oraz o powierniczej roli uniwersytetu wobec tradycji. Nie ulega wątpliwości, że w treści i tonacji Wielkiej Karty odbija się duch europejskiego, tradycji średniowiecza sięgającego uni-

wersytetu. Idea *universitas* jako wspólnoty nauczających i nauczanych została tutaj wpisana w kontekst ponadnarodowy, wzmocniona dyrektywą „wzajemnej wymiany informacji i dokumentacji” oraz przekonaniem, że wspólne działania są „niezbędne dla stałego postępu wiedzy”. W dokumencie tym idea *universitas* sąsiaduje zatem z charakterystycznym słownikiem modernizacji: *postęp, wiedza, informacja, wymiana* obsługują opis uniwersytetu tak, jak innych instytucji świata nowoczesnego. Szczególnie jednak chciałabym wyróżnić tu zdanie, że „działalność naukowa jest nierozzerwalnie związana z dydaktyczną”¹¹, bowiem tkwi w nim dyrektywa proporcji: nauczyciel musi wciąż pozostawać badaczem, obie powinności są „nierozzerwalnie” złączone.

Kolejnym ważnym aktem kształtowania tzw. Procesu Bolońskiego stała się podpisana w 1999 roku Wspólna Deklaracja Europejskich Ministrów Edukacji, zawierająca optymistyczne wówczas, a dziś mniej już realistyczne stwierdzenie o społecznie „pogłębiającej się świadomości potrzeby stworzenia bardziej kompletnej i poszerzonej Europy”. Deklaracja była wykładnią projektu zbudowania Europy Wiedzy, czyli Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego. W celu realizacji tego zadania wskazano następujące warunki:

- wprowadzenie punktowego systemu rozliczania osiągnięć studentów (ECTS);
- podział studiów na dwustopniowe (do czego wkrótce dodano stopień trzeci);
- współpracę europejską w zakresie zapewniania jakości kształcenia oraz opracowania kryteriów i metod oceny jakości (systemy akredytacji, certyfikacji itp.);
- promocję programów mobilności studentów i wykładowców;
- promocję kształcenia przez całe życie.

¹¹ Cyt. z: <https://www.umk.pl/uczelnia/dokumenty/statut/katra/> [dostęp: 24.06.2015] [wyróż. – A.L.].

EOSW miałyby być w założeniach atrakcyjny i konkurencyjny dla innych regionów świata. Miałyby sprzyjać strategii „zrównoważonego rozwoju” i gwarantować „wysoką jakość ponadnarodowego szkolnictwa wyższego”; miałyby również oferować „szkolnictwo dla wszystkich” i zarazem ocalać autonomię instytucji edukacyjnych. Każdy z poziomów kształcenia studenta przygotowywałby go do „rynku pracy”. Na kolejnej konferencji (Bergen 19-20 maja 2005) wyznaczono datę finalną kompleksowego wdrożenia EOSW: 2010 rok i stwierdzono „z satysfakcją”, że w „większości państw” ponad połowa studentów kształci się już wedle nowego systemu. Zaakcentowano również znaczenie badań, a w określeniu charakteru kształcenia III stopnia zapisano, iż „główną częścią składową kształcenia doktoranckiego jest rozwój wiedzy poprzez oryginalne prace badawcze”. Tuż obok jednak zaznaczano wyraźnie, że studia owe powinny promować „kształcenie umiejętności, które dają się przystosować, wychodząc naprzeciw potrzebom poszerzonego rynku pracy”.

W kontekście aktualnej sytuacji rosnącego bezrobocia w Polsce i znacznej części Europy słowa Komunikatu z Bergen, projektujące „poszerzony rynek pracy”, tracą związek z rzeczywistością. W konsekwencji należałoby zastanowić się również nad innymi założeniami Procesu Bolońskiego, jak też ocenić – po upływie niemal ćwierć wieku od uchwalenia Wielkiej Karty bolońskiej – tryb realizacji i konsekwencje praktyczne dla sytuacji szkolnictwa wyższego w poszczególnych krajach.

W toczącym się (głównie duktem nakazowym, ministerialnym) procesie wdrażania ustaleń i wytycznych bolońskiego projektu – nazwanym u nas reformą – położono nacisk w większym stopniu na rozbuchany plan „szkoleń” niż środowiskową, szeroką i autentyczną dyskusję. Głosy rozmaitych przedstawicieli uniwersytetu, jak się zdaje, w niewielkim stopniu znalazły odbicie w aktualnym kształcie znowelizowa-

nej ustawy *Prawo o szkolnictwie wyższym*. Głęboko już wyspecjalizowani szkoleniowcy – misjonarze reformy – objaśniają filozofię zmian następująco:

1. Uniwersytet musi służyć budowaniu „społeczeństwa wiedzy”.

2. Kształcenie akademickie musi być związane z potrzebami gospodarki.

3. Kategorią opisującą efektywność kształcenia są zdobyte przez adepta „kwalifikacje”, standaryzowane przez europejskie tudzież krajowe „ramy”.

O ile łatwo zgodzić się można z ideą nr 1, to pozostałe muszą rodzić nieufność oraz liczne pytania. Nie czas i miejsce podejmować tu dywagacje na temat możliwości związania uniwersyteckiej edukacji (humanistycznej) z procesami gospodarczymi, skoro nawet najbliższe miesiące gospodarki polskiej ekonomistom trudno jest wiarygodnie prognozować. Chcę natomiast zwrócić uwagę na trzeci punkt reformatorskich założeń, definiujący na nowo sens akademickiego kształcenia jako nabywanie przez adepta umiejętności (obok wiedzy i tzw. kompetencji społecznych). Położenie nacisku na ten element rodzi skutki praktyczne, gdyż znacznie więcej uwagi i unijnych pieniędzy poświęcono i nadal poświęca się modelowaniu dydaktyki niż badawczym powinności uniwersytetu. To przesunięcie akcentu, właściwe być może tylko polskiemu stylowi realizacji bolońskich założeń, uznaję za szczególnie niebezpieczny skutek reformy. Na naszych oczach uniwersytet zamienia się, jak ujmuje to potoczna (a także przez samych studentów stosowana) formuła – w „szkołę”. Tzw. stopnie kształcenia wczepiają akademię w łańcuch edukacyjny jako jedno z ogniw wzajemnie się warunkujących, więc i w pewnym sensie upodobnionych (co oddaje choćby zastosowanie w opisie tzw. efektów kształcenia). Ma to sprzyjać poszerzeniu ścieżki społecznego dostępu do tzw. usług edukacyjnych; w skonstruowanym modelu nie jest ważne, co rozpoczynający

studia kandydat wnosi, lecz ile wynosi. A powinien wynieść bagaż standaryzowany, przewidziany w sylabusach i benchmarkach, jak też nieustannie ewaluowany przez puchnącą stonogę ankiet, ectsów, usosów... Kult efektywności radykalnie zmienia filozofię podmiotu edukowanego, w modelu „mistrz – uczeń” miejsce mentora zajmuje rzemieślnik edukacji.

V

Humanista zatrudniony jako nauczyciel akademicki traci czas. Na wykonywanie zaleceń i rozporządzeń służących zarówno kontroli procesu dydaktycznego, jak i pracy naukowej. Podam jeden z licznych przykładów: recenzowanie prac magisterskich. „Dawniej” recenzent pisał swoją opinię wedle wybranej poetyki, zachowując elementarne informacje: temat pracy, personalia autora, etc. Później (w moim macierzystym środowisku uniwersyteckim) zalecono zunifikowany schemat recenzji, obejmujący zestaw pytań, z których tylko dwa bezpośrednio dotyczyły treści rozprawy. Można go było skserować na jednej kartce, wypisać ręcznie lub komputerowo. Obecnie wprowadzono specjalny program do wypisywania recenzji nazwany APD, z limitowaną liczbą znaków i skomplikowanym systemem odsyłaczy – co oczywiście w żaden sposób nie zmieniło ani poziomu prac licencjackich czy magisterskich, ani jakości recenzji. Rozkwit systemu dokumentacji procesu nauczania uniwersyteckiego wcale nie przyczynia się do osłabienia zjawiska tzw. *dumping down* (równania w dół). Oceniane prace studenckie roją się bowiem od błędów językowych w takim nasileniu, jakiego dawniej nie tolerowalibyśmy na poziomie szkoły średniej. Owszem, miewamy studentów i absolwentów prawdziwie wybitnych, których potem przyjmujemy na studia doktoranckie – większość jednak wykazuje rażący brak erudycji, brak wiedzy ogólnohumanistycznej,

brak kompetencji językowych. Wszystko to w znacznej mierze jest konsekwencją dwóch zaniechań środowiska humanistycznego – osłabienia czy wręcz braku aktywnego zainteresowania dla wcześniej przeprowadzonych „reform” edukacji szkolnej (wszystkich szczebli) oraz rezygnacji z egzaminów wstępnych i zaniżenia kryteriów rekrutacji na studia wyższe po ujawnieniu się niżu demograficznego. Tak więc ratując własną skórę, humaniści (choć i nie tylko oni) niestety przyczyniają się do obniżenia rangi kształcenia, jakie sami prowadzą.

VI

Wszystko to ma postać niezmiernie skomplikowanego systemu naczyń połączonych. Liberalizacja gospodarki wpływa na przemodelowanie społecznej roli humanistyki, która musi zredefiniować swój status i zarazem obronić się przed konsekwencjami praw rynku. To rzecz jasna nie tylko polskie problemy, doświadczyły ich uniwersytety zachodnie, ale – co ważne – doświadczyły ich na swój sposób, we własnych realiach politycznych, społecznych i gospodarczych. Warto więc konfrontować procesy osłabiania bądź umacniania rangi humanistyki w innych kulturach z sytuacją rodzimą, ale trzeba też szukać rozwiązań swoistych, np. przez odniesienie do polskiej tradycji edukacyjnej okresu międzywojennego lub nawet powojennego.

Ważną cechą tamtego kształcenia była dbałość o humanistyczny fundament edukacji każdego szczebla i każdej specjalności. Dzisiaj również kształcenie inżynierów, biologów czy geodetów mogłoby obejmować problematykę egzystencji, kultury, języka. To jedna z możliwości poszerzenia zakresu promieniowania myśli humanistycznej, a tym samym jedna z możliwości wzmocnienia jej społecznego sta-

tusu. Drugi sposób to opracowanie przez Ministerstwo więcej niż tylko jednego systemu preferencyjnego finansowania nauk humanistycznych (jakim jest dotąd NPRH), w celu decentralizacji owego finansowania, ale także ukierunkowania dopływu funduszy na określone, społecznie ważne cele, np. naprawy „zreformowanej” edukacji, w której przywrócone zostałyby formacyjne zadania humanistyki. I wreszcie trzeci, z poprzednimi możliwościami złączony gest uzdrowicielski to trwałe osadzenie w strukturach decyzyjnych władzy (ministerialnych, sejmowych, prezydenckich) przedstawicieli humanistyki. Innymi słowy, potrzebny jest nam nie tylko Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, ale i jakiś Komitet Ochrony Myśli Humanistycznej – który byłby czym innym niż obecny Komitet Kryzysowy, choć z pewnością z programem tego stowarzyszenia zaprzyjaźnionym. Mówię o tym półżartem, bo przecież rolę taką powinno odgrywać zarówno Ministerstwo Nauki, jak i Ministerstwo Kultury, również wszystkie komisje sejmowe, senackie, etc.

Przez ochronę myśli humanistycznej rozumieć też trzeba dbałość o zachowanie umiaru w implementacji czy raczej interpretacji unijnych zaleceń, odnoszących się do sfery edukacji. Tymczasem rzeczywistość, która bardziej przypomina „liberalizm biurokratyczny” niż rynkowy, w sektorze edukacji potwornieje i emancypuje się, czyniąc z uniwersytetu nie tyle nawet – jak twierdzi Piotr Nowak – szkołę zawodową, ile właśnie przestrzeń „niereczywistości”, gęsto wypełnionej absurdem.

W amerykańskiej dyskusji o przemianach tamtejszej instytucji uniwersytetu mówi się o zjawisku dereferencjalizacji – jest nią „utrata lub brak specyficznego referenta dla takich koncepcji jak kultura czy doskonałość”¹². Jeśli tedy polski uniwersytet poboloński będzie ewoluował dalej w kierunku

¹² La Capra, dz. cyt., s. 266.

określonym przez pragmatykę rynku i filozofię kształcenia regulowanego przez „efekty”, to grozi mu (w teorii, oby w teorii!) przekształcenie w „samoregulującą się” instytucję oderwaną zarówno od rzeczywistych i jakże dynamicznie zmieniających się w całej dzisiejszej Europie potrzeb gospodarczo-społecznych (przypomnijmy kraje ogarnięte masowym bezrobociem wśród młodzieży z dyplomami), jak i wykorzenienie z kulturowej gleby, czyli tradycji. La Capra pisze:

Oczywiste pytanie, jakie się w tym miejscu pojawia, dotyczy tego, czy dereferencjalizacja otwiera nowe przestrzenie niczym buldożer, który usuwa przeszkody w rozwoju poprzez zaoranie wszystkiego, i czy mamy się spodziewać, że ten proces skończy się jeszcze jednym parkingiem albo szeregiem budynków z pustaków¹³.

Nie chcę powiedzieć, że „budynkiem z pustaków” jest polski uniwersytet, ale rodzi się niebezpieczeństwo, że stać się nim może. Fantazmatem nie jest też uniwersytet projektowany przez zapisy Procesu Bolońskiego, bo... takiego projektu w nich po prostu nie było. Przeciwnie, w deklaracji bolońskiej zaznaczono poszanowanie dla kulturowej odmienności regionów. Fantazmatem pozostaje dla mnie wspólnota EOSW, choć i ten wątek nie jest na razie najważniejszy. Chodzi bowiem o ów „budynek z pustaków”, wykreowany w polskich interpretacjach ministerialno-prawnych; o uniwersytet XXI wieku wznoszony na ruinach emanującego – jak pisał Kazimierz Twardowski – „dostojeństwem” uniwersytetu przedwojennego, a nawet jeszcze częściowo powojennego.

Jednym z najważniejszych głosów w sprawie współczesnej humanistyki stała się wydana w 2013 roku książka Michała Markowskiego pt. *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*. Zdaniem autora, humanistyka nie jest w ścisłym znaczeniu nauką, lecz dziedziną opartą na próbach zro-

¹³ Tamże, s. 267.

zumienia tego, „jak ludzie budują swoje światy i jak je umacniają”. Najważniejszym zadaniem uniwersytetu powinno stać się kształcenie umiejętności i wrażliwości na ową wielogłosość. Jeden z rozdziałów książki nosi zatem wymowny tytuł: *Zwrot egzystencjalny w humanistyce*. Bardzo ostrą polemikę z Markowskim podjął wkrótce Jan Sowa w recenzji pt. *Humanistyka płaskiego świata*¹⁴, nazywając wizję autora „mnożeniem dyskursów”, które wypiera Realne. A to właśnie Realne powinno stać w centrum naszej uwagi. Humanistyka XXI wieku – powiada oponent – ma do spełnienia misję, polegającą na „dopilnowaniu (...) żeby wyalienowane efekty działalności człowieka przestały sprawować nad nim władzę”¹⁵. W odpowiedzi na filipikę Sowy autor *Polityki wrażliwości* precyzuje raz jeszcze główną myśl swojej książki: „tym więcej mamy swobody, im bardziej wielogłosowa jest przestrzeń naszej codziennej egzystencji, i dlatego humanistyka ma polityczne znaczenie, bo odnosi się do wspólnego życia”¹⁶. Odpowiedź tę Markowski tytułuje znacząco: *Lewica akademicka: między hipokryzją i iluzją*.

VII

Uniwersytet europejski przeżył epizod rewolucyjnej destrukcji w postaci tzw. paryskiej wiosny, w maju 1968 roku. Uniwersytet polski być może nie ma już innej broni, jak tylko sięgnąć po środki radykalne – przynajmniej tak można chyba wnioskować z memorandum adresowanego do Ministerstwa przez uczestników niedawnej „czarnej procesji”:

¹⁴ J. Sowa, *Humanistyka płaskiego świata*, „Teksty Drugie” 2014, nr 1, s. 192.

¹⁵ Tamże, s. 205.

¹⁶ M.P. Markowski, *Lewica akademicka: między hipokryzją i iluzją*, „Teksty Drugie” 2014, nr 1, s. 212.

Destrukcyjna polityka rządu wobec nauki polskiej doprowadziła do pierwszego od 1981 roku protestu środowiska naukowego. Dzisiaj, 10 czerwca 2015 roku, na budynkach 16 polskich uniwersytetów na trzy dni zawisną czarne flagi. To może zdumiewać – po 1989 roku wykładowcy uniwersyteccy byli jedyną bodaj grupą, która nigdy nie protestowała. Jednak krótkowzroczna, katastrofalna polityka edukacyjna rządu wyczerpała w końcu naszą cierpliwość. Nadszedł ostatni moment przed protestami jesiennymi i na zmianę przez władze kursu polityki naukowej¹⁷.

Autorzy apelu kładą nacisk na dialog z władzą i oczekują wdrożenia „pakietu antykryzysowego”. Nie mówią o ograniczeniu wolności uniwersytetu ani też samej humanistyki – żądają działań naprawczych, które zapewnią nam wszystko: bezpieczeństwo finansowe i etatowe, wysoki poziom kształcenia, rozkwit poziomu badań i wreszcie prestiż społeczny. Są to postulaty szlachetne, ale niezakotwiczone w rzetelnej wiedzy o realnym stanie polskich uniwersytetów (w tym wydziałów humanistycznych), z których każdy ma odmienne doświadczenia „kryzysowe”. Pora więc zacząć pracę (zapowiadaną zresztą w jednym z dokumentów KKHP) nad Ogólnym Raportem, który pozwoliłby zobiektywizować, a może nawet nieco „odczarować” kryzysową diagnozę.

¹⁷ komitethumanistyki.pl/2015/06/10/destrukcyjna-polityka/ [dostęp: 27.06.2015] [wyróż. – A.L.].

Piotr Nowak

Uniwersytet w Białymstoku

HODOWANIE TROGLODYTÓW. CIĄG DALSZY NASTĄPIŁ*

I

Trzymam oto w ręku wydaną sto lat temu w „Bibliotece Nauczyciela Ludowego” *Historię Polski w nauczaniu analfabetów dorosłych*¹. Książka ta zwróciła moją uwagę mniej przez temat, o jakim traktuje, a bardziej ze względu na adresata, do którego się zwraca. Jako że od jakiegoś czasu borykam się z wtórnym analfabetyzmem na wyższych uczelniach, sięgnąłem do niej z myślą, że znajdę między wierszami receptę, jak uczyć osoby w ogóle do tego nieprzygotowane.

W książce tej kładzie się zrazu nacisk na doświadczenie życiowe oraz zawodowe dorosłego analfabety. U podstaw nauczania wiedza książkowa nie odgrywa – nie powinna odgrywać – żadnej roli, ponieważ mamy do czynienia z „umysłem niewyćwiczonym w myśleniu, pozbawionym wiedzy szkolnej całkowicie, o mniej lub więcej ciasnym horyzoncie ideowym (...). Analfabeta dorosły przede wszystkim ma doświadczenie

* Poszerzona wersja wykładu przedstawionego na zebraniu Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Filozoficznego 11 maja 2015 roku w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego.

¹ N. Gąsiorowska, *Historia Polski w nauczaniu analfabetów dorosłych*, Warszawa 1915.

życiowe, stąd zna on różne strony życia nawet publicznego, choć wiedza książkowa była dlań niedostępna”². Zajęcia z tak ukształtowanymi osobami należy prowadzić hałaśliwie, przebojowo, oddziaływać nie na rozum, a na uczucia. Mówiąc skrótem, mamy nauczać, bawiąc, przedstawiając kolorowe ryciny, naśladować ustami tętent koni, ich rżenie czy dźwięk trąbki bojowej. „Analfabeta dorosły ma umysł przeważnie bierny, przytępiony, a co najmniej zmęczony, więc należy pogadanki historyczne wyłożyć mu barwnie, żywo (ważna jest nawet dykcja wykładającego) oddziaływać na uczucie, jak to zazwyczaj czynimy z dziećmi”³. Następnie zabawa w naukę kończy się wakacjami.

W nauczaniu studenta analfabety – pamiętajmy, że mowa tu o nauce historii – mamy koncentrować się nie na przeszłości, która pozwoli nam zrozumieć to, co dopiero ma nadejść, lecz wyłącznie na chwili teraźniejszej. „Opierając się na podstawowych zasadach pedagogii – czytamy w skrypcie dla analfabetów dorosłych – należy nawiązać nauczanie o dziejach do rzeczy znanych i interesujących, a cóż jest więcej znane i interesujące dla człowieka dorosłego nad życie współczesne [wyróż. autorki – P.N.], zwłaszcza zaś nasze życie współczesne, chwila obecna”⁴. Zainteresowanie studentów analfabetów, tych sprzed stu lat i tych dzisiejszych, jedynie tym, co dzieje się *hic et nunc* i mieści w obrębie ich doznań, wydaje się urzędnikom odpowiadającym za tworzenie optymalnych warunków dla nauczania, czymś naturalnym i zrozumiałym. Przynaglają nas, akademików, byśmy wyszli temu naprzeciw i spełniali funkcje terapeutów lub wychowawców (to w przypadku studiów humanistycznych), przygotowywali klientów do uczestnictwa w warunkach wolnego

² Tamże, s. 9.

³ Tamże.

⁴ Tamże, s. 9-10.

rynku (w przypadku socjologii, ekonomii czy prawa) albo odgrywali rolę darmowych korepetytorów (jak to się dzieje w przypadku filologii). Mamy uczyć rzeczy łatwych, przyjemnych i użytecznych, uczyć przystępnie i bezstresowo.

Pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na mnie zdanie ze skryptu inż. A. Kraśniewskiego, któremu poświęciłem osobny tekst. Przywołam je w tym miejscu jedynie tytułem anegdoty. „Definiowane przez uczelnię efekty kształcenia – pisze Kraśniewski – nie powinny odzwierciedlać oczekiwań i ambicji kadry, lecz realne możliwości osiągnięcia tych efektów przez najsłabszego [wyróż. autora skryptu – P.N.] studenta, który (...) powinien uzyskać dyplom poświadczający uzyskanie kwalifikacji pierwszego lub drugiego stopnia”⁵. Nieźle powiedziane. Podobno sam autor tego skryptu zaznaczał, że nie chodziło mu o sztuczne zaniżanie poziomu nauczania, lecz o takie zdefiniowanie efektów kształcenia, aby były dostępne dla najslabszego studenta. Siedzimy w dawnej „trzynastce”, dlatego jest mi stosunkowo łatwo przedstawić sobie zajęcia z prof. Markiem Siemkiem, z którym tu, w tej sali, czytałem ćwierć wieku temu *Medytacje kartezjańskie* Husserla. Spróbujmy zatem zdefiniować efekty kształcenia dla wykładów profesora Siemka z dziejów filozofii niemieckiej:

Student rozpoznaje, definiuje i objaśnia ważniejsze problemy z zakresu filozofii niemieckiej.

Chciałbym w takim razie zapytać, co z lekturą *Medytacji kartezjańskich*? Czy praca na przykład na szóstej medytacji Husserla odzwierciedla moje „oczekiwania i ambicje”, jak chce Kraśniewski, czy należy do kanonu lektur studenta III

⁵ A. Kraśniewski, *Jak przygotować programy kształcenia zgodnie z wymaganiami wynikającymi z Krajowych Ram Kwalifikacji dla Szkolnictwa Wyższego*, s. 46. Skrypt A. Kraśniewskiego został wydany staraniem wydawnictwa Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego i dostępny jest w Internecie.

roku filozofii? I czy w ogóle mieści się w tak zdefiniowanym efekcie kształcenia? Jeśli się mieści, to nie jest możliwe – wiem to jako wieloletni nauczyciel akademicki, ale także uczestnik seminarium profesora Siemka – opanowanie tego materiału przez „najsłabszego studenta”. Jest to po prostu niewykonalne. Obniżenie kryteriów do takiego poziomu, by mogli spełniać je bez mała wszyscy, jest nie tylko groźne – ono jest głupie. Nie każdy musi studiować. Wzmacniając analfabetów dorosłych, Akademia osłabia studentów piśmiennych, tych z biglem i wyobraźnią. Postulowany przez Kraśniewskiego sposób definiowania efektów kształcenia nie oznacza zatem nic innego, jak obniżenie poziomu nauczania akademickiego i zastąpienie wiedzy krótkotrwałymi informacjami, przydatnymi w danym momencie na rynku pracy. Nie będę do tego przykładał ręki.

Urzednicy zapomnieli – a może po prostu nigdy tego nie wiedzieli – że na Uniwersytecie nie załatwia się bieżących potrzeb, ale wiąże przeszłość z przyszłością. Człowiek kulturalny to nie tylko ten, który trzyma się dobrych manier. Jest nim każdy, kto z zyskiem dla samego siebie podejmuje dialog z przeszłością, komu serce bije żywiej przy Shakespeare, Grekach czy filozofach niemieckich. Słyszymy jednak, że to świat przebrzmiały, od którego stopniowo odchodzi się na rzecz współczesności, że autorzy, do których istnienia przywykliśmy jak do dobrej pogody, to ramota, że lepsi są inni, nowsi, ci więc, co najwięcej opublikowali w ciągu ostatnich trzech, czterech lat. Ulegamy presji chwili teraźniejszej. Niemniej to „odwracalność i naprzemienność czasów jest najlepszym gwarantem aktualności każdej silnej myśli ludzkiej niż pozaczasowa wieczność, którą niekiedy wyobrażano sobie pod postacią Sezamu wielkich dzieł ludzkości. Ale wielkie dzieła poza czasem byłyby niepotrzebne – a jeśli ich ostateczną destynacją miałyby być beczasowy skarbiec kultury, znaczyłyby

to, że od początku niewiele były warte⁶. Twierdzę – ciekaw jestem, kto z Państwa podziela moją opinię oraz w jaki sposób zamierza swą aprobatę wyrazić – że Uniwersytet winien być immunizowany na chwilowe mody i nowinki, na chimeryczne i zmienne wymogi ze strony urzędników, którzy ograniczają wolność akademicka, wpływając negatywnie na swobodę myślenia i artykułowania myśli. Podam przykład: kiedy fantazuję nad szkicowanym przez siebie tekstem, który nie wyszedł jeszcze poza fazę embrionu, mój wzrok omiata książki warte lektury lub przynajmniej ponownego przejrzenia. Przeciskają się one między sobą, walczą o lepsze miejsce na półce, potem na biurku. Wybór między nimi – nieodmiennie trudny, często całkiem przypadkowy – następnie ich przyswajanie, stanowią dla mnie ważną inspirację podczas procesu twórczego. Innym czynnikiem dynamizującym moje myślenie jest rozmowa o tych książkach ze studentami nieanalfabetami. Jak, chcę zapytać, przy odrobinie rzetelności z mojej strony, mam zredagować zalecany przez urzędników sylabus, w którym muszę zamknąć wszystkie lektury, jakie winienem następnie brać ze studentami dopiero w roku przyszłym? W jaki sposób, pytam dalej, mam szukać to, o czym nie wiem zupełnie, czym jest? Co z tego, czego jeszcze nie znam, a co przeczuwam tylko, mam obrać za punkt wyjścia? A jeśli przypadkiem natrafię na to, czy zawczasu poznam, że właśnie tego szukałem?⁷ Gdyby urzędnicy poznali dylemat, z którym mierzy się Platoński Menon, zapewniam Państwa, że nawet w najciaśniejszej, urzędniczej głowie nie powstałaby myśl o twardym egzekwowaniu realizowanej treści zawartej w zamkniętych sylabusach. Tymczasem pod groźbą utraty pracy, którą coraz mniej osób uznaje za oficjalny zawód, ulegamy kolejnym bzdurnym roz-

⁶ P. Graczyk, *O zbawiennej nieskuteczności rad. Uwaga tłumacza*, „Kronos” 2013, nr 2, s. 25-26.

⁷ Platon, *Menon*, 80d.

porządzeniom biuralistów szachujących każde nasze posunięcie⁸. Kim bowiem jest filozof w gospodarce dogmatyczno-liberalnej późnego kapitalizmu? Przedstawia się on szerokim kołom opinii publicznej jako ktoś mocno nieokreślony, może nawet nieco podejrzany. To „człowiek zbędny”, „parias”, a więc osoba bez określonej przynależności zawodowej, która „poświęca własne zdrowie i szczęście na rzecz twórczości, a rekompensuje to sobie żądaniem zwolnienia z wszelkich powinności społecznych i przestrzegania obowiązujących norm zachowania”⁹. Czy tak jest w istocie, czy też daliśmy to sobie wmówić? A co z naszym prawem do bezinteresownego zamyślenia, którym jeszcze do niedawna tak bardzo się chlubiśmy?

II

„Wszelkie życie – pisał Hans Blumenberg – stara się natychmiast i bez namysłu udzielać odpowiedzi na pytania, które są mu stawiane (...). Tylko człowiek pozwala sobie na skłonność przeciwstawną. Jest istotą, która zwleka”¹⁰. Zamyślenie, ociąganie się, zwlekanie okazują się nie tylko bardzo przyjemnym

⁸ Tak też się stało z odpłatnością za studiowanie drugiego kierunku, głośno oprotestowaną przez środowisko akademickie. Ministerstwo faktycznie wycofało się z tego zapisu tak, by zdolni i ambitni studenci nie musieli płacić za naukę. Odrąbiono ciche zwycięstwo. Jednak po kilku miesiącach urzędnicy wymyślili kolejne rozporządzenie, które wymusza na uniwersytetach finansowanie studentów studiujących drugi kierunek. Jeśli więc uniwersytety nie chcą powiększać finansowego deficytu, zmuszone są do przyjęcia sztywnych kwot osobowych, co oznacza, że można na przykład nauczać filozofii pięć osób studiujących drugi kierunek, ale już nie tylu, ilu tego by chciało.

⁹ W.H. Auden, *Pełnia spokoju nawet podczas katastrofy*, przeł. A. Pokojska, „Zeszyty Literackie” 2015, nr 129, s. 172.

¹⁰ H. Blumenberg, *Zamyślenie*, przeł. T. Zatorski, „Kronos” 2013, nr 2, s. 27.

zajęciem. Stanowią one wymóg porządnej refleksji i przysługują jedynie ulubieńcom życia, jego koneserom, którzy potrafią dosmakować się w nim sensu. Jednak zamyślenie, zwłoka, *schole*, nie cieszą się w naszych „szybkich i wściekłych” czasach dobrą renomą, osłabiają bowiem zdecydowane działania, mocne postanowienia. A czy filozofowanie – pyta Blumenberg – nie polega właśnie na hamowaniu pędu życia, na zamyśleniu? Kto więc chce pozbawić nas prawa do zamyślenia? Czy nie pragną tego biuraliści do spółki z rozmaitej maści specjalistami? Wreszcie: czy filozofia nie znajduje się pod tym względem na antypodach nauki dążącej do natychmiastowego zastosowania swych rezultatów? „Przywołajmy sytuację najzupełniej banalną: ulicą maszeruje mężczyzna, nagle chce sobie coś przypomnieć, lecz wspomnienie mu się wymyka. W takiej chwili mężczyzna machinalnie zwalnia kroku. Natomiast ktoś, kto próbuje zapomnieć o niemiłym incydencie, który właśnie przeżył, przyspiesza mimowolnie swój chód, tak jakby chciał oddalić się szybko od tego, co w czasie jest jeszcze zbyt niego bliskie”¹¹. Również nam ktoś każe przyspieszać, tak jakby chciał, byśmy usunęli z pamięci jakieś resztki, jakiś – nie wiadomo jaki – ciężar, wspomnienie po czymś. Wróćmy jednak do przerwane go wątku.

III

W książce, do której nawiązuję tytułem swojego wystąpienia¹², nie ograniczyłem się tylko do narzekania, „jak to dawniej było fajnie i że teraz już nie jest”. W jednym z jej rozdziałów podjąłem próbę wypracowania pozytywnego stanowiska

¹¹ M. Kundera, *Powolność*, przeł. M. Bieńczyk, Warszawa 1997, s. 26.

¹² P. Nowak, *Hodowanie troglodytów. Uwagi o szkolnictwie wyższym i kulturze umysłowej człowieka współczesnego*, Warszawa 2014.

i zaradzenia kryzysowi, w jakim znalazł się Uniwersytet. Powtórzę najogólniej tezy w nim zawarte.

Otóż celem reformy nauki i szkolnictwa wyższego ma być – przekonują urzędnicy – podniesienie ogólnego poziomu Akademii, co wcześniej czy później wymusi konkurencja między ośrodkami akademickimi, dzieląc je tym samym na „lepsze” i „gorsze”. Inny, nie mniej istotny cel reformy, z którym związana jest bezpośrednio zmiana finansowania nauki, to uszczelnienie dziurawego systemu wydatkowania pieniędzy budżetowych. Przyjrzyjmy się zatem, jak się do tego zabrano.

Naprzód słowo o konkurencyjności w dziedzinie nauki. Wymusza ją na nas tak zwana parametryzacja osiągnięć naukowych. Jedni tworzą rzeczy lepsze, inni gorsze, jedni piszą więcej, inni mniej. Załóżmy, że to mierzalne i że istotnie za pomocą coraz bardziej doskonałych narzędzi parametrycznych wkrótce będziemy umieli to zbadać i sprawiedliwie ocenić. Obecnie jednak wynik, jaki daje parametryzacja, okazuje się *per saldo* dla nas wszystkich bez znaczenia. Tłumaczę, dlatego tak się dzieje. Otóż dotacja podstawowa, jaką uniwersytet otrzymuje od ministerstwa, przeznaczana jest w głównej mierze na opłacenie dydaktyki oraz na opłacenie kosztów utrzymania całej infrastruktury akademickiej (administracja, remonty, media, środki czystości i tym podobne). Szybko okazuje się, że kółdra jest krótka i brakuje pieniędzy na badania. Skłania się zatem uczonych, by brali udział w konkurencji, którą określa się pieszczotliwym mianem „grantozy”. Na stu uczonych występujących o granty, otrzymuje je – mówią o tym statystyki – tylko trzynastu. To jest, proszę Państwa, loteria nie mająca nic wspólnego z konkurencją, dla podejrzliwych zaś – konsekwencja zakulisowych decyzji podjętych na długo przed ogłoszeniem kolejnego naboru wniosków o grant. Idźmy dalej. Skoro to najlepsi (najlepiej sparymetryzowani) uczeni pracują na wynik uczelni, należy domniemywać, że jej władze wspomagają ich w tym. Być mo-

że są takie miejsca, gdzie tak się dzieje, wszakże nie można tego uznać za regułę obowiązującą powszechnie. Pamiętajmy, że opłaca się nam dydaktykę, rozlicza zaś pracę naukową. To są dwie rozłączne sfery. Jeśli wybitny skądinąd uczony uniwersytecki nie uzbiera wystarczającej liczby godzin do pensum – albo na skutek braku studentów, albo przez niepomysłny dla niego rozkład zajęć – może okazać się, że jego sytuacja zawodowa ulega destabilizacji, a on sam traci pracę. I to bez względu na to, czy zasługuje na przysłowiowego „Nobla”, czy nie. A przecież wystarczyłoby, jak się zdaje, osłabić związek pomiędzy wysokością dotacji przyznawanej wydziałowi czy instytutowi a liczbą studentów i uzależnić ją od poziomu kadry, czemu mogłaby przyjść z pomocą właśnie parametryzacja. Niestety, urzędnicy nie potrafią połączyć ze sobą tych dwóch rzeczy, uzależniając wysokość dotacji podstawowej od liczby studentów. Dlatego uniwersytet „lepiej” to po prostu uniwersytet masowy, ulokowany w centralnych aglomeracjach – warszawski, krakowski, poznański. To właśnie uczeni z tych ośrodków są głównymi beneficjentami systemu grantowego. Przypadek?

Konkurują ze sobą nie tylko poszczególni uczeni, nie tylko poszczególne uniwersytety, lecz także poszczególne dziedziny wiedzy. Z perspektywy przydatności, czy słabiej: dostosowania do reguł rynkowych zarządzanie zawsze będzie ważniejsze niż nauka łaciny. Logika, którą rządzą się urzędnicy, nierzadko każe im iść o krok dalej. Skoro języki klasyczne to języki martwe, powiadają, należy zakazać ich nauczania – nie ma przecież sensu ożywiać truchła; skoro filozofowie żyją w zamyśleniu, żyją, jakby „umarli”, należy ich nieco przynaglić, ożywić, a może nawet pogonić. Przypominam, że to retoryka profesora Adama Schaffa zarządzającego filozofią polską w połowie ubiegłego stulecia¹³. W tych skrajnie nieprzyja-

¹³ W programie telewizyjnym „Rzeczpospolita Druga i Pół” Jerzego Diałtłowickiego z 12 grudnia 1996 roku profesor Adam Schaff miał powiedzieć,

znych myśleniu czasach już za 20 lat – prognozuję – aby zrozumieć nasyconą latynizmami siedemnastowieczną kulturę polską, będziemy musieli najmować niemieckich profesorów, by ją nam objaśniali.

IV

Na koniec chciałbym pomówić o trzech sprawach: o demokracji na wyższych uczelniach, o kryteriach uznania, o studentach nieanalfabetach.

Przyjęliśmy demokratyczny sposób zarządzania Uniwersytetem. Można spierać się, czy reguły demokratyczne nadają się do tego, czy nie. Nie jest to ważne, skoro uznaliśmy je za wiążące. Otóż twierdzę, że demokracja uniwersytecka jest demokracją, tak jak dawniej rozumiał ją Trzymach Platoński. Demokratyczny jest bowiem tylko sam wybór osób zarządzających nami, który legitymizuje następnie ich wszystkie przyszłe decyzje. Z chwilą wyboru konkretnych osób na stanowiska rektora, dziekana, dyrektora kończy się nasz udział w demokratycznym procesie decyzyjnym, a zaczyna władza udzielna, władza mocniejszego. Ciała o charakterze doradczym, czy będą nimi Senat czy Rady Wydziału – twierdzę to na podstawie rozmów z wieloma osobami, które lepiej ode mnie znają arkana polityki uniwersyteckiej – spełniają funkcję listka figowego, przesłaniającego arbitralne decyzje władz. A są to takie decyzje, o których nie śniło się nawet filozofom. Mówię tu o masowych zwolnieniach na uczelniach (w ciągu ostatnich dwóch lat odeszło lub zostało zmuszonych do odejścia z pracy pięć tysięcy pracowników akademickich), o bu-

że dla kultury filozoficznej w Polsce „robił tylko dobrze”. Po czym dodał: „Ja miałem wszystkich filozofów w ręku (...) ale to nie było nic złego. (...) Ja im dawałem wszystko. (...) Byłem ich aniołem stróżem”. Podaję za blogiem Lecha Stępniewskiego. Wpis z grudnia 1996 roku.

dowie niepotrzebnego i nierentownego kampusu uniwersyteckiego, o sprzedaży biblioteki uniwersyteckiej przez jeden z prowincjonalnych uniwersytetów, wreszcie o zastąpieniu umowy o pracę na czas nieokreślony umową o charakterze krótkoterminowym, co wpływa destabilizująco na ciągłość nauki. Można zadać pytanie, czy decyzje, o których przed chwilą wspomniałem to decyzje sprawiedliwe. Cóż, na pewno są one niedemokratyczne, a rola ciał doradczych, z którymi się je konsultuje, jest praktycznie żadna. Decyzje te zapadają jednoosobowo lub w bardzo wąskim gronie. Sprawiedliwość jest sprawiedliwością silniejszego. Zasada reprezentacji ulega zaraz po wyborach zniekształceniu albo zostaje po prostu zawieszona.

Przechodzę do kwestii uznania i związanej z nią ewaluacji osiągnięć naukowych. W zeszłym roku wydałem w Stanach Zjednoczonych książkę o Arystofaniesie, Platonie i Shakespearze¹⁴. Zresztą nie sam jeden. Swoje książki opublikowali po angielsku lub wkrótce opublikują moi mniej więcej rówieśnicy: Michał Paweł Markowski o Schulzu i Leśmianie¹⁵, Michał Okłot o Gogolu i Gombrowiczu¹⁶, Agata Bielik-Robson o Haroldzie Bloomie¹⁷, Paweł Maciejko o sekcie frankistów¹⁸, Małgorzata Kowalska o dialektyce we współczesnej filozofii francuskiej¹⁹. W 2012 roku mój wieloletni nauczyciel prof. Krzysztof Michalski opublikował w Princeton książkę o Nietzschem²⁰. I co? Nic lub w najlepszym razie bardzo niewiele. W rozmowie

¹⁴ P. Nowak, *The Ancients and Shakespeare on Time: Some Remarks on the War of Generations*, Rodopi-Brill, 2014.

¹⁵ *Polish Modern Literature: Lesmian, Schulz, Witkacy* (w druku).

¹⁶ *Phantasms of Matter*, Dalkey Archive Press, 2009.

¹⁷ *The Saving Lie: Harold Bloom and Deconstruction*, Northwestern University Press, 2011.

¹⁸ *The Mixed Multitude: Jacob Frank and the Frankist Movement, 1755-1816*, University of Pennsylvania Press, 2011.

¹⁹ *Dialectics Beyond Dialectics*, Peter Lang Pub, 2015.

²⁰ *The Flame of Eternity: An Interpretation of Nietzsche's Thought*, Princeton University Press, 2012.

radiowej²¹ prof. Marcin Król tłumaczył mi, żebym się tym zupełnie nie przejmował, ponieważ o sukcesie za granicami kraju albo decydują znajomości, albo koniunktura, albo czysty przypadek. Dlaczego w Ameryce są lub byli stosunkowo dobrze znani polscy poeci? Ponieważ przekładał ich i reklamował Czesław Miłosz, m.in. publikując w 1965 roku głośną *Postwar Polish Poetry*²². Dziś nikt tego nie robi. Kultury polskiej nie promuje się niemal wcale. Instytut Adama Mickiewicza zajmuje się przede wszystkim promocją sztuki filmowej i muzyki, a więc dyscyplinami przyswajanymi właściwie bez większego wysiłku ze strony odbiorcy. Uznanie międzynarodowe, o które zabiegamy ponaglani przez urzędników nauki – twierdzą to z całym przekonaniem – jest iluzoryczne. A jeśli wreszcie przychodzi, w większym stopniu wydaje się dziełem fortuny niż przemyślności. Lub, jak w przypadku poezji Adama Zagajewskiego, jest dziełem jednej, wpływowej osoby, przekonującej inne wpływowe osoby, że mają do czynienia z rzeczą wybitną²³. Dlatego powinniśmy tworzyć po polsku i wzmacniać naszą rodzimą kulturę, ze wszystkimi tego konsekwencjami, nawet za cenę czasowej marginalizacji ze strony świata, który wymusza na nas – na uczonych, na studentach – natychmiastowe powodzenie. Istotne bowiem jest to, co i jak się pisze, a nie, w jakim języku się to robi i gdzie publikuje.

Na zakończenie chciałbym zwrócić się w kilku zdaniach do zebranych w tej sali studentów i doktorantów. Musicie wiedzieć, że nie jesteście pierwszymi ludźmi na ziemi. Tylko jak

²¹ Program II PR, Wykłady Audena. *Szekspir uzupełniony religią*, rozmawiają: Marcin Król, Piotr Nowak, Agnieszka Pokojska, prowadzenie: Jacek Wakar, 11 marca 2015 (zapis audycji dostępny w Internecie).

²² *Postwar Polish Poetry*, University of California Press, 1983 (trzecie wydanie).

²³ Cz. Miłosz, *Rozmowy polskie 1979–1998*, t. 1, Kraków 2006, s. 128–129.

macie się o tym przekonać, skoro nie studiujecie rzeczy przeszłych, skoro zmarli coraz mniej dla Was znaczą, a los tych największych – a więc Wasz los – jest Wam obojętny, więc niepewny? Wracajcie zatem do podstaw, do źródeł kultury europejskiej, do Biblii, do Platona, do Shakespeare’a. Nie dajcie się oszukać, że to źródło nieczynne, że ono wyszło do cna. Tak nie jest. To moja rada dla Was. Rad o charakterze pragmatycznym nie będę Wam udzielał. Niech robią to za mnie Wasze mamy i ojcowie.

Nie zgadzam się, że powinienem słuchać wszystkiego, co mówicie. Ale na pewno muszę to brać pod uwagę, w czym pomagają mi protokoły, które sporządzacie z moich zajęć²⁴, ale już nie Wasze ankiety. Ewaluacja uniwersytecka powinna być jednostronna. Emancypacja od autorytetu preceptora, niwelowanie różnicy między nauczycielem a studentami odbywa się ze stratą dla obu stron.

Współczesna Akademia nie jest Wam przychylna, wiem o tym. Etaty blokują profesorowie, którzy od dawna powinni chować wnuki i pisać wspomnienia. Albo tacy, którzy wolą plażę od biblioteki, jednak jakimś cudem od lat pozostają nietykalni. Pozwala się Wam – mówię to o młodych adiunktach i doktorantach – uprawiać naukę na zasadach wybitnie klientystycznych. Otrzymujecie trzyletnie granty na badania, których kontynuacja zależy od decyzji podejmowanej przez urzędnika nie mającego pojęcia, czym się zajmujecie. Ta sytuacja jest chora i trzeba ją zmienić. Chciałbym, abyście wzięli czynny udział w tej zmianie. Jak? Na początek wystarczy, jeśli przemyślicie swoją sytuację bez oglądania się na panującą obecnie koniunkturę. Studia nie powinny służyć Wam do zdobywania kwalifikacji zawodowych. To zresztą nie-realne z uwagi na tempo zmian, jakim podlega rynek. Jeśli

²⁴ O protokolowaniu zajęć przez studentów pisałem więcej w *Hodowaniu troglodytów*, dz. cyt., s. 98.

chcecie się na nim utrzymać, będzie lepiej, gdy zaliczycie jakieś konkretne szkolenia: spawacza, księgowej, wizażystki. A potem do Anglii. Dlatego pomyślcie o sobie nie w perspektywie kilkuletniej, ale na 20 lat do przodu, następnie wyciągnijcie z tego wnioski i porozmawiajcie ze swymi rówieśnikami, jak ma wyglądać Wasze życie. Wielkie rewolucje stąpają na gołębich nóżkach.

Marek Wilczyński

Uniwersytet Gdański

DZIEWIĘĆ UWAG O HUMANISTYCE NA UNIWERSYTECIE

I

Jak się wydaje, niemal powszechne jest dziś w Polsce przekonanie, że nauki humanistyczne na uniwersytecie mają się źle – nie tyle nawet jako obszar badań, który nie przynosi spektakularnych, tj. wysoko przez środowisko naukowe w kraju i za granicą ocenianych wyników, ile raczej jako uprawniona, niezbędna dziedzina kształcenia, która przygotowuje absolwentów do dobrego życia we współczesnym świecie. W ostatnich tygodniach współbrzmi z tym przekonaniem apel Ministerstwa Edukacji Japonii, by uczelnie zrezygnowały z programów o charakterze humanistycznym na rzecz nauk ścisłych, technicznych i przyrodniczych, rzeczywiście potrzebnych społeczeństwu do dobrobytu i komfortu. Na 60 uczelni państwowych na apel ten odpowiedziało pozytywnie 23, a dalszych 17 wstrzymało nabór na kierunki uznane za zbędne. Pamiętamy zapewne, jak Lech Wałęsa zapowiadał nam kiedyś „drugą Japonię”. Czyżby jego słowa miały ironicznie ziścić się po latach w taki właśnie sposób?

II

Improwizowana, prowizoryczna diagnoza tego stanu rzeczy mogłaby brzmieć następująco. Po pierwsze, rewolucja technologiczna, a zwłaszcza rozpowszechnienie się Internetu, spowodowała utożsamienie wiedzy z informacją, przed której nadmiarem (a nie brakiem) coraz trudniej się obronić. Po drugie, świadomość bezprecedensowej różnicy pomiędzy teraźniejszością a przeszłością, wywołanej tempem zmian cywilizacyjnych, deprecjonuje przeszłość, odgrywającą w perspektywie nauk humanistycznych niezbywalną rolę. Po trzecie, kryzys systemu opiekuńczego w Europie w następstwie załamania gospodarczego w roku 2008 przyniósł znaczne bezrobocie wśród młodzieży, powszechnie oczekującej interwencji państwa. Po czwarte, przemiany modelu edukacji na poziomie podstawowym i średnim, idące w kierunku rozpowszechnienia testów z kluczem oraz rugowania opinii indywidualnych, zniechęciły wielu uczniów do nauk humanistycznych, na ogół takie opinie nie tylko dopuszczających, lecz wręcz ich wymagających. Po piąte wreszcie, zmienił się też w Polsce sposób finansowania nauki w ogóle, z państwem jako „hiperadministratorem”, który nie tylko rozdaje fundusze, lecz również pragnie ściśle kontrolować ich wykorzystanie.

III

Na polskich uniwersytetach promuje się obecnie „amerykanizację”, a właściwie pseudoamerykanizację według naszych wyobrażeń, często niezgodnych z warunkami panującymi na uczelniach badawczych w USA. Na naszych oczach następuje zmierzch modelu uniwersytetu humboldtowskiego, podejście utylitarne, zgodne z doraźnymi oczekiwaniami polityków

i większości młodzieży, wymusza przekształcenia na rzecz modelu wyższej szkoły zawodowej, a komercjalizacja „usług dydaktycznych” oraz wyników badań nie sprzyja dyscyplinom humanistycznym, których „produkty” trudno sprzedać na globalnym rynku. Jeśli dodać do tego coraz bardziej dominujące w ocenie pracy badawczej podejście ilościowe, wyrażające się naciskiem na liczbę publikacji rzekomo w myśl merytokratycznej zasady „publikuj lub przepadnij”, wprowadzeniem punktacji zależnej od mniej lub bardziej arbitralnie ustalonej rangi periodyków naukowych (podczas gdy w USA tzw. „lista filadelfijska” nie jest żadnym miernikiem) oraz naciskiem na pracę zespołową na wzór empirycznie nastawionej części nauk społecznych, widać wyraźnie postępujące zbliżanie się uczelni do korporacyjnego typu zarządzania. Tymczasem już w roku 1918 wybitny socjolog amerykański Thorstein Veblen, znany głównie jako autor *Teorii klasy próżniaczej*, ostrzegął:

Wszystko to bezsprzecznie wskazuje, że istnieje tylko jeden rodzaj działań naprawczych, który warto poważnie wziąć po uwagę, natomiast z drugiej strony widać wyraźnie, iż w chwili obecnej, wobec rozpowszechnionych przeświadczeń dotyczących kontroli i zarządzania, wszelkie wysiłki mające na celu przywrócenie uniwersytem charakteru seminaryjnego skazane są na niepowodzenie, gdyż większość uważa, że wielkość, arbitralna kontrola oraz zarządzanie typu biznesowego to jedyne źródła racjonalnych reguł dających się zastosować do każdej dziedziny ludzkiej aktywności. (...) Jakkolwiek nadal w dłuższej, zdroworozsądkowej perspektywie cywilizowana ludzkość przedkłada wiedzę ponad doraźne interesy, codzienne nawyki wykształcone pod naciskiem współzawodnictwa na wzór biznesu sprzyjają postawie, która nie będzie tolerowała innych sposobów postępowania i żadnych reguł nie opartych na modelu konkurencyjnego przedsiębiorstwa. A skoro dążenie do wiedzy nie może być realizowane za pomocą metod i aparatu pojęciowego konkurencyjnego biznesu, wszelkie działania naprawcze, jakie mogłyby stworzyć nadzieję uzdrowienia szkolnictwa wyższego nie mogą być, w obliczu powszechnego nastawienia opinii, podjęte¹.

¹ T. Veblen, *The Higher Learning in America. A Memorandum on the Conduct of Universities by Business Men* (1918) w: tegoż, *The Portable Veblen*, red. M. Lerner, Viking Press, 1948, s. 537-538 [przeł. M.W.].

IV

Ewolucja ku typowi korporacyjnemu kryje w sobie m.in. taki oto paradoks: z jednej strony kładzie się w kształceniu i badaniach nacisk na sukces indywidualny, z drugiej natomiast, wyrażając ubolewanie, iż Polacy nie potrafią efektywnie współpracować w grupie, promuje także w naukach humanistycznych model zespołowy, chociaż humaniści – filozofowie, historycy sztuki, kulturoznawcy, literaturoznawcy – najczęściej przecież pracują indywidualnie. Gdyby Immanuel Kant, profesor uniwersytetu w Królewcu, podlegał dzisiejszym polskim kryteriom oceny akademickiej, niechybnie straciłby pracę mimo publikacji *Krytyki czystego rozumu*. Przez dwanaście lat, które poprzedziły jej ukazanie się drukiem, nie opublikował bowiem nic szczególnie wartościowego, nie uzyskał żadnego grantu, ani nie przewodził zespołowi badawczemu, natomiast za monografię w języku ojczystym (nie angielskim) otrzymałby zaledwie 20 punktów.

V

Niepokoi kolektywny, „plagiatowy charakter przełomów [metodologicznych]” zwłaszcza w literaturoznawstwie (tak, wiem, że Karol Irzykowski wycofał się później z tego stanowiska). Przyswajamy szybko i na krótki termin kolejne orientacje i „zwroty” amerykańskie (kalifornijskie) oraz postimperialne brytyjskie: „zwrot performatywny”, afekty, badania nad zwierzętami, nurt postkolonialny, ostatnio „historia ratownicza”, itd. Nie mam bynajmniej nic przeciwko adaptowaniu w polskiej humanistyce inspiracji zagranicznych, zawsze w naszych dyskusjach naukowych twórczo obecnych, jeśli wszakże porównać obecne tempo zmian z półwieczem minionym,

najsilniej naznaczonym przez fenomenologię Ingardena i strukturalizm od Budzyka do Głowińskiego, to wydaje się ono kalejdoskopowo błyskawiczne, sugerujące powierzchowność. Co gorsza, badacze młodzi, a więc szczególnie zależni od rozdających granty, firmujących serie wydawnicze i organizujących prestiżowe konferencje *maîtres à penser*, orientują się na właściwe w danej chwili obszary i punkty widzenia grupowo, rezygnując z odwagi myślenia i ryzyka dokonywania wyboru na własną rękę. W rezultacie powstają modne matryce pojęciowe, które z kolei wywołują opór środowisk silnie konserwatywnych, broniących w odpowiedzi matryc własnych. Przy tej okazji kolejny paradoks: z jednej strony postępujemy za Ameryką w nadziei, że będziemy należycie „nowocześni” lub „ponowocześni”, z drugiej chcemy poprzez mecenat Ministerstwa Nauki tłumaczyć na angielski nasze książki – zapewne po to, aby Amerykanie mogli po angielsku przeczytać raz jeszcze to, co już znają.

VI

Jeszcze o amerykanizacji: w swej znakomitej książce pt. *Enemies of Promise: Publishing, Perishing, and the Eclipse of Scholarship*, 2004 (wyd. pol. jako *Zmierzch wiedzy*, 2009), Lindsay Waters, szef redakcji nauk humanistycznych Harvard University Press, zwraca uwagę na dzisiejszą nadprodukcję publikacji niezbędnych do naukowego awansu, która m.in. skutkuje gorączkowym rytmem innowacji metodologicznych. Waters występuje również dobitnie przeciw zastępowaniu myślenia indywidualnego myśleniem korporacyjnym, odwołując się wprost do filozofa z Królewca:

Nasz kłopot polega na tym, że w swej istocie humanistyka – w czym niepodobna jest do nauk ścisłych, ani do społecznych – koncentruje

się na zdolności do wydawania sądów, na procesie, w którym wyobraźnia – jak pisze Kant w *Krytyce władzy sądenia* – „wnika w samą siebie”, a dusza „rozszerza się”. Władza sądenia stanowi fundament, na którym zbudowano humanistykę. W gruncie rzeczy funduje ją proces dążenia do autorefleksyjności, nadający istotom ludzkim wolność wydawania sądów, decydowania o tym, jak się rzeczy mają².

Znawca i współtwórca rynku książki naukowej w USA dodaje gorzko: „Żyjemy w epoce korporacji, a nie w epoce jednostki”, co prowadzi do ukrytej formy cenzury, gdyż „przebijają się” (otrzymują granty) projekty uznane za „zgodne z postępek nauki”, czyli w przypadku nauk humanistycznych po prostu modne³. Być może, zgodnie z prawem opóźnionej recepcji nurtów myślowych zza oceanu, i my zdamy sobie z tego sprawę za jakieś dziesięć lat.

VII

Projektowaną przez Ministerstwo Nauki humanistykę polską cechuje dziś postawa *dognat' i pieregnat'*, motywowana silnym kompleksem niższości podsycanym przez międzynarodowe rankingi uczelni wyższych, w których nasze uniwersytety lokują się z nie do końca wyjaśnionych przyczyn dopiero w czwartej setce. Aby temu zaradzić, angażuje się w rozpowszechnianie prac naukowych polskich uczonych mecenat państwa, zapominając jednak, iż Bronisław Malinowski, Florian Znaniecki, Roman Ingarden, Jan Białostocki, Karolina Lanckorońska, Leszek Kołakowski, Bronisław Baczko czy Zygmunt Bauman nie zawdzięczali swej pozycji wsparciu podatnika – każdy z nich wydawał swe prace za granicą na własną rękę w warunkach otwartej konkurencji. To oczywiście

² L. Waters, *Zmierzch wiedzy*, przeł. T. Bilczewski, Kraków 2009, s. 41.

³ Tamże, s. 44.

dobrze, że im – i innym – się udało, ale dlaczego nie potrafimy pogodzić się ze statusem kultury po gombrowiczowsku prowincjonalnej, potrzebnej w pierwszym rzędzie nie zagranicy, lecz nam samym? Czy niedawno zmarły Janusz Sławiński powinien być żałować, że jego teksty nie są w większości dostępne dla czytelników anglojęzycznych? Czy powinna tego żałować Maria Janion? Jan Sowa, autor *Fantomowego ciała króla*, czy Andrzej Leder, autor *Prześlionej rewolucji*, poradzą sobie poza Polską sami. Moim zdaniem, nie trzeba ich w autopromocji ani wyręczać, ani specjalnie wspierać. Z drugiej strony, ilu literaturoznawców-amerykanistów nie tylko z Polski, ale z całej kontynentalnej Europy zdobyło naprawdę znaczące miejsce w swojej dyscyplinie w USA? Zaledwie kilkoro Niemców i Francuzów, ostatnio może jeden Polak?

VIII

Obniżenie poziomu studiów humanistycznych na wszystkich trzech etapach kształcenia jest bez wątpienia efektem przemian edukacji na poziomie gimnazjalnym i ponadgimnazjalnym, coraz bardziej ograniczających listy lektur z języka polskiego tudzież zakres wymaganej wiedzy ogólnej dotyczącej wszystkich dziedzin kultury. Inny powód tego zjawiska to umasowienie studiów wyższych w warunkach niżu demograficznego, który dotarł właśnie na wyższe uczelnie. Na wielu kierunkach nie ma już żadnego wyboru – dla zachowania pensum zatrudnionej kadry przyjmujemy wszystkich, niemal nie bacząc na liczbę punktów na maturze. Zmieniło się też społeczne podejście do „wyższego wykształcenia”. Niegdyś była to wartość „sama w sobie”, dziś, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, to raczej „aktywa” (*assets*), jakimi można dysponować na rynku pracy, symboliczna przepustka do „klasy średniej”, choć oczywiście bez gwarancji charakteryzu-

jących tę klasę na Zachodzie dochodów i związanego z nimi poziomu życia.

IX

Mimo pewnej poprawy poziom zarobków pracowników uniwersytetów, zwłaszcza na wydziałach humanistycznych słabiej zasilanych grantami, wciąż pozostaje problemem, którego państwo stara się unikać. Wzrosty o 10% zmieniają niewiele, gdyż startowaliśmy z niskiego pułapu, tymczasem symbolicznie profesorowie mają należeć do „klasy średniej” z definicji. W naukach humanistycznych wysokość stałej pensji jest istotna, ponieważ humanista do swej pracy potrzebuje nie tyle grantu (na aparaturę, zmontowanie zespołu, współpracę międzynarodową), ile przede wszystkim czasu na skupienie, niewielkich stosunkowo pieniędzy na książki oraz czasem sum nieco większych na kwerendę biblioteczną lub prezentację swoich badań na konferencji. Dlatego szczególnie uciążliwe bywa dodatkowe zaangażowanie dydaktyczne na „drugim etacie” – często przymus wobec konieczności utrzymania rodziny. To wstydliva prawda, o której rzadko wspominamy. Chyba że, jak Kant, pozostajemy z wyboru w stanie wolnym. *Aut liberi aut liberi?*

Małgorzata Cieliczko

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

DUCH(Y) UNIWERSYTETU WEDŁUG RICHARDA RORTY'EGO

W naszym stuleciu, w większości krajów uniwersytety służą za uprzywilejowane sanktuaria dla myślenia dysydenckiego. Są to miejsca, w których kwestionowane zostają obowiązujące praktyki społeczne i instytucje¹.

Wykładowcy nie są usatysfakcjonowani do czasu, aż ich studenci po skończeniu zajęć nie zniechęcą się do społeczeństwa, w którym żyją i nie nabiorą wątpliwości co do zasad moralnych, w których zostali wychowani. (...) Zasadniczą funkcją [uniwersytetu – M.C.] jest powstrzymywanie społeczeństwa od pełnego zadowolenia z osiągnięć przeszłości, a poszczególnych studentów od samozadowolenia z własnej postawy².

Zarówno postęp intelektualny, jak i moralny nie są kwestią przybliżania się do tego, co Prawdziwe, Dobre albo Słuszne, ale polegają na rozwijaniu władzy wyobraźni³.

Amerykański neopragmatysta oraz nauczyciel akademicki – Richard Rorty, w swych pismach stosunkowo często poruszał kwestię wyższej edukacji, kształtowania myślenia i postaw studentów oraz roli uniwersytetu w szeroko rozumianym życiu społecznym. Z fragmentów tych wyłania się oryginalna i inspirująca wizja uniwersytetu jako miejsca o niebagatelnym znaczeniu nie tylko dla osób bezpośrednio z nim związa-

¹ R. Rorty, *Edukacja i wyzwanie postnowoczesności*, przeł. L. Witkowski, w: *Spory o edukację. Dylematy i kontrowersje we współczesnych pedagogiach*, red. Z. Kwieciński, L. Witkowski, Warszawa – Toruń 1993, s. 98.

² Tenże, *Etyka zasad a etyka wrażliwości*, przeł. D. Abriszewska, „Teksty Drugie” 2002, nr 1-2, s. 51, 63.

³ Tenże, *Etyka bez zasad*, przeł. W. Jach, „Odra” 2006, nr 9, s. 41.

nych, ale także – co nie mniej ważne – dla ogółu społeczeństwa. Podstawowym założeniem tego ujęcia był zdecydowany sprzeciw wobec myśli, iż głównym celem uczelni wyższych winno być produkowanie tzw. fachowców. Rorty postulował konieczność zerwania z komercyjnym obliczem uniwersytetów, które – chcąc (a tak naprawdę będąc zmuszone) przyciągać szerokie rzesze studentów oraz otrzymywać jak największe wsparcie finansowe – przekonują państwo, sponsorów i zwykłych ludzi, w tym potencjalnych adeptów, że posiadają lub są w stanie wyprodukować towar, jaki ci potrzebują. Ów towar rozumiany jest metaforycznie, ale też praktycznie – oznacza po pierwsze perspektywę wyposażenia absolwentów w takie kwalifikacje i umiejętności, które zapewnią im świetny zawód oraz dostatnie życie; po wtóre zaś wiąże się z przekonaniem dysponentów środków, że przeprowadzane na uczelniach badania w niedalekiej przyszłości pozwolą całemu społeczeństwu gromadzić coraz większą ilość dóbr oraz dysponować coraz łatwiejszym i szybszym dostępem do usług, a to wszystko przy sukcesywnej minimalizacji ponoszonych kosztów⁴. Te rynkowo-finansowe argumenty są, według Rorty’ego, jedynie „lepem”, którego celem jest przyciągnięcie młodzieży na studia oraz zachęcenie sponsorów do inwestowania znacznych sum w naukę, podczas gdy najistotniejsza funkcja uniwersytetu jest zgoła odmienna i pozostaje skryta (a ostatnimi czasy niestety pomijana, wręcz zapomniana) – polega na „sianiu niepokoju u studentów, wywoływaniu w nich wątpliwości co do sposobu, w jaki zostali wychowani oraz zmuszaniu ich do zadawania pytań pozostających bez odpowiedzi”⁵. Uniwersytet staje się miejscem, gdzie nie

⁴ Zob. tenże, *Etyka zasad...*, s. 51.

⁵ Tamże. Problemy komercjalizacji i urynkowania uniwersytetów, przede wszystkim zaś humanistyki obserwujemy także w Polsce. Dowodem – burzliwa dyskusja (wywołana decyzją o zamknięciu kierunku filozofia na Uniwersytecie w Białymstoku) przeprowadzona na łamach największych

tyłe podważone, ile zburzone powinny zostać światopoglądy młodych ludzi, ustanowione na podstawie zdobytej do tychczas wiedzy i rodzinnych czy wspólnotowych wartości. Pozbawieni bezpiecznego gruntu, zmuszeni zostają do samodzielnego wysiłku intelektualnego, do twórczej podejrzliwości wobec każdej znanej, ale także wobec wszelkiej nowej myśli – zasłyszanej, przeczytanej, a nawet własnej. „Gdy student dostanie się już na wykłady – pisał Rorty – otrzymuje takie lektury, które zgodnie z nadzieją wykładowców będą go do tego stopnia niepokoić, że sam zacznie szukać podobnych książek, aby niepokój przybrał bardziej złożoną formę”⁶. Uniwersytety nie mają zatem produkować specjalistów, ale kształcić i n t e l e k t u a l i s t ó w – „kogoś, kto ma wątpliwości co do wartości języka, którym się posługuje w celu dokonywania moralnych i politycznych osądów, i kto czyta książki, aby poradzić sobie z tymi wątpliwościami. Intelektualist(k)a – kontynuował filozof – nie jest nigdy pewien/pewna, czy jego/jej osady charak-

ogólnopolskich gazet oraz internetowych serwisów informacyjnych, trwająca nieprzerwanie od roku 2013. Porusza się w niej kwestie m.in. zmniejszającego się zainteresowania studiami (szczególnie kierunkami humanistycznymi i społecznymi), zauważalnie obniżającego się poziomu studentów (i, adekwatnie do tego, prowadzonych zajęć), traktowania uniwersytetu jako „fabryki wiedzy”, „miejsca świadczenia usług edukacyjnych”, a co za tym idzie niebezpiecznego dla ducha humanistyki zwrotu ku specjalizacji i edukacji o charakterze praktyczno-zawodowym. Jedna z częściej przewijających się tu formuł brzmi „kryzys szkolnictwa wyższego/humanistyki”. Problemy te podejmowane były jednak na kartach humanistycznych czasopism oraz osobnych publikacji od ponad dekady – z książek eksplicytnie podejmujących kwestię humanistyki uniwersyteckiej wymienić należy *Antygonę w świetle korporacji: rozważania o uniwersytecie i czasach obecnych* Tadeusza Sławka (Katowice 2002) czy *Hodowanie troglodytów* Piotra Nowaka (Warszawa 2014). Do ważniejszych publikacji czasopiśmienniczych zaliczyć trzeba temat miesiąca „Znaku” (2009, nr 10), jakim było *Bankructwo humanistyki? czy opublikowana w „Kronosie”* (2011, nr 1) debatę z udziałem Włodzimierza Boleckiego, Tadeusza Gadacza, Małgorzaty Kowalskiej, Jacka Migasińskiego i Piotra Nowaka pt. *Przyszłość uniwersytetu*, lista – rzecz jasna – jest znacznie dłuższa.

⁶ R. Rorty, *Etyka zasad...*, s. 51.

terów ludzkich lub alternatywnych instytucji społecznych są czymś więcej niż tylko odziedziczonymi uprzedzeniami⁷.

Zdaniem Rorty'ego, za pierwszego tak rozumianego intelektualistę należy uznać Sokratesa, a to za sprawą przypisywanej mu metody prowadzenia swobodnej rozmowy (przede wszystkim w jej pierwszym, elenktycznym etapie), podczas której myśliciel zadawać miał wiele pozornie prostych pytań, zmuszając nimi swych interlokutorów, popadających powoli w sprzeczności i aporie, do kolejnego definiowania i redefiniowania rozmaitych pojęć, a w efekcie do przyznania, iż to, co uznawali za obiektywną prawdę było w istocie jedynie ich prywatnym przeświadczeniem. Amerykański badacz twierdził, nawiązując do myśli swego mistrza Johna Dewey'a oraz interpretacji Jeana-Paula Sartre'a, iż celem tak prowadzonego przez Sokratesa dialogu nie było odkrycie ani dotarcie do absolutnej prawdy, do jednego sensu; przeciwnie – efektem finalnym miało być nauczenie ludzi twórczego myślenia oraz „otwarcie [ich – M.C.] wyobraźni na alternatywy”⁸:

Sens Sokratejskiego stawiania pytań nie zamyka się w rzeczywistości transcendentnej, lecz polega po prostu na sprawieniu, aby ludzie zadawali pytania: czy nasze zwyczaje, instytucje i formy życia są najdoskonalsze, jakie można sobie wyobrazić, czy też można je ulepszyć? (...) Nie istnieje coś takiego, jak „natura ludzka”, do której można się odwołać. Nie istnieje żadna możliwość przypomnienia sobie natury dobra, które posłużyłoby do osądzania proponowanych alternatyw. Jedyna rzecz, którą możemy robić, to eksperymentalnie i na próbę porównywać nowe zwyczaje i instytucje ze starymi tak samo, jak porównujemy nowych przyjaciół, posady, otoczenie – ze starymi⁹.

Skoro więc – dla Deweya, Sartre'a, jak również Rorty'ego – nie istnieje uniwersalne kryterium prawdy ostatecznej, a za-

⁷ Tamże, s. 52.

⁸ Tamże, s. 55.

⁹ Tamże.

tem poszukiwanie jej jest z góry skazane na klęskę, ten ostatni proponuje zamiast tego rozpocząć, wzorowaną na Sokratejskiej, swobodną dyskusję. Miałaby ona przyjąć postać otwartej konfrontacji ludzi starających się odnaleźć największą możliwą liczbę alternatyw danej sytuacji, rozważających zalety i wady każdej z nich, przy świadomości i zgodzie na to, że nigdy nie będą w stanie uzyskać rozstrzygającej odpowiedzi. Rezultat takiej rozmowy jest bowiem tylko tymczasowy – inny być po prostu nie może, podkreślał Rorty, dodając:

[Rezultat ów – M.C.] może być akceptowany tylko do czasu, aż ktoś zaproponuje coś nowego – nową teorię naukową, nowy styl artystyczny, nowe instytucje polityczne. A wtedy dyskusję trzeba będzie podjąć na nowo. Jest tak, ponieważ nigdy nie możemy być pewni, iż zbadano już wszystkie możliwe alternatywy. Nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji, że Sokratejskie stawianie pytań stanie się niepotrzebne¹⁰.

Takim rozumieniem postaci Sokratesa i jego działalności Rorty wszedł w otwartą polemikę z Allanem Bloomem – autorem książki *Umysł zamknięty*¹¹ traktującej o wątlej kondycji edukacyjno-intelektualnej amerykańskiego szkolnictwa. W artykule *Etyka zasad a etyka wrażliwości* Rorty przypomniał tezy tej pozycji, by następnie kategorycznie je odrzucić – sprzeciwiał się przede wszystkim uznaniu Platona za spadkobiercę i kontynuatora tradycji Sokratejskiej, widząc w tych dwóch starożytnych myślicielach źródła dwóch odmiennych stylów akademickiego myślenia i kształcenia. Bloom był zdania, że podstawowym i zarazem najważniejszym elementem edukacji uniwersyteckiej jest poszukiwanie oraz odkrywanie

¹⁰ Tamże.

¹¹ Tytuł oryginału: *The Closing of the American Mind. How Higher Education Has Failed Democracy and Impoverished the Souls of Today's Students* (1987, wyd. pol. 1997); korzystam z wydania: A. Bloom, *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, przeł. T. Bieroń, Poznań 2012.

głębokiej, absolutnej prawdy, a w punkcie dojścia nauczanie możliwie wielu studentów umiejętności uchwycenia jej – „przez myślenie, przez poszukiwania mające na celu uspojnienie naszych przekonań możemy dotrzeć do tego, co w nas najgłębsze i najbardziej centralne – do rozumu, który jest źródłem prawdy”, parafrazował słowa Blooma autor eseju¹². Chcąc jak najklarowniej przedstawić własne stanowisko, Rorty zaproponował podział intelektualistów na dwie grupy – do jednej należałoby ci, którzy uważają moralność za kwestię zasady (określił ich mianem filozofów), do drugiej zaś ci, którzy rozpatrują moralność jako kwestię wrażliwości (nazywać ich będzie krytykami literackimi¹³). Tych dwóch określeń badacz nie stosował w sposób konwencjonalny, od-

¹² Tamże, s. 53.

¹³ Rorty podkreślał, że krytykę literacką rozumie szeroko, co wynika z faktu, iż zakres pojęcia literatury w drugiej połowie XX wieku znacząco się rozrósł. Stąd termin krytyka literacka odnosi się w jego pismach nie tylko do analizy wartości artystycznych poezji, dramatu czy prozy, ale obejmuje również pisarstwo z zakresu teologii, filozofii, teorii społecznej, programów politycznych i rewolucyjnych manifestów; „oznaczało to rozciągnięcie go [pojęcia krytyki literackiej – M.C.] na każdą książkę, która mogłaby dostarczyć kandydatur do naszego słownika finalnego”. W innym miejscu Rorty dodaje: „skoro zasięg krytyki literackiej rozszerzono tak bardzo, coraz mniej zasadne jest nazywanie jej krytyką literacką. (...) Jednak z ubocznych przyczyn historycznych, które wiążą się ze sposobem, w jaki intelektualiści zdobywali pracę na uniwersytetach, udając, że uprawiają specjalności akademickie, nazwa ta się przyjęła. Zamiast więc termin »krytyka literacka« zastąpić czymś w rodzaju »krytyki kulturowej«, rozciągnęliśmy zakres słowa »literatura« tak, aby obejmowało ono wszystko, co krytycy literaccy krytykują” (R. Rorty, *Przygodność, ironia i solidarność*, przeł. W.J. Popowski. Warszawa 2009, s. 131-135). Gwoli drobnego dopowiedzenia – wzorem koncepcji Jonathana Cullera, uznającego, że nie powinniśmy mówić o np. teoretyku literatury czy kultury, lecz po prostu o teoretyku, jako osobie determinowanej swoistą postawą i procedurami poznawczymi, niezależnymi od wybranego przedmiotu badań – zamiast sugerowanej przez Rorty’ego zmiany nazewnictwa z krytyki literackiej na kulturową, wystarczyłoby pozostawić sam termin krytyka, rozumiany jako pewien charakterystyczny sposób podejścia do naukowo-kulturowych zagadnień. Za tę uwagę dziękuję doktorowi Pawłowi Grafowi.

cinając się od słownikowo utrwalonych znaczeń, a w ich miejsce podawał własne, autorskie definicje (oczywiście, zgodnie z wyznawaną zasadą, tylko tymczasowe, choć stabilne w ramach wywodu): filozof swoim najważniejszym zadaniem ustanawia poszukiwanie prawdy na drodze argumentacji, podczas gdy celem krytyka literackiego jest „poszukiwanie nowych alternatyw i spójności między nimi poprzez redeskrpcję raczej niż przez dowód”.

Ludzie, których nazywam „filozofami”, zazwyczaj postrzegają naukę jako najważniejszy składnik kultury. Gdy są profesorami filozofii, to starają się, aby filozofia stała się wystarczająco naukowa. Gdy są profesorami literatury, niepokoi ich różnorodność interpretacji krytycznych; mają nadzieję na ustanowienie twardej podstawy naukowej dla krytyki literackiej. Dla odmiany ludzie, których nazywam „krytykami literackimi”, uznają zazwyczaj sztukę, a zwłaszcza literaturę za najważniejszy składnik kultury. Nie dbają o to, czy są naukowcy, czy nie. Bardziej troszczą się o to, czy są ciekawi, interesujący, inspirujący i niepokojący¹⁴.

Postawa tak rozumianych filozofów stanowi realizację ideału Platońskiego; grecki myśliciel, będąc przekonany, iż głęboko w człowieku ukryta jest prawda, twierdził, że w celu „przypomnienia” jej sobie (anamneza) należy zdystansować się od niedoskonałej codzienności, w tym od własnych emocji, i wejść na drogę ścisłego, logicznego rozumowania – tylko wówczas można dotrzeć do rzeczywistości transcendentnej i w konsekwencji poznać prawdę absolutną. Platon – zdaniem Rorty'ego – dowartościowywał pewność osiąganą przez matematyka (ten jest bowiem w stanie przedstawić konkluzywne argumenty dla wysuwanych tez), w przeciwieństwie do niepewności, która towarzyszy pracy poety, krytyka czy polityka. Natomiast druga grupa intelektualistów, krytycy literaccy, to spadkobiercy myśli Sokratejskiej (tak jak rozumie ją Rorty,

¹⁴ R. Rorty, *Etyka zasad...*, s. 53-54.

a nie Bloom¹⁵) – ci „wszystkożerni czytelnicy” poznają, przyswajają i porównują możliwie największą liczbę słowników, akceptując, iż żaden z nich nie może stać się słownikiem finalnym¹⁶. Dzięki różnorodnym lekturom krytyk literacki kształci swoją wrażliwość, umiejętność rozumienia innych, poszerza swoje horyzonty, otwiera wyobraźnię – „pragnienie posiadania wzmożonej wrażliwości jest pragnieniem, by nie oceniać ludzi, wartości ani instytucji według istniejących już (*pre-existing*) kryteriów, by zrezygnować z Platońskiego stwierdzenia, iż istnieją »standardy racjonalności«, które zapewniają takie kryteria oraz by przyznać, że to, co uważane

¹⁵Bloom przyznawał postawie Sokratesa, z czym akurat zgodziłby się Rorty, rolę swoistego kamienia węgielnego akademickiego myślenia, co wyraził chociażby w poniższym fragmencie: „Typ doświadczenia, które uosabia Sokrates, jest istotny, ponieważ stanowi duszę uniwersytetu. Doświadczenie to i jego relacja wobec społeczeństwa obywatelskiego – tak należałoby ogólnie sformułować problem uniwersytetu – to stały temat w pismach Platona i Ksenofonta, którzy dają nam Sokratesa z krwi i kości (...)”, A. Bloom, dz. cyt., s. 350. Jednak interpretacja Sokratejskiego podejścia do świata zaproponowana przez Blooma znacząco się różni od Rortiańskiej, ten pierwszy pisał bowiem: „(...) Sokrates pragnie pokazać, że wychodzimy od złudzeń, czy też mitów, lecz możliwe jest zmierzanie do świata poza konwencjami, czyli natury, za pomocą rozumu. Fałszywe mniemania można skorygować, a do poszukiwania prawdy skłaniają ludzi rozumnych wewnętrzne sprzeczności tych mniemań. Wychowanie jest ruchem od ciemności do światła. Rozum rzutowany na byty, o których początkowo tylko mniemamy w mroku, daje oświecenie” (tamże, s. 345), sugerując, że według starożytnego filozofa dotarcie do prawdy w praktyce jest jak najbardziej możliwe. Wydaje się, że oba głosy – zarówno Blooma, jak i Rorty’ego – wynikają z tego samego szczerzego zaniepokojenia poziomem i jakością edukacji na uniwersytetach, łączy ich również wiele spostrzeżeń i diagnoz dotyczących współczesnego świata, znacząco odmienne mają natomiast pomysły, jak zapobiec pogłębianiu się tego kryzysu intelektualnego.

¹⁶Rorty definiował „słownik finalny” jako zestaw słów, które człowiek w sobie nosi i używa do uzasadniania własnych działań, przekonań i wyborów, słowami tymi opowiada (perspektywicznie i retrospektywnie) historię swojego życia – co istotne, stanowią one dla niego ostatnią instancję językową, dlatego zakwestionowanie ich wartości wywołać może reakcje skrajne: bezradną bierność bądź odpowiedź siłową (zob. R. Rorty, *Przygodność...*, s. 121).

jest za racjonalne w jednej kulturze, jest czymś irracjonalnym w innej”¹⁷. Osoba krytyka literackiego ma oczywiście prawo do przekonania i głoszenia wyższości jednych form życia czy rozwiązań nad innymi, ale nie jest jej zamiarem udowadnianie prawdziwości swych twierdzeń, gdyż zdaje sobie sprawę z niemożności takiego przedsięwzięcia. Ponadto nie ma tu znaczenia, czy owo przekonanie wynika z kalkulacji rozumowych czy zbudowane jest na podstawie danych emocjonalnych – w przeciwieństwie do filozofa, krytyk literacki nie utożsamia rozumu/intelektu ze źródłem prawdy. Na czym miałyby więc polegać rozmowa prowadzona z krytykiem? Rorty odpowiadał, że na nieskrępowanej wymianie myśli, podczas której werbalizuje się jak największą liczbę alternatyw, ergo powinny w jej trakcie zaistnieć rozmaite słowniki. Dopiero przeprowadzenie dokładnej analizy przedstawionych propozycji daje podstawy do zasugerowania konkretnego wyniku czy wniosku, przy stałym założeniu, że każdorazowo będzie miał on charakter tymczasowy, doraźny:

Według niego [krytyka literackiego – M.C.], racjonalność nie polega na zastosowaniu jakiegoś kryterium, lecz raczej na posuwaniu się w tył i w przód pomiędzy ogólnymi zasadami i szczególnymi przypadkami oraz na próbie zrównoważenia ich poszczególnych roszczeń. Racjonalna dyskusja nie jest odwołaniem się do wiecznych standardów, ale próbą uczynienia naszych przekonań i pragnień tak spójnymi, jak to tylko możliwe¹⁸.

Rortiańska wizja uniwersytetów jest usytuowana antypodycznie wobec projektu Blooma zakładającego, że uczelnie powinny być miejscem, gdzie poszukuje się (i uczy poszukiwania) Platonijskiej prawdy absolutnej. Bloom potępia przede wszystkim wydziały humanistyczne, nazywając je pogardliwie „pchlim targiem idei”, za to, co Rorty uznaje za ich najcen-

¹⁷ R. Rorty, *Etyka zasad...*, s. 56.

¹⁸ Tamże, s. 57.

niejszą cechę – mianowicie za „brak jednolitego poczucia misji” oraz „brak zgody co do wartości, które należy wszczepiać”. Swoje stanowisko Rorty wyraził słowami:

Ja przeciwnie, uważam, iż jest zaletą współczesnych wydziałów humanistycznych współczesnych uniwersytetów amerykańskich, że są właśnie „pchlim targiem” idei. Nie wytworzyły konsensusu w żadnej dziedzinie i nie powinny tego czynić. Nie posiadają żadnego uzgodnionego programu poza nieustającym usiłowaniem niepokojenia studentów przez zapoznanie ich z literaturą, która stoi w sprzeczności z tym, w co wcześniej wierzyli. Traktuje się wszystkie książki po prostu jako okazje do zwiększenia wrażliwości i ciekawości. Postrzegają swą rolę jako zapewnienie *fair play*; dostarczyć tyle książek, ile to tylko możliwe, by zmienić umysły studentów. Mają nadzieję, że przez stworzenie dostatecznie bogatego i zróżnicowanego „pchlego targu” studenci opuszczą uniwersytety wrażliwsi niż gdy na nie wstępowali¹⁹.

Po raz kolejny wywołane więc zostały duchy dwóch wielkich filozofów starożytności, z tą jednak różnicą, że nie w celu wskazania ciągłości tradycji (jak u Blooma), lecz by zaznaczyć istotną różnicę, jaka zarysowuje się pomiędzy ich koncepcjami. Rorty, zastanawiając się nad aktualnym stanem oraz perspektywami uniwersytetów, zdecydowanie opowiada się po stronie myśli Sokratesa i nieodłącznie z nią związanej postawy ironicznej. Ironia – rozumiana, podobnie jak ironia sokratyczna, jako postawa życiowa – stanowiła jedną z najważniejszych kategorii również dla współczesnego myśliciela.

Podział intelektualistów na filozofów oraz krytyków literackich w dużym stopniu przypomina inną, zapewne bardziej znaną (a opisaną szerzej w książce *Przygodność, ironia i solidarność*) kategoryzację Rorty’ego – mam na myśli rozróżnienie na: metafizyka oraz ironistkę. Metafizyk nieodparcie przypomina filozofa – utożsamienie tych dwóch postaci nie

¹⁹ Tamże, s. 58.

będzie, jak sędzę, nadużyciem; autor pisze bowiem o tym pierwszym:

Przyjmuje on, że obecność jakiegoś słowa w jego własnym słowniku finalnym daje gwarancję, iż odnosi się ono do czegoś, co posiada rzeczywistą istotę. Metafizyk jest wciąż przywiązany do zdrowego rozsądku przez to, że nie kwestionuje banałów, które zakładają użycie danego słownika finalnego, a w szczególności banału, który powiada, iż istnieje jedna, niezmienna rzeczywistość, którą należy odnaleźć poza wielością przemijających zjawisk. Nie opisuje on na nowo, lecz raczej analizuje stare opisy za pomocą innych starych opisów²⁰.

Podobnie druga postać – ironistka, posiada wiele cech wspólnych z krytykiem literackim, jednak w moim przekonaniu pomiędzy nimi nie możemy już postawić wyraźnego znaku równości. Ironistka²¹ – jako antagonistka metafizyka – jest zagorzałą antyesencjalistką, nominalistką i historycystką, co niewątpliwie łączy ją z osobą krytyka. Warto jednak dokładniej przyjrzeć się jej kreacji, przypominając trzy warunki, których spełnienie daje prawo do określenia danej postawy właśnie tym mianem; otóż Rortiańska ironistka:

(1) Odczuwa silne i nieustanne wątpliwości co do słownika finalnego, którym aktualnie się posługuje, ponieważ zrobiły na niej wrażenie inne słowniki, słowniki przyjmowane za finalne przez ludzi bądź książki, jakie napotkała; (2) Zdaje sobie sprawę z tego, że rozumowanie wyrażone w jej obecnym słowniku nie może ani potwierdzić, ani rozproszyc tych wątpliwości; (3) O ile filozofuje na temat własnej sytuacji, nie uważa, by był jej słownik bliższy rzeczywistości do innych słowników, by był w styczności z różną od niej mocą²².

²⁰ R. Rorty, *Przygodność...*, s. 124.

²¹ Rodzaj żeński używany od czasu do czasu przez Rorty'ego interpretowany jest przez komentatorów jego myśli jako afirmująca odpowiedź tego myśliciela na postulaty feministyczne, szczególnie w kwestii równouprawnienia. Według mnie zabieg ten można również rozumieć jako wyraz dystansu Rorty'ego wobec własnego słownika.

²² R. Rorty, *Przygodność...*, s. 121-122.

Pozycję ironistów Rorty określał – odwołując się do terminologii Sartre'a – mianem *meta-stabilnej*; brak potrzeby poszukiwania finalnego słownika wynikający z przekonania, że takowy po prostu nie istnieje połączony z niechęcią do podejmowania prób ustanowienia kryteriów wyboru takiego słownika (za co ironiści szczególnie mocno krytykowani są przez metafizyków) – to wszystko stawia ich w sytuacji, w której nie mogą całkowicie poważnie traktować nawet samych siebie: „cały czas mają (...) świadomość, że słowa, za pomocą których opisują siebie, podlegają zmianie, stale pamiętają o przygodności i kruchości swych finalnych słowników, a przeto i swoich jaźni”²³. Tak rozumiana ironistka staje się – jak podkreśla Magdalena Żardecka-Nowak – reprezentantką nowej kultury, w jej liberalnym, propagowanym przez Rorty'ego, ujęciu; ale w liberalnym społeczeństwie ironistce stawiane są również pewne wymagania etyczne – badaczka dopowiada:

Ironistka (...) stoi na straży różnorodności i pluralizmu, uważa, że solidarność nie wynika ze wspólnej wszystkim natury ludzkiej, lecz jest tym, co dopiero należy stworzyć, a wrażliwość moralna nie kształtuje się na podstawie teoretycznych przesłanek, lecz polega na umiejętności wyobraźniowego utożsamienia się z inną istotą cierpiącą²⁴.

O niemożności pełnego utożsamienia ironisty z krytykiem literackim pisał też sam Rorty, zaznaczając, że każdy krytyk musi być ironistą, jednakowoż nie każdy ironista należy z konieczności do grona krytyków:

Ironiści czytają krytyków literackich i uważają ich za moralnych doradców po prostu dlatego, że krytycy ci mają wyjątkowo szeroki krąg znajomości. Są doradcami moralnymi nie dlatego, że posiadają

²³ Tamże, s. 122-123.

²⁴ M. Żardecka-Nowak, *Wspólnota i ironia. Richard Rorty i jego wizja społeczeństwa liberalnego*, Lublin 2003, s. 198.

szczególny dostęp do prawdy moralnej, lecz dlatego, że są obcy. Przeczytali więcej książek, są przeto lepiej zabezpieczeni przed ryzykiem wpadnięcia w pułapkę słownika pojedynczej książki²⁵.

Można więc postawić tezę, że krytyk literacki, który znajduje się w kręgu intelektualistów-ironistów²⁶, tym się od nich różni, że szeroko rozumianym czytelnictwem zajmuje się *z a w o d o w o*. Pracując zazwyczaj na uniwersytecie i będąc specjalistą w swojej dziedzinie, ma pełne predyspozycje, aby zaproponować wiele ciekawych i niestereotypowych zestawień lekturowych, dostarczyć nowych opisów oraz urozmaicić kanon, zapewniając „możliwie najbogatszy i najszerszy zestaw klasycznych tekstów”²⁷. Właśnie takie wyzwania zostają mu postawione, a ich niebagatelne znaczenie Rorty, który krytykę literacką uważał za najważniejszą dyscyplinę intelektualną, podkreślał słowami:

(...) to przedsięwzięcie poszerzenia kanonu zajmuje miejsce podejmowanych przez filozofów moralności prób uzyskania równowagi między powszechnie akceptowanymi intuicjami moralnymi dotyczącymi poszczególnych przypadków a powszechnie akceptowanymi ogólnymi zasadami moralnymi²⁸.

Wracając do typologii *Przygodności, ironii i solidarności*, warto zauważyć, że odmienność ironistki oraz metafizyka, przede wszystkim w ich podejściach do słownika finalnego, ma swoje istotne i zarazem bardzo ciekawe konsekwencje w postaci zupełnie innego rozumienia kategorii *k a n o n u*

²⁵ R. Rorty, *Przygodność...*, s. 132-133.

²⁶ Nie mogę zgodzić się z tezą Żardeckiej-Nowak, która zakłada, że wszyscy intelektualści są zarazem ironistami, sugerującą w konsekwencji, iż ironia jest niezbywalną i immanentną cechą Rortiańskiego intelektualisty (zob. M. Żardecka-Nowak, dz. cyt., s. 186-187); do grona intelektualistów Rorty zalicza wszak metafizyka, który zdecydowanie opowiada się po stronie zdrowego rozsądku, stając w świadomej i celowej opozycji wobec ironii.

²⁷ R. Rorty, *Przygodność...*, s. 133.

²⁸ Tamże.

oraz istotnie różniącego się podejścia do poszczególnych książek, jak również samego aktu lektury:

Dla metafizyków biblioteki dzielą się według dyscyplin odpowiadających różnym przedmiotom wiedzy. Dla ironistów dzielą się one według tradycji, których każdy przedstawiciel po części przejmuje, po części zaś przekształca słownik pisarzy, których czytał. Ironiści traktują pisma wszystkich ludzi posiadających dar poetycki, wszystkich oryginalnych umysłów posiadających talent do opisywania na nowo – Pitagorasa, Platona, Milтона, Newtona, Goethego, Kanta, Kierkegaarda, Baudelaire'a, Darwina, Freuda – jak ziarno, które należy przepuścić przez ten sam dialektyczny młyn. Metafizycy natomiast chcą zaczynać od wyraźnego ustalenia, którzy z nich byli poetami, którzy filozofami, a którzy naukowcami. Uważają, że rzeczą zasadniczą jest właściwe rozróżnienie gatunków – uporządkowanie tekstów według z góry ustalonego schematu, schematu, który, jeśli nawet na nic więcej się nie zda, to przynajmniej jasno odróżni roszczenia poznawcze od innych, przyciągających naszą uwagę, roszczeń. Ironistka chciałaby natomiast uniknąć preparowania książek, które czyta, za pomocą jakiegokolwiek tego rodzaju schematu (choć, z pełną ironii rezygnacją, uświadamia sobie, jak trudno jej się od tego powstrzymać)²⁹.

Rorty zdecydowanie dowartościowuje postawę poznawczą ironistki, która zasadza się na przekonaniu, iż do nauki, lektur, wiedzy należy podchodzić w sposób niekonwencjonalny, w poprzek tradycyjnych dyscyplin, przełamując sztucznie dzielące je granice. Postęp nauki – w opinii tego teoretyka – nie będzie możliwy, jeśli kontynuowane będą badania ukierunkowane jedynie w głąb danej dziedziny, sztywnie trzymające się jej ram. Prawdziwy rozwój polegać ma bowiem na:

(...) włączaniu do wspólnej sieci przekonań coraz większej ilości danych – łączeniu danych pochodzących z mikroskopów i teleskopów z danymi zaobserwowanymi gołym okiem, danych, które narzucają eksperymenty, z danymi dostępnymi nam od zawsze. Nie polega na przedzieraniu się przez zaslonę pozoru i docieraniu do rzeczywistości³⁰.

²⁹ Tamże, s. 125-126.

³⁰ R. Rorty, *Etyka bez zasad*, s. 38.

Amerykański badacz pisał ponadto o konieczności zastąpienia tradycyjnych różnic rodzaju różnicami stopnia złożoności – w tym celu należy między innymi zaprzestać używania metafor związanych z wertykalnym dystansem, zamieniając je na metafory nawiązujące do horyzontalnej rozciągłości. Tak rozumiany postęp Rorty obrazuje jako „zszywanie wielkiej, złożonej, wielobarwnej narzuty”³¹ przypominającej nieustannie rozrastające się prace patchworkowe. Kolejną cechą – szczególnie istotną w perspektywie akademickiej – różniącą podejście poznawcze metafizyka oraz ironistki jest ich odmienny sposób pojmowania terminu argumentacji, przede wszystkim zaś sposobu i celu stosowania argumentów w praktyce dyskusyjnej:

Metafizyk uważa, że ciąży na nas nadrzędny, intelektualny obowiązek przedstawiania argumentów na poparcie naszych kontrowersyjnych poglądów – argumentów, które wychodzić będą od stosunkowo niekontrowersyjnych przesłanek. Ironistka sądzi, że tego rodzaju argumenty – argumenty logiczne – są same w sobie bardzo dobre i użyteczne jako środki dydaktyczne, ale koniec końców nie są niczym więcej niż metodą skłaniania ludzi do zmiany ich praktyk w taki sposób, by nie musieli przyznawać, że to robią. Ulubiona forma argumentacji ironistki jest dialektyczna w tym sensie, że za jednostkę perswazji uważa ona słownik, a nie twierdzenie. Jej metodą jest raczej nowy opis aniżeli wnioskowanie³².

Rorty zarysował intrygującą i w pewnym stopniu kuszącą wizję uniwersytetu jako miejsca, gdzie młodzież otrzymuje solidne narzędzia do zdobywania nowej wiedzy oraz kwestionowania już posiadanej, gdzie wykładowcy nie odgrywają roli nieomylnych autorytetów, lecz *d o r a d c ó w* – wskazują możliwe drogi (alternatywy), poszerzają horyzonty swoich studentów, zadają im pytania, nie oczekując konkretnych, „właściwych” odpowiedzi; przeciwnie – wierzą, że młodzi adepci

³¹ Tamże, s. 40.

³² R. Rorty, *Przygodność...*, s. 128-129.

nauki zaakceptują, iż jednoznacznych odpowiedzi nie ma, że nie istnieje prawda absolutna czy uniwersalna. Tradycyjnie rozumiany kanon odchodzi więc do lamusa, dyskusje mają pozostać otwarte na nowość i inność, podejście do tematów rozmów powinno być ironicznie zdystansowane, a słowniki stosowane przez interlokutorów stale przez nich zmieniane w celu uniknięcia ograniczającej dominacji jednego z nich.

Owa mająca swe źródło w Sokratejskich praktykach idea wydaje się jednak niepozbawiona sprzeczności i niejasności, co zachęca do postawienia licznych pytań oraz poddania jej głębszej refleksji. Zastanawia przede wszystkim swoiste zakwestionowanie przez Rorty'ego możliwości realizacji kategorii ironiczności w praktyce publicznej – kategorii chyba najważniejszej i konstytutywnej dla całego pomysłu; autor przyznał:

Lecz nawet jeśli mam rację, sądząc, że kultura liberalna, której publiczna retoryka byłaby nominalistyczna i historycystyczna, jest zarówno możliwa, jak i pożądana, nie posunąłbym się do twierdzenia, że mogłaby bądź powinna istnieć kultura, której publiczna retoryka byłaby ironiczna. Nie potrafię wyobrazić sobie kultury, która uspołeczniałaby młodzież w taki sposób, by budzić w niej ciągle wątpliwości co do samego procesu uspołecznienia. Ironia wydaje się czymś z istoty swej prywatnym³³.

Natychmiast nasuwa się wątpliwość, czy można z taką łatwością oddzielić to, co prywatne od publicznego – czy granica pomiędzy tymi dwiema sferami jest na tyle wyraźna, że jej całkowite respektowanie w praktyce życiowej jest w ogóle wykonalne³⁴. Moment ten budzi poważne obiekcje, szczególnie,

³³ Tamże, s. 143.

³⁴ Szerzej temat ten podjął Andrzej Szahaj, notując m.in. trafną obserwację: „Wzajemne przenikanie się tego, co prywatne, i tego, co publiczne wydaje się (...) nieuchronnym elementem życia społecznego w każdym systemie politycznym, a więc i w demokracji liberalnej. Problem polega na tym, jak owo przenikanie uregulować”, A. Szahaj, *Ironia i miłość. Neopragmatyzm*

że dyskurs akademicki – z istoty swej publiczny – winien być, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, przesiąknięty Rortiańską ironią, podczas gdy tu próbuje się przypisać ironię jedynie przestrzeni intymnej³⁵. Niemniej jednak myśl ta porusza ważki problem częstotliwości i intensywności stosowania ironii. Trudno byłoby żyć w kulturze całkowicie przesiąkniętej ironią, podobnie jak nie sposób funkcjonować w sferze prywatnej, nieustannie przyjmując taką postawę; i odwrotnie – wydaje się, że w każdej z tych przestrzeni ironia musi, przynajmniej od czasu do czasu, zaistnieć. Zatem zastrzeżenia budzi raczej sposób wytyczenia przez Rorty'ego granicy stosowania ironii, natomiast konieczność pojawienia się pewnych ram czy zakresów takiego podejścia wydaje się bezdyskusyjna.

Kolejna zastanawiająca kwestia wiąże się z koncepcją liberalnej ironistki, zdecydowanej „ulubienicy” Rorty'ego – tę postawę uznawał wszak za najwłaściwszą poznawczo oraz najbardziej moralną; jednak w moim przekonaniu jest ona wewnętrznie sprzeczna i psychologicznie niemożliwa. Nieprawdopodobne wydaje się bowiem zestawienie w jednej osobie cech etyczności – w tekstach Rorty'ego definiowanej jako zdolność do zrozumienia i odczuwania cierpienia drugiej osoby – ze stałym powątpiewaniem w świat i w słowniki używane przez innych ludzi. Zgadzam się zatem z zastrzeżeniami, które wyraziła Beata Wilgosiewicz, retorycznie pytając:

Czy tu nie klóci się ze sobą zdolność liberalnej ironistki do utożsamiania się z innymi i równocześnie jej „meta-stabilna” pozycja, która nie pozwala do końca traktować poważnie zarówno siebie, jak i świata wokół? Czy można utożsamiać się z kimkolwiek, równocześnie odczuwając nieustanną wątpliwość wobec wszystkiego?³⁶

Richarda Rorty'ego w kontekście sporu o postmodernizm, Wrocław 1996, s. 108-109.

³⁵ Por. tamże, s. 108 i nast.

³⁶ B. Wilgosiewicz, *Richard Rorty a wizja naszej przyszłości*, „Toruński Przegląd Filozoficzny” 1999, t. 2, s. 50.

W wykreowanej przez Rorty'ego postaci liberalnej ironistki pojawia się więc pewna rysa, aporia, warta dalszego namysłu oraz dyskusji.

Podobnie Rortiański postulat zerwania z wizją nauki rozumianej jako zbiór tradycyjnych dyscyplin, afirmujący podejście do niej w sposób horyzontalny otwiera szerokie pole dla polemiki. Przyznać należy, że taka praktyka może przynieść bogatszy, bardziej złożony (bo wieloperspektywiczny) wgląd w aktualnie analizowane zagadnienia. Jednak w pewnych dziedzinach, przykładowo o charakterze technicznym czy medycznym, specjalizacje są wskazane, jeśli nie konieczne i priorytetowe wobec ujęć interdyscyplinarnych, a to głównie ze względu na możliwe poważne konsekwencje, jakie mogą pojawić się w przypadku zastosowania „gorszego” słownika. Nie ulega wątpliwości, że chociażby przedstawiciele zawodów zaufania publicznego, tj. lekarze, architekci, rzeczoznawcy majątkowi, tłumacze przysięgli etc. dla dobra ogółu powinni posługiwać się jak najlepiej zdefiniowanym, ukonkretnionym i wspólnym językiem, w obliczu wyzwania czy problemu dysponować jedyną poprawną odpowiedzią i tylko w wyjątkowych sytuacjach pozwalać sobie na „luksus wątpienia”. To wydaje się oczywiste. Rzecz ma się nieco inaczej w kontekście szeroko rozumianego kręgu nauk humanistycznych – w tym przypadku można się zgodzić, choć przy zachowaniu rozsądnych granic, że podejście polidyscyplinarne może być twórcze, pozwalając na odnajdywanie nowych, dotąd niezauważonych, a uzasadnionych sensów. Warto natomiast zastanowić się nad wynikającym z tej koncepcji kanonem lekturowym, a właściwie jego brakiem. Trudno bowiem wyobrazić sobie, że w obliczu niemal nieskończonej wielości indywidualnych kanonów – tworzonych przypadkowo, bez jakiegokolwiek logicznego, choćby nawet schematycznego, uporządkowania – możliwe jest przeprowadzenie merytorycznie wartościowej Dyskusji, z której skorzystałby każdy interlokutor. Różne lektury

przynoszą przecież odmienne słowniki, a – zgodnie z tym, co pisał Rorty – to wspólne słowniki łączą ludzi, umożliwiając satysfakcjonującą komunikację. W związku z tym, projekt stworzenia swoistego kanonu tekstów wspólnych – będący w swym duchu daleki Rortiańskiej wizji – wydaje się nieunikniony, konieczny dla zaistnienia konstruktywnej debaty; inaczej możemy mieć do czynienia ze splątaniem języków, brakiem wzajemnego rozumienia, z humanistyczną wieżą Babel.

Ostatni problem, który chciałabym zasygnalizować przy okazji rozważań nad wizją kształcenia uniwersyteckiego zaproponowaną przez amerykańskiego neopragmatystę związany jest z nasuwającym się pytaniem, czy osoba z wyższym wykształceniem będzie potrafiła odnaleźć się w kontaktach interpersonalnych, w tym komunikacyjnych, z resztą (większością) społeczeństwa, które zakończyło edukację na wcześniejszych etapach. Etapach, które – jak przyznawał Rorty – powinny opierać się na władzy autorytetu i, oprócz przekazywania podstawowych informacji o świecie, spełniać przede wszystkim funkcje socjalizacyjne, w tym akulturacyjne, tak, aby ich absolwent potrafił przyjąć postawę obywatelską, zapewniającą mu rolę pełnoprawnego członka społeczności ludzkiej³⁷. Cechy charakterystyczne szkolnictwa podstawowego i średniego stoją więc w jawnej sprzeczności z celami kształcenia wyższego – najważniejszą funkcją tego ostatniego jest wszak wyzwalanie: „(...) wyzwalam ludzi od [dominacji] ich rodziców, od środowiska i tradycji, w których wyrastali, poprzez wyzwalam ich wyobraźni – aby umożliwić im zwrócenie się ku jakościowo nowym praktykom społecznym, jakościowo nowym formom życia, nowym sposobom istnienia ludzkiego”³⁸. Czy zatem dwa tak odmienne sposoby rozumie-

³⁷ Zob. R. Rorty, *Edukacja...*, s. 96-97.

³⁸ Tamże, s. 96.

nia świata i traktowania wiedzy, tradycji, doświadczenia mogą ze sobą twórczo współistnieć? Trudno udzielić tu jednoznacznej odpowiedzi, być może nie ma jednak takiej potrzeby – Rorty podkreślał bowiem, że w trakcie całej praktyki edukacyjnej najważniejsze są dwie kategorie: *Wyobrażenia* oraz *Tolerancja* – ich połączenie winno zapewnić społeczeństwu zdrowe funkcjonowanie, nieustanny rozwój, i połączyć wszystkich ludzi, niezależnie od wykształcenia:

Spółeczeństwo takie [demokratyczne – M.C.] nie powinno być spajane przekonaniem, że jest w posiadaniu prawdy, a raczej przekonaniem, iż tolerancja wobec tych, którzy nie zgadzają się z obecnymi opiniami, jest najlepszym sposobem na to, aby zapewnić, by nasi potomkowie znali więcej prawd od nas samych³⁹.

Szukanie bądź ustalanie wspólnej, jednolitej perspektywy poznawczej byłoby ograniczające i hamujące twórcze współdziałanie.

Rortiańska koncepcja kształcenia uniwersyteckiego – oparta z jednej strony na wieloletniej badawczo-dydaktycznej praktyce autora w różnych ośrodkach akademickich, z drugiej zaś pamiętająca o starożytnych korzeniach filozoficznych – choć niewolna od pęknięć i miejsc niekoherentnych, zmusza do głębszej refleksji na temat kondycji współczesnego uniwersytetu. Sama w sobie stanowi propozycję ciekawą i, mimo że zaproponowaną już dwie dekady temu, wciąż świeżą i nowatorską. Wytrąca z poczucia pewności, zmusza do zadawania pytań i uczciwego spojrzenia na dzisiejszych studentów, wykładowców oraz cały system uniwersytecki. Zdziwiała aktualność tych rozpoznań, ich niemal proroczy charakter, także w kontekście polskiej sytuacji akademickiej, z którą dziś się zmagamy. Wskazane miejsca sprzeczne czy niejasne należałoby poddać szerszej dyskusji, mając na uwa-

³⁹ Tamże, s. 102.

dze sokratejskie przekonanie Rorty'ego, iż na wiele pytań nie ma jednej, poprawnej odpowiedzi, ale też pamiętając, że to właśnie podczas swobodnej, konstruktywnej rozmowy wytwarzają się najwartościowsze sensy. Chyba w tym właśnie tkwi największa siła Rortiańskiego projektu – w jego otwarciu zachęcającym do twórczej recepcji i oryginalnej implantacji w różnych kręgach kulturowych, możliwym także – o czym jestem przekonana – w polskim środowisku akademickim. Obserwując aktualną sytuację polskiej edukacji wyższej, można założyć, że to nie sami wykładowcy czy studenci stanowiliby największe wyzwanie dla tego sposobu myślenia, ale systemowo-gospodarcza polityka, po pierwsze komercjalizująca naukę, po wtóre zaś próbująca zmienić uniwersytet w sprawnie i finansowo efektywnie działającą korporację. W korporacji zaś nie ma miejsca na dialog, kwestionowanie, głębsze rozważania – jest schematyczne działanie. Ale jeśli to nie na uniwersytecie będziemy wątpić, dyskutować, zbijać argumenty i szukać kolejnych, zbliżać się do jakiejś prawdy, by potem ją negocjować, czyli po prostu – m y ś l e ć, to gdzie?

POWIDOKI

debata z udziałem zaproszonych Gości oraz uczestników sympozjum *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet*

MGR JOANNA WOLSKA: Serdecznie dziękuję Państwu Profesorom za bardzo interesujące i bogate wystąpienia, które – jestem pewna – wzbudzą intensywną dyskusję. I właśnie do rozmowy na ich temat oraz na temat kondycji dzisiejszej humanistyki na uniwersytecie gorąco zapraszam i zachęcam wszystkich uczestników oraz słuchaczy dzisiejszego sympozjum.

PROF. ALINA NOWICKA-JEŻOWA: W wypowiedziach Panów Profesorów pojawiła się kwestia stosunku do przeszłości, którą w jakiś sposób moje wystąpienie sprowokowało. Chciałabym zwrócić uwagę, że zwykle, kiedy stawiamy tę kwestię, bierzemy pod uwagę trzy modele: postfiguracywny, kofiguracywny i prefiguracywny. I chyba nieporozumienie polega na traktowaniu ich alternatywnie, próbach wyboru albo jednego, albo drugiego, albo trzeciego. Stąd rodzą się postawy i usposobienia konfrontacyjne oraz – co gorsza – próby wyodrębnienia „obozów”: retrospektywnego, prezentystycznego i skierowanego w przyszłość. Chcę twierdzić,

że humanistyka ma w sobie od zawsze mądrość pouczającą, jak łączyć i harmonizować te trzy projekcje temporalne, które bez siebie nie istnieją w sposób zdrowy i rokujący rozwój. Kiedy się zastanawiam, jak wyznaczyć horyzont, który by je harmonizował, to jako osoba, która żyje naukowo w przeszłości, przywołuję doświadczenie renesansu – epoki, która była zanurzona w starożytności, pochłonięta retrospekcją, lecz z drugiej strony (chyba nie trzeba dowodzić) umiejętnie, pragmatycznie, skutecznie i owocnie zagospodarowała i wyzyskała twórczo swój czas, a zarazem stworzyła wizję przyszłości. Doświadczenie renesansu, zastosowane do tego, co jest tu i teraz, i do tego, co będzie w przyszłości, polega na rozróżnieniu porządków sapiencjalnego i erudycyjnego. Rozróżnienie to, wpisane w definicje *paidei* i *humanitas*, stale dyskutowane i weryfikowane, było przedmiotem nieustannej refleksji od starożytności greckiej i rzymskiej do naszych czasów i może być zastosowane do tego, co jest tu i teraz. Co się tyczy erudycji, chciałabym zauważyć, że nie można ulec iluzji linearności czy prostej kumulacji osiągnięć naukowych. Rzeczywistość nie podąża po linii prostej; ma w sobie cechy ekstatyczności i tentatywności. Wobec tego obszar erudycji, czyli poszukiwań naukowych również powinien pulsować tentatywnością i ekstatycznością. Dlatego wszystkie nowe propozycje, nowe spojrzenia, nowe perspektywy, nowe przedmioty, nowe metody są jak najbardziej i w oczywisty sposób uprawnione i pożądane. Powtórzę: złudzenie linearności nie może się ostać w konfrontacji z rzeczywistością myśli ludzkiej. Jeżeli jednak chcemy zachować tożsamość uniwersytetu w jego długim trwaniu od średniowiecza do dziś, to musimy odpowiedzieć na pytanie, co jest miejscem wspólnym humanistyki. Myślę (choć może myśl tę nie dość wyartykułowałam w swoim odczycie), że zwornikiem jedności humanistyki jest jej element sapiencjalny, który pozwala

dostrzec ponadczasową tożsamość *res humanae*. W tej perspektywie zaznacza się wyraźnie plan aksjologiczny humanistyki, który został zarysowany we wszystkich referatach. Jedność humanistyki można odnaleźć w sferze wartości, są one bowiem konstytutywne dla świata ludzkiego. I właśnie hermeneutyka wartości (pojęta jako ponawiana nieustannie, choć na różny sposób próba ich dogłębnego zrozumienia) pozwala badać przeszłość bez uwikłania się w zideologizowane i zmitologizowane narracje historyczne, które mogą grozić ideologizacją, a zarazem bez utraty perspektyw współczesnej i przyszłościowej. Dziękuję bardzo.

PROF. RYSZARD NYCZ: Może słówko polemiczne wobec wystąpienia Marka Wilczyńskiego – to było bardzo ciekawe i stymulujące, ale generalnie biorąc chcę powiedzieć, że się nie zgadzam z tym zarzutem, powtórzonym za Irzykowskim, o plagiatowości przełomów (tu: nie literackich, lecz metodologicznych). Po pierwsze, chcę przypomnieć, że Irzykowski napisał, że żałuje tego oskarżenia. Jedyne, co odwołał w swoich teoriach krytycznych to właśnie to – przyznał, że popełnił błąd, mówiąc o plagiatowości. Choć rzecz oczywiście nas dotyczy – globalnie. Jest taka teoria zależności Immanuela Wallersteina, która jest odnoszona do całego świata i jest jej mutacja odnoszona do całości badań naukowych (*science*), społecznych i humanistycznych. Jesper Simonsen, Duńczyk, który ją zaaplikował (zawdzięczam ten trop Tomaszowi Zaryckiemu), sformułował teorię, wedle której właśnie w centrach – tych, które są centrami cywilizacyjnymi, kulturowymi i naukowymi – są fabryki teorii, natomiast na peryferiach testuje się je w ramach tzw. studiów przypadków. I koniec – nie może być inaczej (a w każdym razie: bardzo trudno to zmienić). Tym zależnościom (czy warto mówić w tych warunkach o plagiatowości?) podlegają matematycy i fizycy, chemicy

i biologowie, ekonomiści i socjologowie... To jest też nasz problem oczywiście. Jest kwestią, czy musimy się z tym po prostu godzić, czy też możemy próbować jednak coś – podrapawszy się w głowę – wykombinować; jakieś teorie, a jeśli nie teorie, to może chociaż robocze konceptualizacje. Po drugie, nie uważam, żeby zajmowanie się afektami – by przywołać przykład nowej orientacji u nas „na czasie” – czy innymi „modnymi” kategoriami, nie prowadziło do oryginalnych ujęć czy oglądów przedmiotów: nowe pojęcia operacyjne, to nowe słowniki (analityczne), które pozwalają zadawać inne pytania i – bywa – uzyskiwać inne odpowiedzi. I jeszcze jedna uwaga. Nie jest tak, że u Amerykanów się wszystko zaczęło – to, co robili Amerykanie, było najczęściej produkcją kryptofrancuską albo jawnie francuską. Bez reinterpretacji Deleuze’a nie byłoby teorii afektów, byłaby tylko teoria emocji, taka socjopsychologiczna (Tomkinsa czy Reddy’ego – co nie znaczy, że jest ona nieciekawa – *vide* np. książki Ahmed, Kosofsky-Segdwick czy Leys), bo ona dominowała w Stanach. To jest geneza tej inspiracji dla literaturoznawstwa, dzięki której, dla przykładu, Elizabeth Grosz wydała swoją książkę, a Brian Massumi wypracował swoją koncepcję; bez Deleuze’a nie byłoby tej teorii. Oczywiście, każdą teorię można stosować reproduktywnie albo kreatywnie. Rozumiem, że Marek Wilczyński specjalnie to tak prowokacyjnie sformułował, bo przecież – za sprawą tych nowych słowników – ukazują się całe nowe archipelagi do zbadania, które mogą być przecież także rozpatrywane od strony specyfiki naszej dyscypliny.

I wreszcie – książki, które wydajemy po angielsku za pieniądze państwowe... Nie ma chyba lepszego sposobu, i nie wiem, czy warto zniechęcać Ministerstwo do tego, żeby dawało te parę groszy na to, by wyszła, przykładowo, książka Marii Janion. Że się pochwałę paroma kwiatkami ze swojego ogródka: w serii Cross-Roads. Polish Studies in

Culture, Literary Theory, and History wydawnictwa Peter Lang wydaliśmy m.in. właśnie pracę tej badaczki¹, a także Małgorzaty Budzowskiej o emocjach Fedry² – książkę nagrodzoną przez polskich filologów klasycznych i ocenianą jako nowatorska i świetna; wydaliśmy też tekst Andrzeja Zawadzkiego o słabej myśli i Vattimo³ – wydaje mi się, że nie ma, przynajmniej w Europie, tak dogłębnego opracowania tego zagadnienia, jakie zrobił ten badacz. Opublikowaliśmy antologię dotyczącą Czesława Miłosza⁴, Wisławy Szymborskiej⁵ oraz przegląd naszej teorii od koncepcji Janusza Sławińskiego począwszy⁶. Tam nie ma streszczenia – czy reprodukcji wyników – przykładowo, teorii postkolonialnej, a ona sama jeśli się pojawia, to w lokalnym wariacie, obok tzw. postzależności, której rozumienie próbuje się tu, w kraju, wypracować. A książka Janka Sowy⁷ z tego zakresu jest świetna – mogę to powiedzieć tym szczerzej, że sam ją umieściłem w serii Horyzonty Nowoczesności wydawnictwa Universitas. Generalnie biorąc: tego rodzaju książki stawiają pytania o koszty i zyski swego transdyscyplinarnego charakteru (a jedne i drugie są niemałe). Moim zdaniem, nad kosztami (groźba niekompetencji czy powierzchowności ujęcia z punktu widzenia szcze-

¹ M. Janion, *Hero, Conspiracy, and Death: The Jewish Lectures*, trans. by A. Shannon, Peter Lang, 2014.

² M. Budzowska, *Phaedra – Ethics of Emotions in the Tragedies of Euripides, Seneca and Racine*, trans. by A. Grzelak-Krzymianowska, Peter Lang, 2012.

³ A. Zawadzki, *Literature and Weak Thought*, Peter Lang, 2013.

⁴ „*Milosz Like the World*». *Poet in the Eyes of Polish Literary Critics*, ed. by Z. Łapiński, Peter Lang, 2015.

⁵ *Wisława Szymborska's poetry. Choice of essays*, ed. by A. Nasilowska, trans. by K. Krasuska and J. Burszta, Peter Lang, 2015.

⁶ *From Modern Theory to a Poetics of Experience. Polish Studies in Literary History and Theory*, ed. by G. Grochowski, R. Nycz, Peter Lang, 2014.

⁷ J. Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Kraków 2011.

gółowych dyscyplin) zyski wyraźnie przeważają (holistyczne, wieloperspektywiczne widzenie problemu, nowy obraz badanego przedmiotu etc.) – o czym świadczy „bestsellery” status tej książki (czy np. podobnie zakrojonej książki Andrzeja Ledera⁸) w naszej humanistyce. Ale i tak potrzeba finansowego wsparcia, żeby mogło to w ogóle zaistnieć. Dziękuję.

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Jeśli można, *ad vocem*. Oczywiście świadomie przerysowałem to, co powiedziałem i chcę dodać, że nie ma nic złego w zajmowaniu się teorią afektu, wręcz przeciwnie. Dodam, tytułem przypisu do Deleuze’a i teorii afektów, że amerykańska badaczka tego tematu – Eve Kosofsky-Sedgwick, której ani jedna książka nie została przetłumaczona na język polski...

PROF. RYSZARD NYCZ: Fragment przetłumaczyliśmy.

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Tak, kawałek przełożyliście i bardzo dobrze, ale widoki na tłumaczenie książek Kosofsky-Sedgwick są marne, ponieważ Ministerstwo przestało finansować przekłady książek obcojęzycznych. Wiem, jak wyglądają kłopoty wydawnictw, a najlepiej wiem, jak wyglądają kłopoty wydawnictwa słowo/obraz terytoria, które... módlmy się. W każdym razie Sedgwick w ogóle Deleuze’a nie wspomina, a w Stanach Zjednoczonych jest to autorka, jeśli chodzi o popularyzację teorii afektów, dużo bardziej znacząca niż Brian Massumi, który podszedł do tego z zupełnie innych perspektyw. Ale to oczywiście jest drobna kwestia i naturalnie bez Francuzów humanistyki amerykańskiej by nie było. Potwierdza to choćby moje

⁸ A. Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Warszawa 2014.

prywatne doświadczenie. Kiedy znalazłem się w Stanach Zjednoczonych po raz pierwszy na dłużej, w roku 1986, i poszedłem do księgarni, to tam nie było kilku podstawowych pozycji z amerykanistyki, z mojej ówczesnej dziedziny, czyli najnowszej literatury amerykańskiej, natomiast był cały Roland Barthes po angielsku – cały, wszystko! Stałem i po prostu nie mogłem uwierzyć. To raz, a dwa – tak się składa osobliwie, że ja też mam serię u Langa [Transatlantic Studies in British and North American Culture – przyp. red.] i zdaję sobie sprawę z tego, że zasięg serii tego wydawnictwa jest dość ograniczony.

PROF. RYSZARD NYCZ: Absolutnie się zgadzam.

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Dobrze, że książki się ukazują, ale, moim zdaniem, byłoby lepiej, gdyby ukazywały się one w wydawnictwach innych niż Lang. Lang to jest takie trochę wydawnictwo usługowe. Dobrze, że te książki są, bo Lang ma niezłą dystrybucję – sam też wydałem własną książkę⁹ właśnie tam i byłem bardzo dumny, kiedy znalazła się ona w kilku ważnych bibliotekach amerykańskich, i nawet ją wypożyczają...

Czego jednak się obawiam – mówiąc całkiem szczerze – to tego, że osoba tak znacząca w humanistyce polskiej, tak zasłużona, tak wpływowa, tak ceniona jak Pan Profesor Ryszard Nycz, kiedy ogłosi, że teraz mamy zwrot afektywny, to doktoranci powiedzą: „aha! to my powinniśmy teraz orientować się według zwrotu afektywnego”, bo to jest to, co po angielsku określa się jako *cutting edge* [coś nowatorskiego, innowacyjnego, odkrywczego, najnowsza technika – przyp. red.], czyli teraz właśnie na tym należy się znać.

⁹ M. Wilczyński, *The Phantom and the Abyss. The Gothic Fiction in America and Aesthetics of the Sublime 1798-1856*, Peter Lang, 1999.

I tego się boję – tej instytucjonalnej mocy... [głos sprzeciwu prof. dra hab. Ryszarda Nycza i pytanie, co w takim razie zaproponować w zamian – przyp. red.]. Właśnie nie wiem, nie wiem, co byłoby lepsze, ale tego się boję. Myślę, że zgodzisz się ze mną, że to jest jednak w jakimś stopniu fakt.

PROF. RYSZARD NYCZ: Ale przynajmniej trochę wietrzy się w głowach. Zaproponuje się alternatywne punkty widzenia...

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Dobrze, ale jak z kolei usłyszałem: „a co my się będziemy tymi XIX-wiecznymi ramotami zajmowali”, to trochę zrobiło mi się zimno. Jako historyk literatury XIX wieku, pomyślałem...

PROF. RYSZARD NYCZ: Ale jednak proporcje są takie, że 90% humanistów zajmuje się przeszłością albo nawet 95%...

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Janek Sowa też. Ale jak on się tą przeszłością zajął pięknie, prawda?

PROF. RYSZARD NYCZ: Tak. I generalnie rozumiem problem.

PROF. DR HAB. MAREK WILCZYŃSKI: Myślę, że w Polsce po prostu jest ciasno. Polska humanistyka jest mała, objętość polskiej humanistyki jest nieduża, ale ona sama się rozgąłęzia: tu jest taki zwrot, a tu jest owaki. Sam się zresztą przyczyniłem, powiem nieskromnie, do jednego zwrotu w humanistyce polskiej – razem z Profesor Ewą Domańską, a właściwie dzięki niej, do zwrotu narratystycznego. Ale okazuje się, że zwrot narratystyczny już dawno jest *passé*. I to mnie przeraża – to, że wszystko szybko staje się *passé*...

PROF. ELŻBIETA NOWICKA: Przekonanie, że większość humanistów zajmuje się przeszłością wydaje mi się złudzeniem, a przynajmniej wskazuje na to obserwacja zainteresowań i pomysłów na doktorat kandydatów na studia doktoranckie. Otóż nie jest tak, że 90% spośród nich chce się zajmować tematami historycznymi, a bardzo niewielu współczesnością, i w sposób jednoznaczny – przynajmniej na naszym wydziale – poświadczają to rozmowy kwalifikacyjne na studia doktoranckie. Myślę, że proporcja układa się raczej jak 30% do 70%, na rzecz „współczesnych”, i dotyczy to nie tylko literatury, ale także teatru i filmu; tendencję wzrostową na rzecz „historycznych” widzę natomiast wśród językoznawców, przynajmniej w naszym, poznańskim środowisku. Chciałam poruszyć jeszcze jedną kwestię, sformułować pytanie, kierując je może szczególnie do Pana Profesora Piotra Nowaka. W tej bardzo ciekawej dyskusji, której z najwyższą uwagą i upodobaniem się przysłuchiwałam, wielu wątków dotąd nie było, z naturalnej przyczyny ograniczeń czasu, chcę jednak upomnieć się o jeden jeszcze styl myślenia o humanistyce, taki, który przyznaje jej terapeutyczny i kompensacyjny wymiar. Mam nadzieję, że takie spojrzenie na humanistykę nie jest (jeszcze?) *passé*, że nie gubimy go w ferworze starań o granty i wyniki parametryzacyjne? Celowo będę teraz używała określeń trochę z innego porządku niż oficjalny język naukowy – chodzi mi o tę błogość opowiadania już opowiedzianego, tę kompensacyjną przeciwwagę dla rozmaitych braków, urazów, niedogodności, dla zetknięcia ze światem, który „wie jak jest”, ze światem rynku, wynalazku, urządzenia; tę błogość, jaką daje zanurzenie się w historii znane, opowiadane jeszcze raz, opowiadane inaczej – z konieczności opowiadane inaczej. Myślę, że i tutaj mieści się problem tego, co tradycyjne i tego, co innowacyjne w humanistyce,

w stylach, modusach opowiadania po raz kolejny rzeczy podstawowych, już kiedyś opowiedzianych.

PROF. PIOTR NOWAK: Nie uchylam się od tego pytania. Ale zanim na nie odpowiem, chciałbym po kolei odnieść się do wypowiedzi, które zwróciły moją szczególną uwagę. Pierwsza rzecz, która mnie zastanawia, to sprzeczność między dożywotnimi etatami a perspektywami zatrudnienia młodych ludzi, młodych naukowców. Rzecz w tym, że stabilność zatrudnienia dotyczy właściwie wyłącznie profesorów mianowanych. I proszę mi nie mówić, że do zwolnienia bezproduktywnego albo słabego dydaktycznie profesora wystarczy dwukrotna negatywna ewaluacja, ponieważ ten system jest tak skonstruowany, że negatywnej ewaluacji profesorowie tytularni nigdy dwukrotnie nie otrzymują. Dbają o to ich koledzy zasiadający w senackich komisjach do spraw jakości kształcenia i tym podobnych. A zatem istnieje na uniwersytetach kasta kapłanów, która w zasadzie jest nietykalna. I jeżeli w ogóle sympatyzuję z jakimiś intencjami Ministerstwa – chociaż są to na ogół intencje i słowa czysto deklaratywne – to wtedy, gdy chce ono rozbić ten mocno patriarchalny układ. Działania urzędników są jednak pod tym względem iluzoryczne i powierzchowne, nie pozostawiają żadnej nadziei na lepszą przyszłość. Dyrektorzy dalej planują kolejne zwolnienia, uprawiają politykę strachu wobec tych, którzy nie mogą się skutecznie bronić, bo na przykład są zatrudnieni na umowach krótkoterminowych albo o dzieło. Mówię o chorobie, którą dotknięte są zwłaszcza małe, prowincjonalne uniwersytety. To pierwsza sprawa.

Sprawa druga: czy doktoranci powinni pracować bezpłatnie? Mogę powiedzieć, że w swoim wystąpieniu podawałem pewne rzeczy na wyrost, ubierając je w formę karykatury. Jest dla mnie jasne, że roszczeniowość młodych ludzi na-

leży mitygować, ale też zdaje sobie sprawę, że oni często nie mają z czego żyć; że mają swoje marzenia, że chcą poprawić jakość swego życia tak, by móc chociaż trochę stanąć na nogi. Jeżeli jednak dobrze zrozumiałem słowa Pana Rektora, który mówił, że u Państwa na uniwersytecie stypendiami objęte jest 75% doktorantów, to pozostaje tylko pozazdrościć. Na innych uniwersytetach ten odsetek jest dużo mniejszy. Kiedy robiliśmy z kolegami „Kronos”, dzisiaj najważniejsze pismo filozoficzne w Polsce, przez całe lata pracowaliśmy bezpłatnie; często dokładaliśmy do tego prywatne pieniądze, bo traktowaliśmy to jako inwestycję. Więc oczywiście namawiam Państwa doktorantów do tego, żebyście przede wszystkim inwestowali w siebie, natomiast namawiam też nas wszystkich, pracowników akademickich, abyśmy nie wykorzystywali doktorantów jako taniej siły roboczej, która „odwala” za nas dydaktykę, ponieważ my zostaliśmy stworzeni do spraw wyższych. Nie – dydaktyka, dobra dydaktyka, dydaktyka na najwyższym poziomie – to jest to, czym stoi Uniwersytet.

I teraz kolejna sprawa. Nie zrozumiałem dokładnie intencji Profesora Nycza. Co dokładnie miał Pan na myśli, odwołując się do łacińskiej kategorii *colere*? [zob. s. 33 i nast. w tym tomie]. Czy chodziło Panu o to, że kultura ma pomagać ujawniać rzeczywistość, ale tylko taką, która dopiero ma nadejść? Albo objaśniać to, co dzieje się *hic et nunc*? Na szczęście Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, którym Pan zarządza, dofinansował kapitalną serię, którą, jako Fundacja Augusta hr. Cieszkowskiego, właśnie wydajemy. Mówię tu o Klasykach Polskiej Nowoczesności. U nas ten wektor zwrócony jest w przeciwną stronę. Właśnie w ramach tej serii próbujemy wydobyć na wierzch, na świeże powietrze to, co przeszłe, co zapomniane – tak pojmuję pracę kultury, a nie czepianie się nowości. Teraźniejszość, proszę pana, poradzi sobie sama. Gorzej z przeszło-

ścią, o którą nie ma komu się upomnieć, którą rozmaici nowinkarze chcieliby zepchnąć w piekło zapomnienia. Kiedy więc zacząłem interesować się Lucjanem Siemieńskim, zrozumiałem, że w zasadzie to był człowiek, który w latach 60. XIX wieku miał pozycję Miłosza. Dziś jednak nikt o nim nie pamięta. To raptem 150 lat. Co dzieje się z naszymi głowami, z naszą pamięcią?

PROF. RYSZARD NYCZ: Nie przesadzajmy – Miłozem nie był.

PROF. PIOTR NOWAK: Ale jak pisał! Jakim stylem dysponował! Zresztą zamierzam przypomnieć fragmenty jego dorobku w zbiorze esejów, jaki przygotowuję w naszej serii. Po co to robię? *To please a shadow* – chcę zrobić przyjemność jego cieniowi, to moje „dziady”. W Klasykach Polskiej Nowoczesności oddajemy cześć tym, którzy pomagają nam mówić po polsku. Nie wolno ulegać terrorowi teraźniejszości albo czapkować temu, co dopiero ma nadejść. Trzeba wychylać się ku przeszłości – to jest to, co mnie interesuje, co powinno nas, humanistów, interesować. Interesować dużo bardziej od tego, co może nadejść. Przyszłość ma nawiązywać do teraźniejszości przez przeszłość – w tym jednym zdaniu streszcza się misja Uniwersytetu.

Nowości, nowinki, innowacyjność, nowe paradygmaty. To wszystko prawda. Rzeczywiście pojawiają się nowe dyscypliny, nie zmieniają się tylko metody polityki dominacji. Podam przykład. Na moim uniwersytecie paru kolegów, którzy mieli wsparcie dyrektora Instytutu i władz uczelni postanowiło zastąpić filozofię kognitywistyką. Wówczas grzecznie zapytałem, kto ma tego uczyć, skoro u nas na całym wydziale kognitywistyką zajmowała się bodaj jedna osoba. To, co usłyszałem od mojego kolegi kognitywisty (kognitywista to, moim zdaniem, taki psycholog poznawczy, tylko że „bez papierów”, „na gębę”) zapamiętałem bar-

dzo dobrze, zapamiętałem sobie na całe życie. Powiedział on: „Masz dwa lata na opanowanie materiału”. Proszę państwa, on właśnie tyle powiedział: mam dwa lata na przygotowanie się do zawodu. Rozmowa z nim nieodparcie nasuwała mi obrazy z lat 50. ubiegłego wieku – ten sam język, takie samo ultimatum: albo będziesz wykładał filozofię marksistowsko-leninowską, albo odejdziesz z Uniwersytetu. Chciałbym, żebyśmy tę analogię wyraźnie uchwycili.

Więc jeszcze raz – wypowiadam się nie przeciwko nowym, nowo rodzącym się dyscyplinom naukowym, ale przeciwko polityce dominacji, przeciwko wykorzystywaniu funkcji i urzędów do załatwiania niemerytorycznych porachunków. Absolutnie jest mi bliskie to, co powiedział Profesor Nycz o myśleniu, które ma się rozwijać poza uniwersytetem [zob. s. 35 w tym tomie]. *Hodowanie troglodytów* – książka, którą publikowałem w zeszłym roku, jest częściowo poświęcona temu zagadnieniu. Wydawnictwo Fundacji Augusta hr. Cieszkowskiego (tak się składa, że jestem jednym z członków rady tej Fundacji), które wchodzi na miejsce takich wydawnictw, jak słowo/obraz terytoria, które wydaje bardzo ambitne książki, często bez żadnego dofinansowania, jest właśnie strukturą pozauniwersytecką. Ale czy można się z tego utrzymać? Nie, nie można. Właściwie każdy z nas ma etat na Uniwersytecie.

Nie wiem natomiast, jak mam się odnieść do dokuczliwego wystąpienia Profesora Wilczyńskiego – wydaje mi się ono miejscami słuszne, a miejscami bardzo, bardzo irytujące...

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Cieszę się.

PROF. PIOTR NOWAK: No więc nie bardzo jest z czego. Pytanie pierwsze: czy państwo ma nas wyciągać z kłopotów? Skoro nas w nie wpakowało, to raczej tak. Jeżeli Ministerstwo nie chce nas z nich wyciągać, to niech się rozwiąże. Postuluję

– postuluje to *explicite* w swojej książce – likwidację Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Ja nie rozumiem, nie znam powodu, dla którego ma ono być utrzymywane z naszych pieniędzy. Uniwersytety i ośrodki badawcze są przecież instytucjami autonomicznymi. Jeżeli są to instytucje rzeczywiście autonomiczne, w ramach których powołuje się następnie rozmaite zespoły administracyjne i badawcze, działające na mocy ustaw i rozporządzeń, to po co nam jeszcze do szczęścia Ministerstwo? Gdy ono wreszcie zniknie, pretensje będziemy mogli mieć już tylko do samych siebie.

Nie, nie odebrałem Pańskich wspomnień ze Stanów Zjednoczonych jako wychwalanie własnego ogona; uważam to za coś normalnego. Przypomniał Pan przebieg swojej pracy zawodowej, nie widzę w tym nic dziwnego, wszystko to są świetne rzeczy. Ale wobec tego również Pan niech mi pozwoli na parę słów komentarza pod adresem moich amerykańskich doświadczeń. W ubiegłym roku wydałem w Stanach książkę bez jakiegokolwiek dofinansowania. Przy okazji odbyłem prawdziwą gehennę recenzji wewnętrznych. W efekcie tekst uzyskał akceptację *blind reviewers*, książka wyszła drukiem w wydawnictwie Brill-Rodopi¹⁰. Idźmy dalej – nasza Fundacja wydaje anglojęzyczny rocznik „Kronosa”. Ostatni numer, jaki wydaliśmy, także ukazał się bez dofinansowania. Przedstawiamy w nim czytelnikowi anglojęzycznemu nieznanne wykłady Leo Straussa poświęcone filozofii politycznej Arystotelesa. Poprosiłem szefa Leo Strauss Center, Nathana Tarcova o ich udostępnienie i otrzymałem je od niego. Powtarzam to jest ich pierwsza publikacja w języku angielskim na świecie, więc chyba nieźle. Zamówiliśmy do tego numeru tekst Thomasa Pangle’a, ucznia

¹⁰ P. Nowak, *The Ancients and Shakespeare on Time. Some Remarks on the War of Generations*, Brill-Rodpi, 2014.

Straussa. Napisał rewelacyjny artykuł o Ksenofoncie. W Stanach to uczony z pierwszej ligi. Znów nieźle. Inny przykład: nie ma ani jednego zdania zapisanego w *lingua franca* pióra włoskiego apokaliptyka Sergia Quinzio. W „Kronosie” przełożyliśmy jego niepokojące teksty z włoskiego na angielski po to, aby również czytelnik anglojęzyczny mógł dowiedzieć się o nim czegoś interesującego. Wydaliśmy to wszystko, podkreślam, bez żadnego dofinansowania. Jeśli nie warto wspierać takich inicjatyw, dzięki którym Amerykanie uczą się o sobie od Polaków, to w takim razie zapytam, jakie wspierać warto?

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Szczerze gratuluję, że przeszedł Pan przez system recenzyjny w Stanach, bo to faktycznie nie jest łatwe.

PROF. PIOTR NOWAK: Dziękuję. Czy więc jestem przeciwko takim wydawnictwom jak Peter Lang, które jest ewidentnie ustawione pod realizację zamówień? I tak, i nie. Jestem za tym oczywiście, żeby takie wydawnictwa istniały. Jeżeli jednak publikuje się w nich po angielsku książki autorów polskich za nasze wspólne pieniądze, to już mam z tym problem. Żeby jeszcze Peter Lang miał jakakolwiek dystrybucję, żeby umiał trafić z nimi do anglojęzycznego czytelnika, to może bym to jakoś przełknął. Tymczasem książki tego wydawnictwa są nieobecne, niezauważalne; widzę je tylko na półkach moich znajomych, którym udało się opublikować w tym wydawnictwie coś swojego.

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Książki wydawane u Petera Langa dystrybucję mają niezłą, tylko są bardzo drogie.

PROF. PIOTR NOWAK: Może. I teraz to, co Pan powiedział o Malinowskim, Znanięckim, Ingardenie, Kołakowskim, Baumanie – że to są w zasadzie jedyni polscy naukowcy znani

za granicą... – pytał Pan, kogo „ważnego” pominął. Pominął Pan bardzo wielu, ale znów – co to znaczy „ważny”, przez ile lat ma być ważny, jak długo cytowany? Kołakowski ze swoimi wspaniałymi studiami na temat religii w bezwyznaniowej XVII-wiecznej Holandii był fantastycznym historykiem religii i posunął tę dyscyplinę wiedzy o centymetr czy o trzy i na tym koniec (świadomie abstrahuję od tego, jak tę książkę czytano w Polsce w latach 60.). Chodzi o to, by umieć przebić się ze swoimi publikacjami i być cytowanym przynajmniej przez pięć lat. To całkiem sporo; jeżeli książka będzie dyskutowana przez dziesięć lat, oznacza to, że ma szansę przedostać się do szerszego obiegu kultury polskiej, a może nawet – światowej. Wszakże problem polega jeszcze na czym innym. Jest nim, przynajmniej tak mi się wydaje, kryzys alfabetyzacji, to znaczy pisanie rzeczy nieaktualnych już w momencie ich powstawania – to jest kłopot i z tym, jak sądzę, należy na różne sposoby walczyć. Wprawdzie przyznałem, że pańskie wystąpienie było dokuczliwe, jednak w wielu miejscach umiem się z Panem zgodzić. Na przykład z tym, że Europejczycy jest trudno przebić się w Stanach. Amerykanie, przy całej ich geograficznej wielkości i kulturalnej otwartości, są niesamowicie prowincjonalni. Wiem, że mówię teraz rzeczy, które komuś mogą się wydać nieprawdziwe, ale rzeczywiście Amerykanie zainteresowani są tylko sobą. A to, że czasem importują jakieś europejskie nowinki, jakiś francuski postmodernizm... To wszystko prawda, ale mnie się wydaje, że żadna z tych rzeczy na nich nie wpływa albo wpływa jakoś „nie tak”. Podam przykład: filozofię Nietzschego, także heideggerowską filozofię Dasein Amerykanie przerobili albo na pragmatyzm (jak Arthur Danto), albo na teorię literatury (jak Alexander Nehamas). Albo przyswajali ją sobie – o czym wspominał profesor Wilczyński – przez francuski postmodernizm (John Sallis). Zawsze potrzebowali jakiegoś punk-

tu odniesienia, jakiejś znanej im skali. U Amerykanów ginie gdzieś cała swoistość filozofii Heideggera.

Zanim przejdę do pytania Pani Profesor Elżbiety Nowickiej, jeszcze jedna rzecz. Chcę wyjaśnić, że model humanistyki, za którym się opowiadam, poniósł fiasko. Przez dwa lata próbowałem przekonać profesora Jerzego Axera, aby uruchomił u siebie na wydziale program The Great Books – na podobieństwo tego, co i jak się wykłada w różnych kolegiach sztuk wyzwolonych na całym świecie. Niestety, właściwie cała humanistyka teraz skręca w sugerowanym przez Pana – mówię do Profesora Nycza – kierunku, mianowicie w stronę studiów nawet nie tyle interdyscyplinarnych, co międzyobszarowych. Tylko jest jeden problem – to nie działa. Zwykle zajęcia w ramach programu studiów międzyobszarowych prowadzi jedna osoba. Tymczasem do przeprowadzenia takich zajęć potrzebne są co najmniej dwie osoby lub jeszcze lepiej zespół, który przygotowuje się do nich zawczasu, a nade wszystko uczyni to w sposób przemyślany, na przykład w ramach wspólnych spotkań nad sylabusem. Dajmy na to *Doktora Faustusa* Manna może objaśniać muzykolog (czy jest technika atonalna), religioznawca, judaista (filozofia mitu Oscara Goldberga) oraz pisarz („Jak powstał Doktor Faustus“?). W przeciwnym razie, gdy podejmie się tego tylko jedna osoba, studentów czeka szczegółarstwo i nudy albo pseudowiedza na poziomie internetowej wyszukiwarki i broszur popularnonaukowych. To znów, gdy humanista, który kroi żaby, bo ma takie hobby i przyjdzie opowiadać o tym studentom biologii, przekonując ich, że to krojenie ma jeszcze jakiś humanistyczny wymiar, narazi się na śmieszność. Powtarzam więc: talenty renesansowe przy narastającej specjalizacji, to bajka, iluzja. Nikt z nas w pojedynkę nie poprowadzi zajęć na studiach międzyobszarowych. Potrzebne są do tego przynajmniej dwie, trzy osoby z obszarów wiedzy im wła-

ściwych, zgodnych z ich kompetencjami. Ale to rodzi ogromne problemy organizacyjne: pensum, wynagrodzenia, podział godzin itd. Mimo to humanistyka w klasycznym tego słowa rozumieniu przegrywa z ideą pseudorenesansowości – to pozgonny triumf postmodernistycznej rozmaitości (skubną to tu, to tam, i będę nadal wiedzieć tyle, co na początku). Ani kadra, ani studenci nie są przygotowani do studiów międzyobszarowych. Specjalizacja spustoszyła pod tym względem nasze głowy.

Na koniec terapeutyczny wymiar humanistyki... Błogość opowiadania, opowiadania opowiadanego – to przecież nic innego jak transmisja wartości, kultywacja tradycji. Taki sposób myślenia o humanistyce jest mi bardzo bliski.

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Chciałem sprostować tylko jedną kwestię, która pojawiła się w wypowiedzi Pana Profesora Nowaka. Otóż ja skonstatowałem, że istnieją oczekiwania naszych uniwersytetów i placówek naukowych wobec państwa i wcale nie uznaję, że jest w tym coś złego. W tej chwili w Polsce nie ma innego sponsora nauki niż państwo, w związku z czym jest jak jest i nie możemy się spodziewać zniesienia Ministerstwa...

PROF. PIOTR NOWAK: Dlatego trzeba przeć, trzeba wywierać nacisk...

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Proszę mi więc podać przykład skutecznie wywartego nacisku.

PROF. PIOTR NOWAK: Nie ma tego dużo, musiałbym się zastanowić... Myślę, że jesteśmy w momencie, powiedziałbym, tranzytywnym. Mamy rok wyborczy, a sprawy uniwersytetu są sprawami politycznymi. Uniwersytet nie jest wolny od polityki, więc jest to ostatnia szansa, żebyśmy mogli

wywrzeć nacisk. Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej, z którym sympatyzuję, poparło osiemdziesiąt wydziałów uniwersyteckich z całej Polski – to nie jest mało. Ministerstwo jednak całkowicie zlekceważyło diagnozy ekspertów wywodzących się z jego kręgu. To bardzo źle wróży, ponieważ w tym komitecie nie udzielają się tylko młodzi doktoranci. Ekspertyzy piszą uznani, także za granicą, profesorowie proponujący realną korektę systemu. Ale ta władza jest tak bardzo arogancka, że ich prac w ogóle nie bierze się pod uwagę. Myślę tu na przykład o pracach profesora Cieślińskiego nad algorytmem podziału dotacji podstawowej dla szkół wyższych. Rezultaty badawcze, do jakich doszedł profesor Cieśliński, bardzo trudno podważyć, lecz zawsze można je po prostu zignorować, prawda? I właśnie tak robi Ministerstwo.

MGR JOANNA WOLSKA: Zapraszam do dalszej rozmowy... Jeśli szanowni Goście chwilowo nie chcą już zabierać głosu, oddaję go doktorantom.

MGR MAŁGORZATA CIELICZKO: To trudny moment, by zabrać głos, ale jako doktorantka chciałam przede wszystkim podziękować za fascynujące wystąpienia oraz za gęstą dyskusję – wszystkie głosy były bardzo inspirujące, pod wieloma względami. Myśli, które nasunęły mi się podczas wsłuchiwania się w tę debatę, postaram się teraz jakoś uporządkować i wypowiedzieć. Pani Profesor Legeżyńska zaczęła od tego, że humanistyka to: dziedzina, dydaktyka, typ refleksji nad człowiekiem, Pani Profesor Elżbieta Nowicka uzupełniła, że to również terapia, a ja bym dodała, że humanistyka to także czas. Czas, bo jeśli zgodzimy się, że humanista jest sumą tego, co przeczyta, przemyśli i przedyskutuje, to nade wszystko potrzebuje właśnie cza-

su. O tym wspominał przed kilkoma godzinami Pan Rektor, opowiadając się, jako naukowiec, za niegdysiejszą, trwającą osiem lat asystenturą. Dziś istnieją jednak studia doktoranckie, na które przewidziano tylko cztery lata. Za ledwie cztery lata na przeczytanie, przemyślenie i przedyskutowanie. To bardzo mało. I o ile zgadzam się w pełni, że kultura, humanistyka to dialog z przeszłością, dialog, który prowadzi do wytworzenia czegoś świeżego, przyjmując w pewnym stopniu charakter innowacyjny, o tyle mam poczucie, że chcąc wymyślić coś nowego, trzeba się najpierw uczciwie zmierzyć z tym, co już było. Na kilku ogólnopolskich konferencjach doktoranckich – zarówno interdyscyplinarnych czy nawet transdyscyplinarnych, ale niestety także na tych *stricte* filologicznych – wielokrotnie spotykałam się z sytuacją braku wzajemnego rozumienia (pytań, odpowiedzi, a nawet samych odczytów), które wynikało nie ze słabości intelektualnej uczestników, moich koleżanek i kolegów, ale jak sądzę – z braku „wspólnej” wiedzy. Chodzi mi o to, że aktualnie doktoranci nauk humanistycznych zatracają bazową, łączącą ich dyskursy i sposoby myślenia wiedzę. W pewnych referatach dostrzec też można było pewne braki, czy może lepiej – luki, czasem wręcz zaskakujące. I proszę mnie źle nie zrozumieć – nie zamierzam tu krytykować doktorantów, wytykając ich nieoczytanie czy programy studiów, które przecież istotnie się od siebie różnią. Jestem przekonana, że winny jest czas, a dokładniej jego brak. Tak krótki termin na przygotowanie dysertacji – a pamiętajmy, że akademickie obowiązki doktoranta na niej się nie wyczerpują, bo prowadzimy przecież zajęcia dydaktyczne, jeździmy na sympozja, bierzemy udział w życiu uniwersyteckim etc. – sprawia, że coraz częściej doktoranci projekty swoich rozpraw budują na podstawie prac magisterskich, w jakiś sposób je kontynuując, rozszerzając, pogłębiając. Sprawia to, że już od pierw-

szego roku są silnie ukierunkowani (nierzadko na pierwszym roku otwierając już przewody doktorskie, a najpóźniej na drugim, bo tylko wtedy jest szansa na otrzymanie i zrealizowanie grantu), zamiast początkowe lata poświęcić na poszerzanie wiedzy jako takiej, w ogóle, zmierzającej w różnych kierunkach. Odnoszę wrażenie, że zaczyna nam brakować wspólnych tematów do rozmów naukowych, przestajemy się spotykać – i to nawet w ramach bliskich kierunków, bo większość z nas jest znakomicie rozeznana w swoich dość wąskich, czasem wręcz specjalistycznych, tematach, ale nie mamy właśnie czasu na skonstruowanie wiedzy... panoramicznej, szerokiej, która w jakiś sposób nas by połączyła. Niezależnie, czy jesteśmy filozofami, kulturoznawcami, anglistami, teatrologami czy polonistami, a wśród tych ostatnich – historykami, teoretykami literatury czy językoznawcami; wydaje mi się, że wszystkich nas powinna łączyć wspólna wyjściowa wiedza, znacząco wykraczająca poza tę, którą zdobyliśmy podczas studiów magisterskich. Zresztą, nawet w życiu codziennym ta kultura pośpiechu przestała być modna – powraca powolność, w teorii zaś pojawiają się kategorie uwagi, uważnego czytania, *slow reading*... Wraca zatem sposób myślenia o filologii, ale i o całej humanistyce, jako o dziedzinie, pracy interpretacyjnej i badawczej, która powinna się opierać na uważnym przeczytaniu, głębokim przemyśleniu i poważnej dyskusji. Wówczas dopiero można pokusić się o nowości, o innowacje, które nierzadko nasuwają się same, jako twórczy rezultat zaangażowanego spotkania z tekstem.

Jest jeszcze jedna kwestia, którą chciałabym podjąć. Podczas tego sympozjum rozmowy dotyczyły problemów humanistyki w perspektywie nie tylko ogólnopolskiej, ale europejskiej czy nawet światowej, bo mowa była przecież o doświadczeniach amerykańskich. Ja natomiast chciałabym przejść teraz do perspektywy bardzo wąskiej, ale mi

najbliższej, czyli wydziałowej [mowa o Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej UAM – przyp. red.]. Do nas – doktorantów dotarła niedawno informacja, że przez co najmniej cztery najbliższe lata nie planuje się żadnych zatrudnień przewidzianych dla świeżo obronionych doktorów. Na wydziale powstanie więc pewna luka – nie tylko osobowa czy pokoleniowa (tę już teraz można zauważyć, bo pracownikami naukowymi są w większości profesorowie oraz doktorzy habilitowani, doktorów jest niewiele, a za te kilka lat nie będzie ich prawdopodobnie wcale), ale też intelektualna, bo nawet jeśli po tych czterech latach zatrudnienia zostaną wznowione, to przepaść będzie już odczuwalna. Między innymi właśnie przez ten obowiązek przygotowania rozprawy w cztery lata, ale też przez niemożność rozmowy na tematy naukowe z nieco tylko starszymi od nas naukowcami. Jakaś ciągłość zostanie zerwana, a wspólnoty interpretacyjne, być może, nieodwołalnie naruszone. Oczywiście mówię to wszystko z perspektywy doktorantki, która także jeszcze nie przeczytała, nie przemyślała, nie przedyskutowała... i mam tego pełną świadomość, ale odnoszę wrażenie, że te rozpoznania nie są zupełnie bezpodstawne. Dlatego moje pytanie ma dwojaki charakter: formalny i naukowo-humanistyczny. Czy można tak zmienić system, by studia doktoranckie wydłużyć, dając nam i naszym przyszłym kolegom oraz koleżankom więcej czasu na naukowy namysł? By umożliwić osiągnięcie, a nie oczekiwanie od nas już gotowej, dojrzałości badawczej? By dać nam możliwość na uważną lekturę chociaż kilkudziesięciu książek więcej, na porównanie swych wyników z wynikami innych, na wytwarzanie nowego i sprawdzenie, czy przypadkiem ktoś już wcześniej tego nie wymyślił? Oczywiście czasu nie sposób rozciągnąć, ale może w tym przypadku – organizacyjnie, formalnie – coś da się zrobić. A z drugiej strony, czy w tak dynamicznie zmieniającym się świecie –

mówię także, czy przede wszystkim, o tym naukowym – czy jest czas na... czas? Czy czas to już zbyt wielki luksus, na który nawet humanistka nie może sobie pozwolić? Waga tej sprawy wydaje mi się niebagatelna.

PROF. PIOTR NOWAK: Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie. Otóż Pani rówieśnicy, którzy kilka miesięcy temu przyszli do mnie porozmawiać o mojej książce o uniwersytecie, zadali podobne pytanie, to znaczy – co mają robić?¹¹ Oczekiwali jakichś rad, chcieli wiedzieć, w którą stronę podążać. Kompletna dezorientacja. Powiedziałem im mniej więcej to, co Państwu – skoro współczesny uniwersytet został tak zaprojektowany, że wypycha się myślenie poza jego mury, to trzeba uczyć się myśleć gdzie indziej. Okazuje się, że państwu polskiemu, Akademii, społeczeństwu młodzi ludzie nie są potrzebni. Nikt was nie chce. Chce, żebyście sobie poszli, bo się nie opłacacie. Jesteście – tak jak chorzy – nie do użytku, jesteście zbyt tacy. Przygotowałem na okoliczność spotkania z wami fragment artykułu Pawła Wrońskiego zamieszczonego jakiś czas temu w „Polityce”. Czytam w nim, że „eksperci unijni zaproponowali uniwersalny wskaźnik, który może być stosowany zarówno przez kraje bogate, jak i biedne. Z ich zaleceń wynika, że jeśli cena uzyskania dodatkowego jednego roku życia przekracza trzykrotność PKB na osobę – dla Polski jest to niebagatelna kwota 83 000 zł – to inwestowanie w taką kurację jest nieopłacalne. Czy należy przez to rozumieć, że w Polsce na leczenie nowotworów nowoczesnymi preparatami nie mamy szans, bo ich koszty są niewspółmierne do osiągniętych korzyści?”. Mówiąc krótko, wszystko musi mieć

¹¹*Kultura, uniwersytet i banda troglodytów*, z Piotrem Nowakiem, autorem *Hodowania troglodytów* rozmawiają Leszek Zaborowski i Jan Żegota, „Frona Lux” 2015, nr 74.

swoją cenę, a was w żadnym cenniku akademickim nie uwzględniono. Oficjalnie właściwie nie istniejecie. Jest taka piękna książka Michaela Sandela *What Money Can't Buy* o tym, czego nie da się kupić za pieniądze. Sandel stwierdza istnienie takich sfer rzeczywistości, które, podane wycenie, zostają umniejszone w swojej istocie. Właśnie do nich należy Uniwersytet, a także spontaniczna energia ludzi młodych, którą często określa się mianem kreatywności, twórczości. To jest marnowane.

PROF. MAREK WILCZYŃSKI: Stefan Kisielewski mówił, że jeśli mieszamy herbatę bez dosypywania cukru, to ona od samego mieszania nie stanie się słodsza – to dotyczy doktorantów i tych, którzy ich uczą. Osobiście uważam, że należy wydłużyć okres przeznaczony na pisanie doktoratu do lat sześciu, tylko nie wiem jak to zrobić. Nie wiem jak to zrobić, ale zrobić to należy dlatego, że kiedy patrzę na swoich doktorantów, którzy muszą pracować i zwyczajnie nie mają siły na pisanie doktoratu, bo muszą z czegoś żyć, to mi jest ich po prostu cholernie żal. Przepraszam za nieuniwersyteckie słowo. Dlatego uważam, że po pierwsze należy wydłużyć ten okres, a po drugie, że trzeba jednak trochę „dosypać”, bo ta wysokość stypendiów doktoranckich, jaka w tej chwili obowiązuje w Polsce, jest po prostu śmieszna. Odpowiedź jest trywialna – potrzeba trochę więcej pieniędzy. I jeśli nawet słyszymy, że o ułamek procenta coś się w dziedzinie finansowania nauki poprawiło, to niczego to nie załatwia – jest to tylko news do gazety.

MGR JOANNA WOLSKA: Czy ktoś jeszcze zechciałby zabrać głos, zająć stanowisko, wejść w polemikę z usłyszczanymi tezami? [cisza – przyp. red.]. Jeśli nie, to uprzejmie Państwu dziękuję, a o słowa podsumowania proszę Panią Profesor Elżbietę Nowicką.

PROF. ELŻBIETA NOWICKA: Tak wielowątkowej i autentycznej dyskusji o humanistyce nie będę jednak podsumowywać, w przekonaniu, że ważniejsze jest to, co „czuły słuchacz” zdoła sam dopowiedzieć i przywołaniem tego cytatu objawiam moje własne upodobanie w humanistyce „historycznej”. Pragnę podziękować wszystkim Gościom, którzy przyjęli zaproszenie i wzięli udział w naszym sympozjum oraz zechcieli się podzielić swoimi myślami – czynię to z prawdziwą przyjemnością. Chciałabym powiedzieć kilka słów o wrażeniach pilnego słuchacza, jakim byłam i o tym, co z mojego – a mam nadzieję, że nie tylko z mojego – punktu widzenia było w tym spotkaniu prawdopodobnie najważniejsze. To mianowicie, że były to wypowiedzi różne, wyrażane z różnych pozycji, to, że Państwo mówili ostro, że Państwo przejawiali, pewnie świadomie, aby ważne dla nas sprawy wybrzmiały donośnie i pobudziły do myślenia – w tym upatruję ogromną wartość tego spotkania. Wątek, który pojawiał się w każdej wypowiedzi, aczkolwiek w każdej nieco inaczej sformułowany czy, by tak rzec, skonfigurowany, to coś, co wydaje mi się właśnie teraz, w humanistyce dzisiejszego dnia, gdy patrzymy na nią od wewnątrz, kwestią zupełnie podstawową. Określiłabym ją poczuciem związku między humanistyką „nową” a „tradycyjną”, jednak to związek nieoczywisty, wymagający wyteżonej uwagi i subtelności myśli. Mówimy bowiem o procesie, ciągle na nowo ustanawianym, uchylanym, korygowanym, procesie odnajdowania i ustalania niezbędnego dla tożsamości humanistyki balansu pomiędzy tym, co jest nową humanistyką a tym, co jest, nazwijmy to tak, humanistyką tradycyjną. Chciałam wyrazić satysfakcję z samego podjęcia tematu, z możliwości towarzyszenia poszukiwaniom tego balansu. Serdecznie wszystkim Państwu dziękuję – uczestnikom, słuchaczom, a szczególnie Samorządowi Doktorantów za organizację tego spotkania.

NOTY O AUTORACH

MALGORZATA CIELICZKO – absolwentka filologii polskiej, doktorantka w Zakładzie Literatury XX wieku, Teorii Literatury i Sztuki Przekładu na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autorka książki „*On jest mistrzem, ja to wiem*” – pisarka, tłumaczka, edytorka, żona... *Życie twórcze Oli Watowej, Anny Iwaszkiewiczowej i Janiny Broniewskiej* (Warszawa 2013) wydanej przez Instytut Badań Literackich PAN. Jej zainteresowania naukowe dotyczą teorii, estetyki, filozofii, historii nauki, psychologii, a związane są przede wszystkim z literaturą i kulturą XX wieku. Publikuje na łamach ogólnopolskich czasopism oraz zbiorowych monografiach naukowych.

KATARZYNA FEDOROWICZ – doktorantka w Zakładzie Literatury Romantyzmu na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, absolwentka filologii polskiej i psychologii. Publikowała w „*Slavia Occidentalis*”, „*Wieku XIX*”, „*Ruchu Literackim*”, „*Literaturze Ludowej*” oraz w tomach zbiorowych. Pracuje nad dysertacją doktorską pod tytułem *Gnoza i neognoza romantyków polskich. Studium o myśli Adama Mickiewicza, Zygmunta Krasińskiego, Augusta Cieszkowskiego i innych*. Rozprawę przygotowuje pod opieką prof. dra hab. Jerzego Fiecki.

ANNA LEGEŻYŃSKA – prof. dr hab., wykłada historię i teorię literatury XX i XXI wieku w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autorka książek: *Tłumacz i jego kompetencje autorskie. Na materiale powojennych tłumaczyń poezji A. Puszkina, W. Majakowskiego, I. Kryłowa i A. Błoka* (Warszawa 1986), *Dom i poetycka bezdomność w liryce współczesnej* (Warszawa 1996), *Wisława Szymborska* (seria Czytani dzisiaj, Poznań 1996), *Gest pożegnania. Szkice o poetyckiej świadomości elegijno-ironicznej* (Poznań 1999), *Krytyk jako domokrązca. Lekcje literatury z lat 90.* (Poznań 2002), *Od kochanki do psalmistki... Sylwetki, tematy i konwencje liryki kobiecej* (2009). Jest również współautorką syntezy *Poezja polska po 1968 roku* (Warszawa 2000) i tomu *Literatura polska XX wieku* (seria Zrozumieć

literaturę, Poznań 2005). Opracowała współautorskie podręczniki: *Teoria literatury. Skrypt dla studiów zaocznych* (Poznań 2002) oraz *Skarbiec języka, literatury, sztuki* (podręcznik dla kl. I liceum ogólnokształcącego, Poznań 2002).

PIOTR NOWAK – profesor filozofii na Uniwersytecie w Białymstoku. Jest autorem książek: *Ontologia sukcesu. Esej przy filozofii Alexandre’a Kojève’a* (Gdańsk 2006), *Podpis księcia. Rozważania o mocy i słabości* (Fundacja Augusta hr. Cieszkowskiego, Warszawa 2013), *The Ancients and Shakespeare on Time. Some Remarks on the War of Generations* (Rodopi-Brill 2014), *Hodowanie troglodytów. Uwagi o szkolnictwie wyższym i kulturze umysłowej człowieka współczesnego* (Warszawa 2014). Zajmuje się filozoficznymi konsekwencjami wpływu czasu, napięciami międzypokoleniowymi, filozofią starożytną, filozofią polityczną, filozofią literatury, filozofią religii. Zastępca redaktora naczelnego kwartalnika filozoficznego „Kronos. Metafizyka – Religia – Kultura”.

ALINA NOWICKA-JEŻOWA – profesor zw. Uniwersytetu Warszawskiego, badaczka kultury i literatury epok dawnych, komparatystka. Członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności, członek zw. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Towarzystwa Naukowego im. Adama Mickiewicza, Zespołu Badań nad Literaturą Religijną KUL. Odbywała studia humanistyczne i doktoryzowała się w Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1970 pracuje w Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Polonistyki, a następnie na Wydziale „Artes Liberales”. Kieruje laboratoriami: „Humanizm polski. Dziedzictwo i współczesność”, „Kultura Pierwszej Rzeczypospolitej”.

MAREK WILCZYŃSKI – amerykanista, dr hab., profesor Uniwersytetu Gdańskiego i Warszawskiego (Ośrodek Studiów Amerykańskich UW), obecnie dyrektor Instytutu Anglistyki i Amerykanistyki UG, w latach 2002–2006 przewodniczący Polskiego Towarzystwa Studiów Amerykanistycznych. Autor licznych prac poświęconych kulturze i literaturze amerykańskiej XIX wieku, publikowanych za granicą i w kraju, a także studiów o literaturze polskiej głównie wieku XX oraz relacjach między romantyzmem amerykańskim a romantyzmem polskim. Tłumacz współczesnej prozy amerykańskiej i prac Haydena White’a. Stypendysta Fulbrighta i American Council of Learned Societies na uniwersytetach Brown i Harvarda.

Książka *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet* prezentuje interesujące i zaangażowane wypowiedzi osób bezpośrednio związanych z polską humanistyką na temat jej aktualnej kondycji, szczególnie w przestrzeni akademickiej. Praca nie wpisuje się w nurt myślenia o „kryzysie humanistyki”, ale wychodząc od pewnej niepokojącej diagnozy, za cel stawia konstruktywną refleksję nad możliwymi rozwiązaniami i dalszymi perspektywami.

Autorzy poruszają problemy związane z rozumieniem humanistyki jako dziedziny ukierunkowanej na przeszłość oraz na przyszłość, obecnością humanistyki polskiej w świecie i światowej w Polsce, interesują ich zagadnienia „wierności” dyscyplinie oraz transdyscyplinarności, a także formalne i praktyczne aspekty akademickiego kształcenia, również na studiach doktoranckich. Podjęta też zostaje kwestia sytuacji doktoranta w obecnym modelu.

Całość wieńczy zapis dyskusji, w której udział wzięli autorzy poszczególnych tekstów oraz zainteresowani słuchacze sympozjum *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet*, które odbyło się w marcu 2015 roku na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej UAM.



ISBN 978-83-232-2966-7